bezwierszówki

SDP

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY nr 5-6 (167-168) maj-czerwiec 2019 ISSN 1732-7237

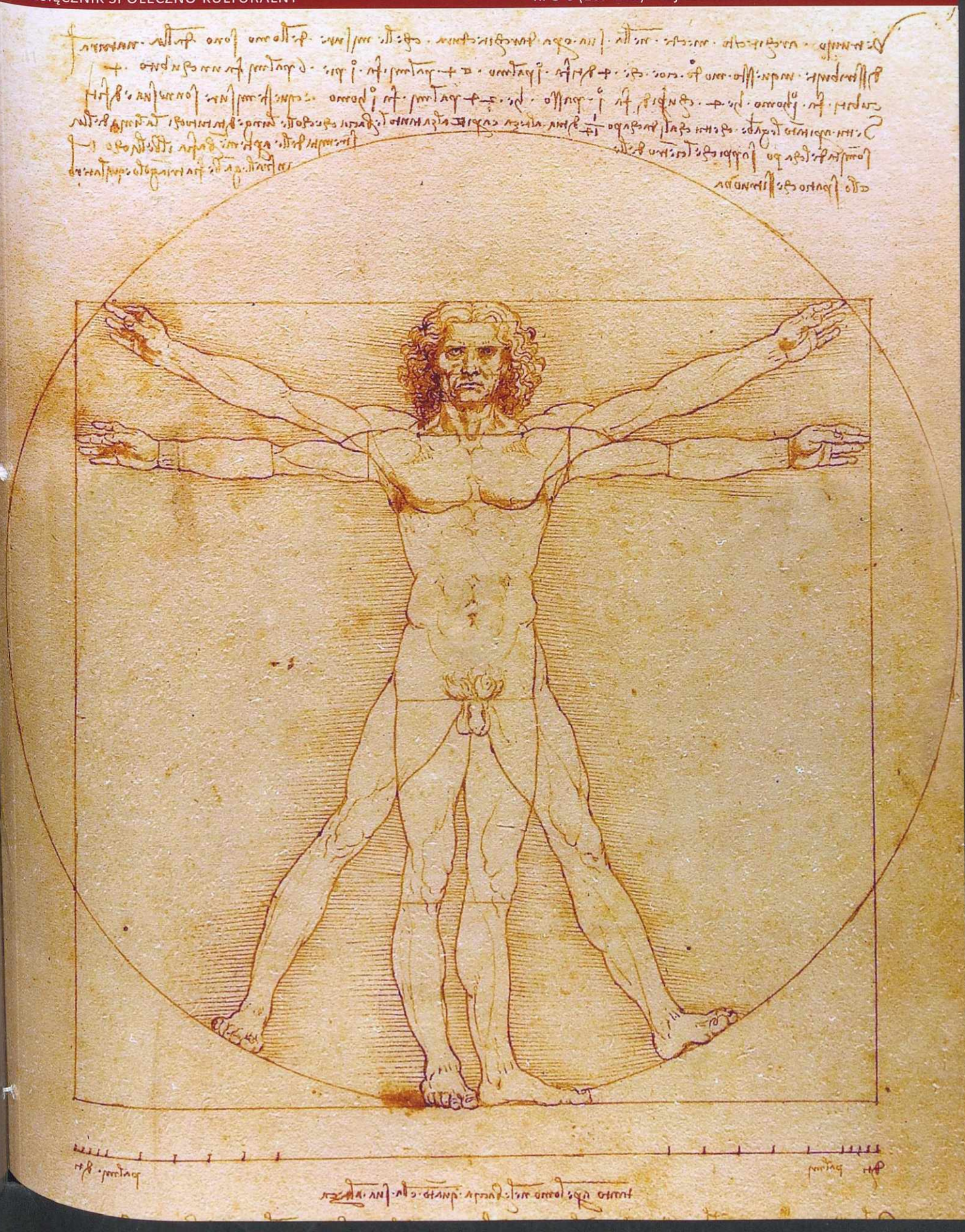

„Moniuszko z 1000 i jednej nocy" Marii Pomianowskiej

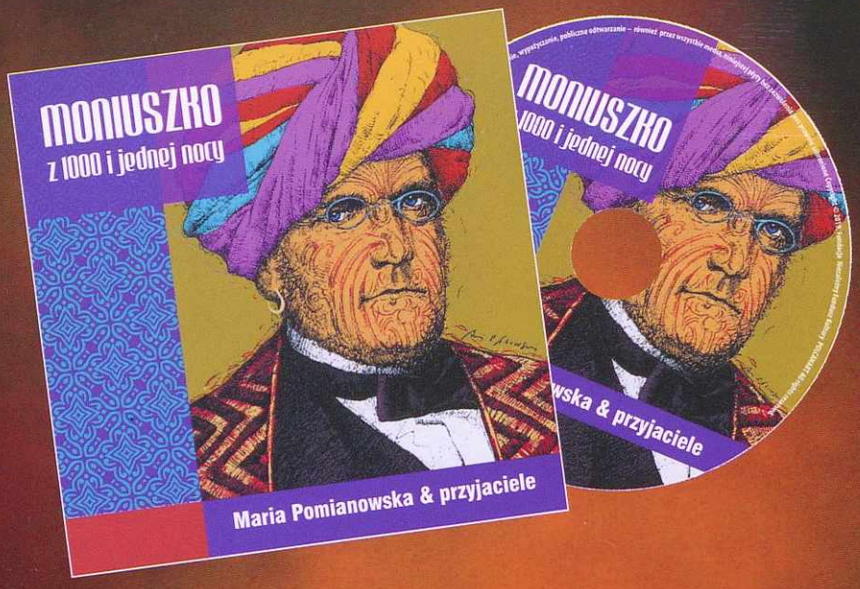

„Cześć tobie, mistrzu! Niech pieśń twa płonie, niech budzi serca po wieczny czas, któż dziś twą lutnię pochwyci w dłonie, kto twoim laurem otoczy skronie i z twoją pieśnią stanie wśród nas?"

„Na śmierć Stanisława Moniuszki"
autor nieznany, 1872

Płyta dostępna na terenie całego kraju w sklepach EMPiK, Soliton.pl oraz wybranych sklepach muzycznych i w Internecie
www.fundacjapolcanart.org/M1000

Wydawca: Fundacja Niezależny Fundusz Kultury POLCANART
Dystrybucja: SOLITON – Krzysztof Karwasz, tel. (+ 48) 509 919 842, e-mail: soliton@soliton.pl
Strona internetowa: www.soliton.pl
Kontakt: Fundacja Niezależny Fundusz Kultury POLCANART, tel. (+48) 728 987 144
Adres: 01-552 Warszawa, Plac Inwalidów 10/50, e-mail: fundacja.polcanart@gmail.com
Projekty graficzne płyty: Andrzej Pągowski
Zdjęcie: Andrzej Łojko

Wydawca
NIEZALEŻNY FUNDUSZ KULTURY POL CAN ART FUNDACJA KRS 0000563759

Patronat medialny
SDP Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
bezwierszówki Miesięcznik społeczno-kulturalny SDP

Mecenas wydania
Samorząd Województwa Mazowieckiego
Mazowsze. serce Polski

Darczyńcy
PWPW Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych
Stowarzyszenie Autorów ZAiKS

UWAGA: Fundacja i Autorka projektów zastrzegają sobie, na zasadzie wyłączności, wszystkie prawa związane z koncepcją płyty; kopiowaniem, publikowaniem zamieszczonych projektów i realizacją ich treści programowych i artystycznych oraz ich rozpowszechnieniem na wszystkich polach, biorąc jednocześnie całkowitą odpowiedzialność prawną i cywilną za realizację projektu (Dz. U. z 2016 r. poz. 296 i 1579, Dz. U. z 2016 r. poz. 666, Dz.U. 1994 Nr 24 poz. 83 tj. Dz. U. 2017r. poz. 880 - brzmienie od 16 maja 2016r.: Ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych)

W NUMERZE

Order Orła Białego 3
Werliński uhonorowany w Turcji 4
Falkowski: Leonardo, Leonardo! 7
Mansour: Na początku był ruch... 11
Bruski: Święto Tańca 12
Międzynarodowy Dzień Tańca 13
Palczewski: Rozmowa z Aliną Suworow 14
Po strajku nauczycieli 16
Kossakowski: Szkoła mistrzów 18
Sucharski był bohaterem! 20
Urodzinowo w Wilnie 22
Hulewicz: Stanisław Moniuszko (I) 23
Panteluk: Moniuszko – 200! 26
Twarze mediów: Joanna Wańkowska-Sobiesiak 29
Truszczyński: Jerzy Ambroziewicz 33
Wegner: Na paryskim bruku (II) 36
Goljat: Kto to powiedział? 40
Raina: Czy Gomułka był antysemitą? 44
Królikowska-Avis: Polskie media na Wyspach w czasach Brexitu 46
Chomicz: Szkoła w cieniu Tadź Mahal 49
Paszkiewicz: Pomnik ku przestrodze 52
Karaś: Wielka Wojna i... szczury 56
Biernacki: „Dalej... będzie prawda" 60
Pańków: Kontrkultura w czasach zarazy 62
Festiwal Kultury Mazurskiej 64
Sulik: Miałem Wielkie Szczęście 65
Burczycka-Woźniak: Midrasz o postępie 66
78. rocznica śmierci W. Hulewicza 67
Fabisiak: Malarstwo Wojciecha Maksymowicza 68
Fundacja Dzieciom 70
Sokołowski: Jak badać wizualność? 72
Brzozowski: Okiem satyryka 72
Isakowicz-Zaleski: Grzech zaniechania 73
Uderz w Kościół pedofilem 74
Prendecki: Pedofilizacja debaty publicznej 75
Piórem Małgorzaty Todd 76
Przyszłość należy do kultury 77
Reportaż radiowy – gatunek ginący? 78
Piórem felietonisty 80
Temida i dziennikarze 81
Aktualności z życia żurnalistów 82
Aktualności z życia SDP 83
Komunikaty, ogłoszenia 84

NA OKŁADCE

I strona: **Leonardo da Vinci, „Człowiek witruwiański"**, ok. 1490 © GALLERIE DELL'ACCADEMIA, WENECJA

IV strona: **Marcin Piotrowicz, „Sound 180,89 HZ"**, 2019 © MP

Od naczelnego

Geniusz i wizjoner

Pięćset lat temu, 2 maja 1519 roku, w Amboise zmarł Leonardo da Vinci. Na francuskiej ziemi, zaproszony przez króla Franciszka I Walezjusza, spędził ostatnie lata swego twórczego życia.

Wkład Leonarda w spuściznę ludzkości jest bezcenny. Samouk, który przyszedł na świat w 1452 roku w okolicy Vinci, a podstawy malarskiej teorii i praktyki zdobywał u Verrocchia we Florencji. Później, dzięki wyjątkowym mecenasom, tworzył m.in. w Mediolanie, Florencji, Rzymie i wreszcie od 1516 roku we Francji. Wszyscy znamy jego „Giocondę" i „Portret damy z gronostajem" czy „Ostatnią Wieczerzę", zachowaną cudem w refektarzu klasztoru Santa Maria delle Grazie. O stosowanej przez niego technice *sfumato*, mogą rozpisywać się znawcy, wymieniając zaś w telegraficznym skrócie, warto wspomnieć: „Zwiastowanie" i „Madonnę w grocie", „Salvatora Mundi" i „Jana Chrzciciela", czy niedokończone dzieła, jak „Święty Hieronim na pustyni" oraz „Pokłon Trzech Króli".

Leonardo to teoretyk sztuki i uczony, który zajmował się m.in. anatomią, botaniką, geofizyką, hydrologią, optyką. Fascynowała go inżynieria, uchodził za genialnego wynalazcę; wiele z wymyślonych przez niego urządzeń do tej pory zachwyca nie tylko inżynierów. Zaznaczył swoją obecność także w dziedzinie architektury i rzeźby. Był wnikliwym obserwatorem świata go otaczającego, przyrody w jej ożywionych i nieożywionych przejawach, prawdziwym wizjonerem. Wiele z jego projektów i planów – często ocierających się w ówczesnym odczuciu o fantastykę – po wiekach znalazło swoich kontynuatorów i ostatecznych twórców.

Artysta wszystkie swoje pomysły i projekty, idee i przemyślenia skrupulatnie zapisywał. Szacuje się, że notatki liczyły prawie 14 tys. kart, jednak do naszych czasów zachowała się około połowa, rozproszona w różnych archiwach i bibliotekach. Najobszerniejszym zbiorem jest *Codex Atlanticus* przechowywany w Mediolanie, innym *Kodeks Leicester* czy *Kodeks Huygenowski* ze szkicem „Człowieka witruwiańskiego", otwierającym to wydanie „Bez Wierszówki". Leonardo, sięgając do Witruwiusza (I wiek p.n.Chr.), przedstawia studium proporcji ludzkiego ciała.

Był geniuszem, już za życia cieszącym się uznaniem i sławą. Z drugiej strony człowiekiem nie pozbawionym wad; wielu jego biografów pisze o niedotrzymywaniu przez niego słowa i niewywiązywaniu się z przyjętych zobowiązań. Jednak wynikało to raczej z dążenia do ideału w procesie twórczym niż ze złej woli; w tym dążeniu do doskonałości, zakończenie danej pracy często przedłużało się w nieskończoność.

O podejściu Leonarda do życia i pracy świadczyć może jeden z zapisków, który pozostawił potomnym: „Pracowity dzień zapewnia dobry sen, spokojną śmierć daje pracowite życie". I z tym przesłaniem tego wyjątkowego geniusza i wizjonera Państwa pozostawiam, zapraszając do lektury nowej edycji naszego pisma.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH ISSN 1732-7237

Redaktor naczelny: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl • **DTP:** Marcelina Gorzka • **Adres redakcji** (do korespondencji): 11-041 Olsztyn, ul. kard. Stanisława Hozjusza 12 m. 3 • **Wydawca:** Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie • **Rachunek bankowy Oddziału:** Bank Pekao S.A., nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164 • **Druk:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne HAKUS Maria i Andrzej Kuśmierczyk S.J., 11-041 Olsztyn, ul. kard. Stanisława Hozjusza 11 • **Nakład:** 3 000 egzemplarzy • Numer zamknięto 25 maja 2019 roku

Z okazji Narodowego Święta Trzeciego Maja, w 228. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, podczas uroczystości na Zamku Królewskim Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył najwyższe odznaczenie państwowe

Order Orła Białego

© ELIZA RADZIKOWSKA-BIAŁOBRZEWSKA / KPRP

Postanowieniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej odznaczeni zostali:

dr **Czesław Bielecki** – architekt i publicysta, znany pod pseudonimem Maciej Poleski, działacz opozycji w PRL, współzałożyciel i szef Wydawnictwa CDN, poseł na Sejm III kadencji – w uznaniu znamienitych zasług w krzewieniu ideałów wolności, demokracji i poszanowania praw człowieka w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, za działalność publiczną i państwową;

prof. **Wincenty Kućma** – rzeźbiarz, medalier, rysownik, grafik, autor twórczości sakralnej, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, wielokrotnie nagradzany; do jego najwybitniejszych polskich dzieł należą: Pomnik Powstania Warszawskiego, Pomnik Obrońców Poczty Gdańskiej, Poległym w Obronie Ojczyzny w Częstochowie i Armii Krajowej w Kielcach – w uznaniu znamienitych zasług dla polskiej kultury, za osiągnięcia w pracy artystycznej i twórczej oraz popularyzowanie historii polskiego czynu niepodległościowego;

Władysław Siemaszko – żołnierz Armii Krajowej pseudonim „Wir", prawnik, działacz kresowy, jeden z najbardziej zasłużonych badaczy i dokumentalistów tragedii polskiej ludności na Wołyniu w okresie II wojny światowej – w uznaniu znamienitych zasług w dokumentowaniu i upowszechnianiu prawdy historycznej, za działalność na rzecz środowisk kombatanckich.

FOT. © GRZEGORZ JAKUBOWSKI / KPRP

„Otrzymujecie Panowie dzisiaj te najwyższe historyczne polskie ordery w tym wyjątkowym dniu, jakim jest rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja, kiedy już tradycyjnie wręczane są te najstarsze, ponad 300-letnie, a więc starsze niż Konstytucja 3 Maja, polskie ordery, przyznawane najwybitniejszym, a więc nie są przyznawane za upływ czasu, wręcz przeciwnie – są przyznawane za to, że ktoś jest wybitny, albowiem jakiś element naszego życia, naszej rzeczywistości, tego, co nas otacza, czy tego, co było, zdołał zatrzymać w czasie, że stworzył coś, co pozostanie, nawet kiedy czas jego upłynie i on odejdzie, tak jak każdy z nas kiedyś. Pozostanie po nim jakieś dzieło, które zrealizował dla Polski, dla narodu, czasem dla ludzkości, a więc coś wielkiego. Jest tak, że każdemu z Panów ta właśnie życiowa sztuka, coś, czego chyba każdy pragnie, się udała".

Andrzej Duda
Prezydent RP

Konstytucja 3 Maja to akt niezwykły: świadectwo wielkiej mądrości, przenikliwości i wielkiego patriotyzmu. Jej uchwalenie było wielkim wydarzeniem nie tylko w dziejach Polski, ale też w dziejach świata

Andrzej Duda
Prezydent RP

FOT. © KPRK

Sejm, który rozpoczął się 6 października 1788 roku i od razu przekształcił się w konfederację, sprowokowany przez Prusy, dokonał antyrosyjskiej wolty. Stanisław August jako rzecznik „przyjaźni" z Rosją stracił większość, ster obrad przejęła zorientowana na Prusy opozycja z Ignacym Potockim na czele. Łudząc się rzuconą przez Berlin przynętą aliansu z Warszawą, sejmujący uwierzyli w szansę i z impetem rozpoczęli reformy.

Już 20 października uchwalono 100 tys. armię, a 19 stycznia 1789 roku obalono Radę Nieustającą. Było to otwarte zerwanie z ustrojem gwarantowanym przez Rosję. Katarzyna II milczała, jakby Polska jej nie interesowała. Sejm uznał się wobec tego za sprawcę wyzwolenia państwa z rosyjskiego jarzma i zyskał w społeczeństwie wielki autorytet. W rzeczywistości imperatorowa powzięła zamiar uderzenia na Rzeczpospolitą dopiero po pokonaniu Turcji. Dało to sejmowi (systematycznie przedłużającemu swe obrady) cztery lata względnie swobodnej działalności ustawodawczej, która Polskę odrodziła. Stąd nazwa – Sejm Czteroletni albo Sejm Wielki.

Stanisław August, choć przekonany do orientacji rosyjskiej i przenikający złowrogie cele Prus, gdy ambasador Otto von Stackelberg zaproponował mu opuszczenie parlamentu i zawiązanie pod skrzydłami Petersburga rekonfederacji – odmówił. Pozostawanie z narodem uważał za obowiązek władcy. Gdy więc sejm, wbrew radom króla, opowiedział się za przymierzem z Prusami, monarcha je podpisał (29 marca 1790). Dzięki takiej postawie po dwu latach obrad odzyskał zaufanie społeczeństwa, a w listopadzie 1790 roku, gdy przeprowadzono powtórne wybory i dokooptowano do sejmu nowych posłów (w sumie obradowało ponad 400 osób), znów miał większość. I dlatego do niego zwrócił się przywódca opozycji, Ignacy Potocki, z prośbą o ułożenie nowej konstytucji dla Rzeczypospolitej.

Stanisław August uporał się z tym w ciągu kilku tygodni, przez następne w tajnych dyskusjach wypracowywano tekst ostateczny. Ignacy Potocki korygował projekt w kierunku republikańskim (decentralizacji), władca optował za silniejszą władzę centralną, czyli za monarchizmem. Pośrednikiem między nimi był sekretarz króla, Włoch Scipione Piattoli; jego redakcyjny udział miał charakter twórczy, toteż zaliczamy go do grona współautorów konstytucji. Czwartym autorem był sekretarz marszałka sejmu, Stanisława Małachowskiego, ksiądz Hugo Kołłątaj, niebawem podkanclerzy koronny. Słynny reformator Akademii Krakowskiej i niezmordowany autor sejmowych projektów, wyczulony był przede wszystkim na kwestie społeczne i w odniesieniu do nich jego autorski udział był największy.

Od lutego 1791 roku stopniowo rozszerzano grono wtajemniczonych, wreszcie zdecydowano się wprowadzić projekt do sejmu z zaskoczenia, zanim z przerwy wielkanocnej wrócą do Warszawy niewtajemniczeni konserwatyści – obawiano się ich oporu. 3 maja 1791 roku, po starannym wyreżyserowaniu przebiegu sesji, projekt został ogłoszony jako ratunek dla zagrożonego bytu Rzeczypospolitej. Entuzjazm izby był ogromny, kilkudziesięciu przeciwników nie odważyło się wystąpić w sposób zdecydowany. Konstytucję przyjęto przez aklamację. Obok preambuły (wstępu) i 11 artykułów, *Ustawę Rządową 3 Maja* dopełniała „Deklaracja Stanów Zgromadzonych", w której m.in. w podzięce Bogu za uratowanie kraju zobowiązano się do budowy świątyni Opatrzności. Za integralną część konstytucji uznano uchwalone nieco wcześniej prawo „Miasta nasze królewskie".

Konstytucja uznając wolę narodu za źródło władzy, przyjmowała jej monteskiuszowski podział na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Ustawodawca, dwuizbowy sejm, podejmował decyzje zwykłą większością głosów. Z jego składu, a także z sejmików, usunięto szlachtę nieposiadającą (gołotę), która w praktyce była klientelą magnatów. Zdelegalizowano *liberum veto* i konfederacje, przy zasadzie większości zbędne. Na czele władzy wykonawczej, odpowiedzialnej przed sejmem, stał król z rządem, zwanym Strażą Praw. Moc władcy, który mianował ministrów, wzmacniało pierwszeństwo inicjatywy ustawodawczej. Silna pozycja króla pozwala mówić o monarchii konstytucyjnej, tym bardziej, że wprowadzono dziedziczność tronu. Nie ustalono jednak dynastii, jaka na nim zasiądzie; następczynią Stanisława Augusta została bowiem córka elektora saskiego Fryderyka Augusta (nie miał syna), Maria Augusta Nepomucena, i o dynastii miał przesądzić jej przyszły mąż. Mieszczanie nie otrzymali wprawdzie osobnej izby w sejmie, ale zapewniono udział ich delegatów (plenipotentów) w ministerstwach, co gwarantowało, że projekty ustaw dotyczących spraw wewnętrznych, skarbu, handlu i rzemiosła będą tworzone z udziałem i wolą mieszczan. Otrzymali oni także dostęp do wszystkich urzędów, mogli nabywać dobra ziemskie, zniesiono uprzywilejowaną pozycję posiadłości szlacheckich (jurydyk) w miastach, zdecydowano o masowych nobilitacjach mieszczan. Najmniej zyskali chłopi; uznano ich za część narodu, wzięto pod opiekę prawa, mogli zawierać z dziedzicami umowy, które stawały się obowiązujące dla obu stron, zaś imigranci z zagranicy zachowywali wolność osobistą. Pozostali włościanie nadal byli jej pozbawieni.

Konstytucję 3 Maja w ciągu następnego roku dopełniano artykułami szczegółowymi. Podczas rocznego okresu próby, zapisy konstytucyjne dobrze przeszły egzamin praktyczny. *Ustawa Rządowa 3 Maja* – będąca pierwszą w Europie nowoczesną konstytucją – została przyjęta z uznaniem za granicą i podniosła prestiż Polski. Szczególne znaczenie miała dla samych Polaków – przekonali się, że gdy pojawiła się szansa swobodnego działania, potrafili przezwyciężyć „zadawnione rządu naszego wady" (zwrot z preambuły konstytucji) i zaczerpnąć z polskiej tradycji ustrojowej wartościowe rozwiązania. Dzięki działalności Sejmu, a zwłaszcza dzięki dziełu 3 maja odzyskaliśmy szacunek dla samych siebie. Było to nader ważne wyposażenie na lata niewoli – wiedzieliśmy, że o państwo, którego nas pozbawiono, warto walczyć.

KPRP

Werliński uhonorowany w Turcji

FOT. © MERSIN UNIVERSITY, 2018

Tenor Roman Werliński, były solista Teatru Wielkiego w Łodzi, prowadził na Wydziale Muzycznym Uniwersytetu w Mersin warsztaty wokalne. Zakończyły się one nadaniem imienia Werlińskiego sali, w której odbywały się zajęcia.

Roman Werliński urodził się w Raciążu, do średniej szkoły muzycznej uczęszczał w Olsztynie, gdzie opiekowała się nim pedagog śpiewu Maria Stankowa, dawna solistka opery wiedeńskiej. Jej ówczesny uczeń nazywał ją pedagogiem „matką", gdyż – jak twierdzi – szczególnie dużo od niej skorzystał. Studia odbył w Warszawie na Wydziale Wokalnym owczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, u prof. Wiktora Bregy.

Gdy w styczniu 1967 roku nowo wybudowany Teatr Wielki w Łodzi zainaugurował działalność, Werliński zgłosił się do dyrektora Zygmunta Latoszewskiego i po przesłuchaniu został przyjęty. Zapewne nie mógł wtedy przypuszczać, że scenie tej pozostanie wierny aż do emerytury.

Praca przez całe ćwierćwiecze była intensywna, choć kariera z powodów, o których mowa niżej, jedynie w fazie początkowej mogła rozwijać się harmonijnie. Solista zadebiutował w styczniu 1968 roku w „Strasznym dworze" Moniuszki jako Damazy. W ciągu kilkunastu późniejszych lat kreował wiele pierwszoplanowych ról tenorowych, współpracując w przygotowaniu premier z takimi reżyserami, jak Kazimierz Dejmek, Antoni Majak, Ryszard Peryt, Maciej Prus i takimi dyrygentami, jak Zygmunt Latoszewski, Tadeusz Kozłowski, Bogusław Madey, Mieczysław Wojciechowski.

Śpiewał w „Czarodziejskim flecie", „Cosi fan tutte", „Uprowadzeniu z Seraju" Mozarta, „Fideliu" Beethovena, „Henryku VI na łowach" Kurpińskiego, „Hrabinie" Moniuszki, „Kniaziu Igorze" Borodina, „Eugeniuszu Onieginie" i „Jolancie" Czajkowskiego, „Normie" Belliniego, „Fauście" Gounoda, „Zaręczynach w klasztorze" Prokofiewa, „Zorbie" Kandera, „Kawalerze srebrnej róży" Straussa (ostatnia duża rola) i zbierał pochlebne opinie. Równocześnie w Filharmonii Łódzkiej brał udział w wykonaniu „Mszy h-moll" Bacha, „Mszy św. Cecylii" i „Stworzenia świata" Haydna, „Mszy koronacyjnej" oraz „Requiem" Mozarta. W Filharmonii Olsztyńskiej uczestniczył w realizacji „III Symfonii" Szymanowskiego, a także światowym prawykonaniu „De revolutionibus" Paciorkiewicza. Do dyrygentów, z którymi w filharmoniach przygotowywał te dzieła, należeli Henryk Czyż, Zdzisław Szostak, Janusz Przybylski, czy Krzysztof Missona.

Znajdował zarazem czas na robienie czegoś dla radia, telewizji, filmu, ponadto dla łódzkich scen dramatycznych. Jego głos można usłyszeć w dialogach i piosenkach w odcinkowym filmie „Przygody Misia Coralgola", w telewizyjnych spektaklach „Bastien i Bastienne" Mozarta, „Kynologu w rozterce" Czyża (tu, oczywiście, nie tylko głos został utrwalony). W Teatrze Nowym, obecnie im. Kazimierza Dejmka, sprawował opiekę wokalną nad aktorami

FOT. © MERSIN UNIVERSITY, 2018

występującymi w „Operetce" Gombrowicza i „Cieniu" Młynarskiego, w Teatrze 7.15 – w „Dwojgu na huśtawce" Gibsona.

Ale już niebawem nadciągnąć miały ciemne chmury, kończące na dłuższy czas pogodny okres życia artysty. Po wprowadzeniu stanu wojennego, za dyrekcji obdarzanego zaufaniem władz komunistycznych Sławomira Pietrasa (okres dyrektorowania Teatrem Wielkim: 1982-1991), Werliński, jako działacz solidarnościowy, zaczął mieć kłopoty. Niektórych, popierających reżim Jaruzelskiego solistów publiczność wówczas „wyklaskiwała", ale generalnie mieli się oni dobrze. Werliński – nie. Służba Bezpieczeństwa kilkakrotnie wzywała go do swojej siedziby, próbując zwerbować do współpracy. Odmówił. Natomiast Pietras (o którym niektórzy powiadali, że walczy z „Solidarnością") rzucał mu kłody pod nogi, nie obsadzał w rolach pierwszoplanowych, jedynie w drugoplanowych. Śpiewak starał się jakoś zrekompensować to sobie, sprawując funkcję opiekuna wokalnego solistów.

– Wyniosłem z domu twardy charakter i niesprzedajność – podkreśla – żadna kolaboracja nie wchodziła w rachubę. Może dlatego nie mam tego, co mógłbym mieć: daczy, samochodu. Z powodu zaangażowania w działalność „Solidarności" odstawiono mnie w teatrze „do kąta". Satysfakcję dał mi za to pamiątkowy, srebrny ryngraf „Za zasługi w walce o Wolną Polskę", wręczony przez legendarnego opiekuna łódzkiej Solidarności, ojca Stefana Miecznikowskiego. W 1990 roku, nie widząc dla siebie w Łodzi specjalnych perspektyw, wyjechałem do pracy do Turcji...

Należy zaznaczyć, że w tzw. międzyczasie ważną dziedziną aktywności Romana Werlińskiego stała się również pedagogika. Dawał prywatne lekcje śpiewu, na które chętnie przychodzili m.in. studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego łódzkiej Akademii Muzycznej, nie zawsze w pełni zadowoleni ze współpracy z profesorami, do których zostali przydzieleni. Dzięki lekcjom Werliński szybko zyskał renomę świetnego specjalisty w tejże dziedzinie.

Został wykładowcą Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Prowadził tam impostację głosu na Wydziale Aktorskim. Miał zarówno zajęcia zbiorowe, jak i indywidualne, a studenci (byli wśród nich np. Adrianna Biedrzyńska, Ewa Sonnenburg, Jadwiga Jankowska, Zbigniew Zamachowski) musieli zaliczyć m.in. fragmenty „Krakowiaków i górali" Stefaniego, „Cienia" Młynarskiego, „Księżyca" Orffa.

Przed rokiem 1990 przyjechali z wizytą do Łodzi dyrektorzy Narodowej Opery w Ankarze, aby przyjrzeć się pracy Teatru Wielkiego. I to oni, dokonawszy „rozpoznania", zaproponowali Werlińskiemu etat

FOT. © MERSIN UNIVERSITY, 2018

opiekuna wokalnego wszystkich ponad czterdzieściorga współdziałających z placówką w Ankarze solistów. Werliński nie mógł od razu wyjechać, czekano rok na jego przyjazd, nie angażując nikogo innego. Na miejscu okazało się, że obowiązków jest dużo („bite" osiem godzin dziennie), ale powodów do zadowolenia też niemało.

Po powrocie z Turcji, za kadencji dyrektorskiej Kazimierza Kowalskiego w Teatrze Wielkim (rozpoczął on kierowanie sceną w roku 1994), Werliński nic już nie śpiewał, mało tego, dostał... zakaz wstępu do teatru. Z jakich powodów? Tych samych, które motywowały Pietrasa, a więc *de facto* politycznych. W tej sytuacji artysta ponownie wyjechał do Turcji, by w latach 1996-2003 prowadzić, jako profesor kontraktowy, klasę śpiewu solowego na Wydziale Muzycznym Uniwersytetu w Mersin. Ukończyło jego klasę siedmioro studentów, niektórzy robią dziś karierę, np. Orhan Ildys – solista opery wiedeńskiej, czy Bulent Bezduz – śpiewający sporo w Europie i Ameryce.

Można przy okazji odnotować, że w 2005 roku Akademia Muzyczna w Łodzi wydała, pod redakcją Krystyny Juszyńskiej, książkę pt. *Łódzka scena operowa* (z cyklu „Kultura muzyczna Łodzi"). Pośród sylwetek śpiewaków występujących w Teatrze Wielkim w latach 1967-2004 Romana Werlińskiego zabrakło. Wymieniono natomiast z nazwiska... około dziesięciu PZPR-owskich aparatczyków, obecnych na uroczystości otwarcia gmachu 19 stycznia 1967 roku.

Po kolejnym powrocie do Polski w dalszym ciągu poświęcał się pracy pedagogicznej, ale w 2018 roku znów pojawił się w Mersin. Tym razem zaproszony został do poprowadzenia warsztatów wokalnych. Udały się znakomicie. W podziękowaniu za owocną pracę uczelnia „na wieczną rzeczy pamiątkę" nadała jego imię sali, w której uczył studentów. Zostało to nagłośnione przez turecką prasę.

– Niektórzy myśleli, że zostanę wdeptany w ziemię, ale nie dałem się – mówi Roman Werliński i dodaje: „A że do setki zostało mi nie tak znów mało latek, zamierzam jeszcze trochę zdziałać".

JANUSZ JANYST
„Kultura i Biznes"

FOT. © KRZYSZTOF SITKOWSKI / KPRP

20 maja na fasadzie Pałacu Prezydenckiego została wyświetlona okolicznościowa iluminacja z okazji 100. rocznicy urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Tego samego dnia, przy jego grobie na cmentarzu Poggioreale w Neapolu – w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – złożono wieniec. Upamiętnienie odbyło się w roku, któremu na mocy decyzji Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej patronuje Gustaw Herling-Grudziński.

Gustaw Herling-Grudziński urodził się 20 maja 1919 roku w Kielcach. W latach 1937-1939 studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Rozwinął wówczas działalność krytycznoliteracką, współpracował z prasą. Po wybuchu II wojny światowej był jednym ze współorganizatorów konspiracyjnej Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Dzięki jego staraniom powstało czasopismo „Biuletyn Polski". W grudniu 1939 roku przedostał się na tereny zajęte przez ZSRR, przez Białystok i Lwów przyjechał do Grodna. Ostatecznie przez Rumunię chciał trafić na Zachód. Został aresztowany przez Sowietów.

Był więziony w więzieniach w Grodnie, Witebsku, Leningradzie, Wołogdzie oraz w obozie w Jercewie pod Archangielskiem, gdzie pracował jako robotnik przy wyrębie lasu i rozładunku wagonów. Po zwolnieniu w 1942 roku dotarł do Kazachstanu, gdzie wstąpił w szeregi formującej się Armii Polskiej gen. Władysława Andersa i został żołnierzem 10. Dywizji Piechoty. Brał udział w kampanii włoskiej, w Bitwie o Monte Cassino, a także w bitwach pod Anconą i na Linii Gotów. W tym czasie publikował w pismach Armii Polskiej na Wschodzie.

Po wojnie przebywał w Rzymie. Redagował pismo „Orzeł Biały", współtworzył „Bibliotekę Orła Białego". W 1946 roku współorganizował Instytut Literacki, redagował pierwsze zeszyty emigracyjnej „Kultury", współpracował z londyńskimi „Wiadomościami". Mieszkał w Londynie i Monachium, gdzie pracował w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. W roku 1955 na stałe zamieszkał w Neapolu. Publikował w periodykach włoskich i emigracyjnych. W PRL-u jego utwory były drukowane w pismach wydawanych poza cenzurą, współpracował z założonym m.in. przez Jana Olszewskiego opozycyjnym Polskim Porozumieniem Niepodległościowym, wspierał KOR. W 1980 roku został członkiem założonego w Australii komitetu Polcul Foundation (Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej).

Otrzymał wiele prestiżowych nagród, m.in. Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku i Fundacji im. Kościelskich w Genewie, paryskiej „Kultury", londyńskich „Wiadomości", PEN Clubu oraz włoską Premio Viareggio Internazionale. Kawaler Krzyża Virtuti Militari i Orderu Orła Białego. Zmarł nocą z 4 na 5 lipca 2000 roku w Neapolu.

Gustaw Herling-Grudziński należy do grona najważniejszych polskich pisarzy XX wieku. Jest autorem tłumaczonych na wiele języków wspomnień z pobytu w sowieckich więzieniach i obozach, które po polsku ukazały się w Londynie w 1953 roku pod tytułem *Inny świat*. To wstrząsający opis życia łagrowego, w którym zanegowane zostały tradycyjne zasady etyczne, a prawo człowieka do wolności i godności brutalnie zderza się z wszechobecnym terrorem i regułami państwa totalitarnego. Herling-Grudziński był także autorem zbiorów opowiadań, recenzji, szkiców i rozpraw literackich. Przez wiele lat prowadził zapiski publikowane jako *Dziennik pisany nocą*, gdzie znaleźć można wiele myśli poświęconych m.in. sztuce i polityce.

Tuż po wojnie Józef Czapski napisał: „Kiedy Grudziński szedł w nocy z 16 na 17 maja [1945] jako radiooperator, przydzielony do wysuniętego obserwatora artylerii na patrol na wzgórze 593, zwrócił się doń jego dowódca, mjr Stojewski, którego zwłoki w niecałą dobę później znosił tenże Grudziński wraz z kolegami z owej góry ofiarnej: «Nie wiem, chłopcze, czy wrócisz, ale pamiętaj, ile od ciebie zależy». [...] Grudziński pamięta, że uczestnicząc w walce dzisiejszego pokolenia o to, by nie zdziczeć na wyspie oddalonej, musi jak na wzgórzach Monte Cassino na każdej stronicy swych pism trwać w nieustającej komunii z żywymi i umarłymi w obronie niewidzialnego miasta, którego charakteru ludzie strzegą".

ISB, KPRP

FOT. © KPRK

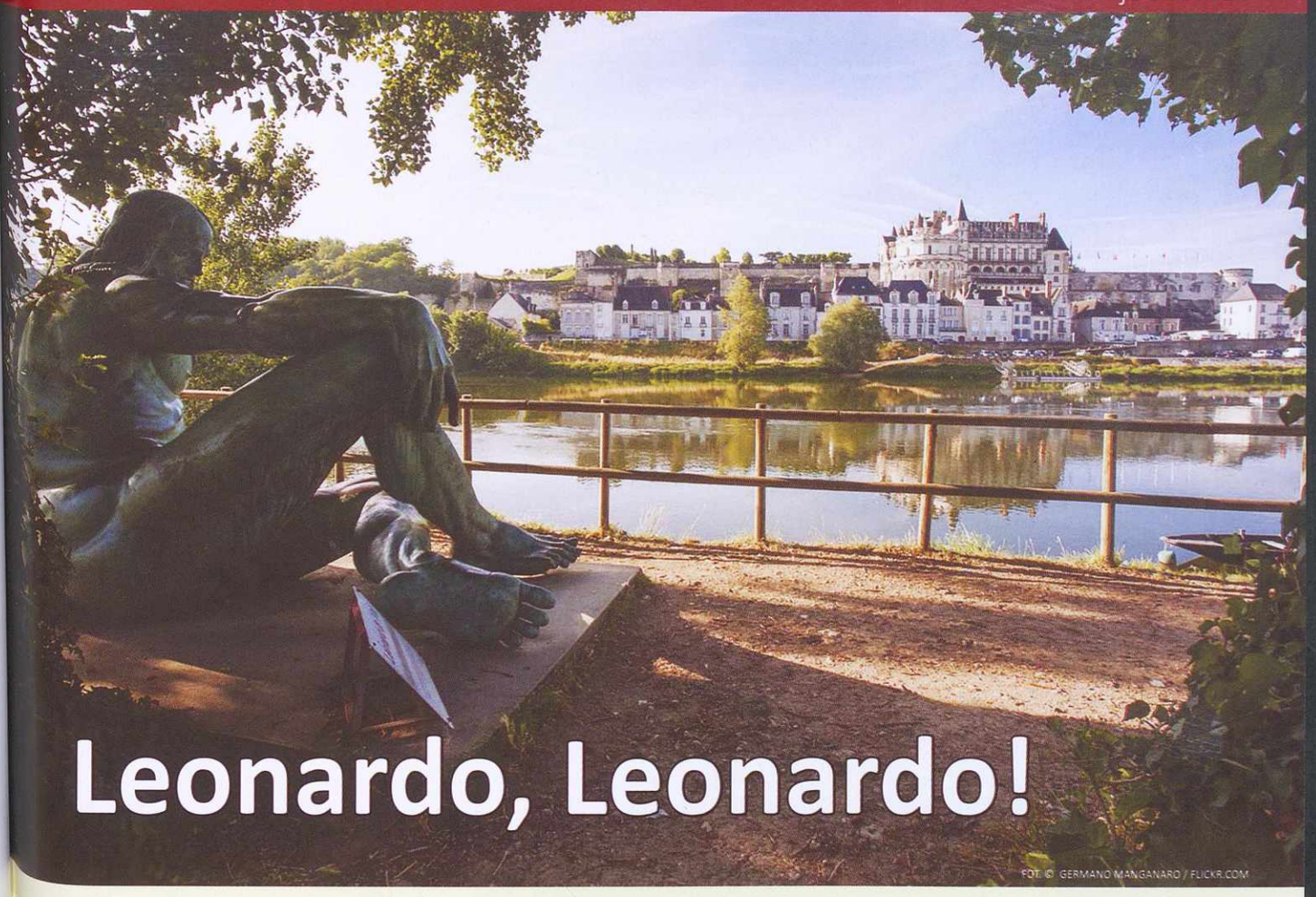

Leonardo, Leonardo!

FOT. © GERMANO MANGANARO / FLICKR.COM

HENRYK FALKOWSKI

W tym roku mija 500. rocznica śmierci Leonarda da Vinci. Obok Erazma z Rotterdamu i Michała Anioła, zaliczany jest do wielkiej trójcy geniuszy renesansu. Georgio Vasari nazwał ten okres w historii kultury europejskiej odrodzeniem, po – jego zdaniem – ciemnych wiekach średniowiecza.

Leonardo był dzieckiem miłości jego ojca Piotra, notariusza z miasteczka Vinci, z wiejską dziewczyną o imieniu Katarzyna. Trzeba przyznać, że ojciec zadbał o syna, który od dzieciństwa zwracał na siebie uwagę ówczesnych. Uważany był za dar Boga, zresztą jak wszystko co potem stworzył. Trudno będzie wyliczyć te kolejne dzieła – spuścizna po Leonardo wielokrotnie zmieniała właścicieli, była skupowana, rozprzedawana – najwięcej źródeł dotyczących jego życia znajdzie historyk w Anglii, na zamku Windsor. Dobrze to świadczy o rządzącej tam do dzisiaj dynastii hanowerskiej.

Tak więc Leonardo miał być niezwykłej urody, odznaczał się wielką siłą fizyczną, a jednocześnie pięknie grał na lutni i doskonale śpiewał. W rozmowie był przyjemny, przyciągał do siebie nie tylko umysły ludzkie ale i zmysły. Nie dbał o majątek, nie można powiedzieć, że nic nie posiadał. Miał służbę, bardzo lubił konie i ptaki. Te ostatnie często kupował, tylko po to, aby je wypuścić na wolność.

Jeszcze jako młody człowiek dyskutował kwestię budowy kanału rzeki Arno pomiędzy Pizą a Florencją. W tym kontekście projektował młyny i śluzy, konstruował modele, które bez fizycznego wysiłku mogły podnosić skały i przebijać przez nie tunele. Pozostawił rysunki dźwigów, żurawi i śrub, które miały wyciągać ciężary na duże wysokości. Rysował, jak należy pogłębiać porty, czy – przy pomocy pomp – ciągnąć z głębi ziemi wodę. Dziś są to oczywistości, ale za czasu renesansu były to idee rewolucyjne.

Pierwszym nauczycielem malarstwa był dla Vinci Verrocchio. Na obrazie swojego nauczyciela „Chrzest Chrystusa" domalował anioła trzymającego szaty. Zrobił to tak doskonale, że Verrocchio do końca życia nie wziął już do ręki pędzli. Następnie Leonardo namalował obraz Matki Boskiej, który został wręczony papieżowi Klemensowi VII.

Przez całe życie studiował światłocień, interesowało go, jak szarość staje się czarniejsza od poprzedniej. Było mu to potrzebne, aby światło bardziej błyszczało – można w tym działaniu widzieć prekursorstwo baroku, kolejnej epoki w historii kultury i sztuki. Leonardo potrafił cały dzień chodzić za osobą i studiować jej twarz i układ włosów. Tak narysował węglem (ołówkiem) portret Amerigo Vespucci kartografa-hochsztaplera, który przywłaszczył sobie odkrycie Ameryki.

Od 1483 roku Leonardo przebywał w Mediolanie rządzonym przez Sforzów. Tu wykonał dla siebie lutnię ze srebra o kształcie czaszki... konia. Często improwizował grając dla księcia Ludwika, może był też pierwszym jazzmanem.

Ciąg dalszy na s. 8 →

Andrea del Verrocchio, „Chrzest Chrystusa", ok. 1450-1470 FOT. © GALERIA UFFIZI

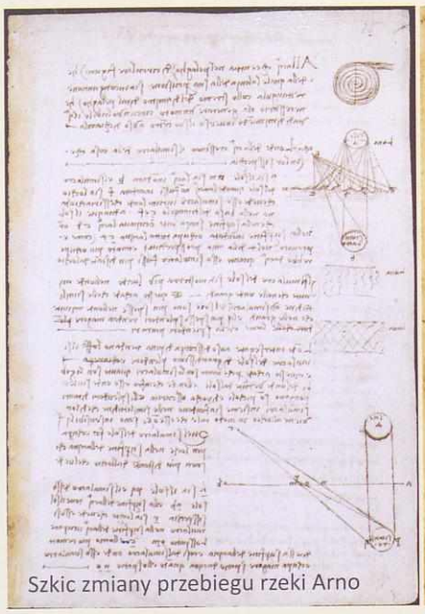
Szkic zmiany przebiegu rzeki Arno

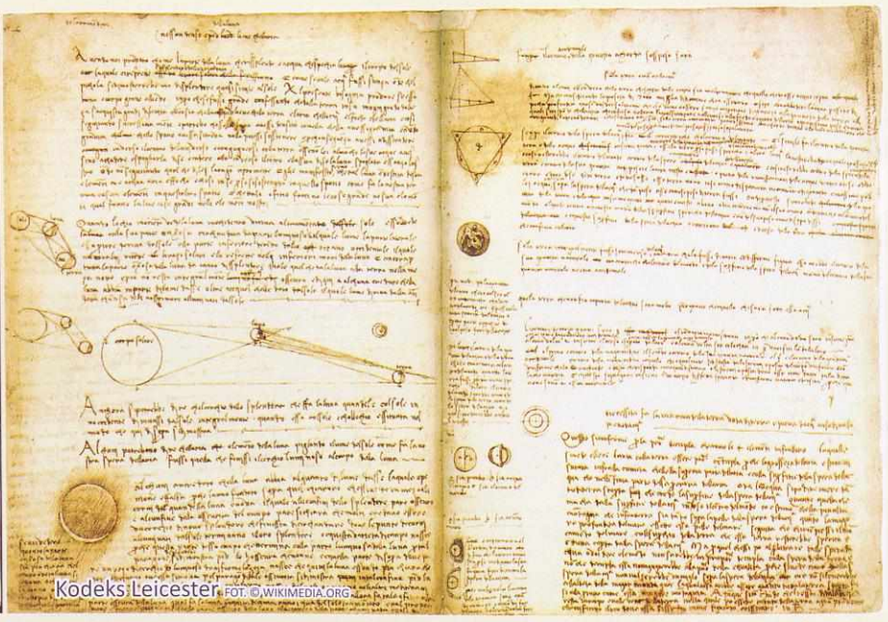
Kodeks Leicester FOT. © WIKIMEDIA.ORG

→ Ciąg dalszy ze s. 7

Książę poprosił geniusza o namalowanie obrazu Narodzenia, powszechnie dziś nazywanego „Madonna w grocie". Miał to być prezent dla cesarza Maksymiliana, obecnie trafił do Luwru w Paryżu. Tak działał, świadomy czy nieświadomy, renesansowy PR Leonarda. Jego najwybitniejszym dziełem pozostanie pewnie „Ostatnia wieczerza" nowatorsko namalowana olejno na ścianie refektarza w kościele Matki Bożej Łaskawej. Wokół tego obrazu narosło wiele legend, które współcześnie przedostały się do popkultury. Ja wolę te prawdziwe.

Leonardo permanentnie pracował i zwykle nie kończył swoich prac, tak też było i z tym obrazem. Ukazany został na nim moment, kiedy Jezus mówi, że wśród uczniów jest zdrajca. Dla malarza był to pretekst do ukazania na twarzach uczniów Jezusa lęku, niepokoju, żalu, miłości, no i u Judasza gniewu, nienawiści i zdrady. Twarz Judasza to podobizna głupiego przeora klasztoru dominikanów, z którym Mistrz Leonardo miał ciągłe konflikty. Twarz Pana Jezusa jest niedokończona bo zdaniem Mistrza nie było na ziemi tak boskiej twarzy. Król Francji Franciszek I chciał za wszelką cenę w 1515 roku przenieść ten obraz do swojego królestwa, ostatecznie zrezygnował, bo nie chciał go zniszczyć. Niestety niszczał sam, z wilgoci, dlatego często był restaurowany i stąd te przedziwne dzisiejsze legendy o ukrytych przesłaniach tego dzieła.

Leonardo zaprojektował też posąg Franciszka Sforzy, oczywiście na koniu. Rzeźba miała być odlana z brązu, ale była zbyt duża, aby ktokolwiek mógł to wówczas wykonać. Pozostał zatem gliniany projekt, który zniszczyli żołdacy francuscy podczas wojen włoskich. Był to absolutny pierwowzór, tak potem popularnych, pomników władców i wodzów na koniach. Jedyna kopia miniaturki pomnika zachowała się do dziś w Muzeum Narodowym w Budapeszcie.

Ale i my posiadamy *opus magnum* Leonarda – portret Cecylii Gallerani. Była ona kochanką księcia Mediolanu, którego ze względu na spryt polityczny, porównywano do łasicy. Teraz lepiej zrozumiemy tytuł jednego ze świetniejszych portretów wykonanych przez Leonarda – zwanego zwyczajowo „Dama z łasiczką". Po polsku ukazały się też *Pisma wybrane* Leonarda wydane w 1930 roku przez Leopolda Staffa.

Warto zauważyć, że w wyniku wojen włoskich Geniusz powrócił do Florencji, gdzie zajął się malowaniem obrazu „Zwiastowanie".

„Madonna w grocie", ok. 1483-1490
FOT. © WIKIMEDIA.ORG

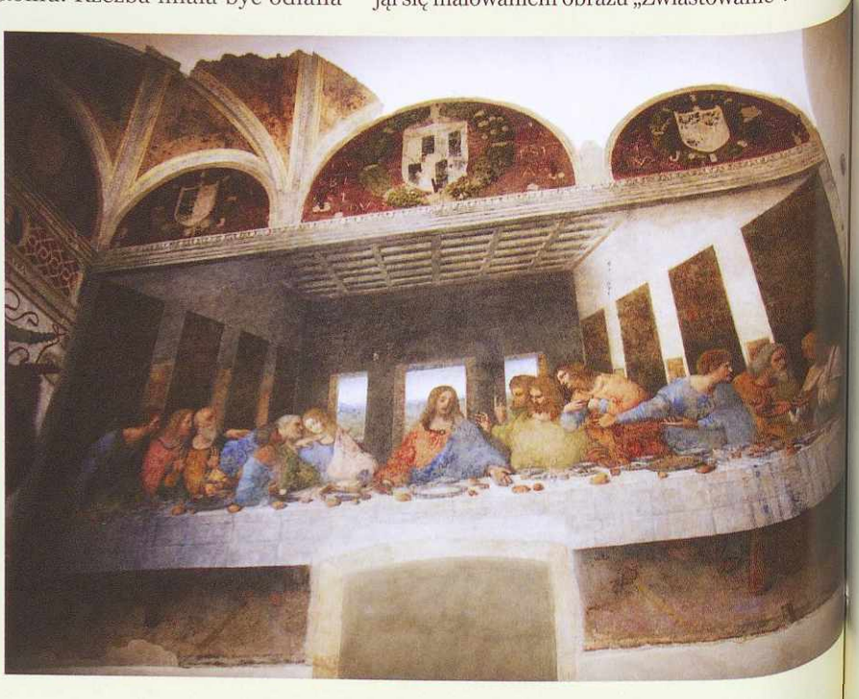

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, LUWR 2014

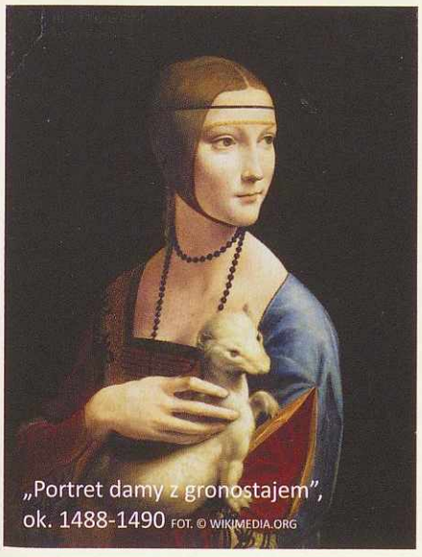

„Portret damy z gronostajem", ok. 1488-1490 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

Jean-Auguste-Dominique Ingres, „Franciszek I przy śmierci Leonarda da Vinci", 1818 FOT. © RÉGER VIOLLET / PETIT PALAIS

Możemy go dziś oglądać w Galerii Uffizi, zapewne jest to jedna z pierwszych wersji obrazu. Kolejnym olejem był światowy klejnot malarstwa – portret żony Franciszka del Giocondo Lizy – „Mona Liza". Dzieło malował cztery lata, ale tradycyjnie jest niedokończone. Gdy je tworzył, sprowadzał muzyków, śpiewaków nawet aktorów; mieli modelkę rozśmieszać. Przez wieki jej wilgotne oczy będą błyszczały życiem, najpierw w Fontainebleau, dziś w Luwrze. We Florencji powstał też obraz, który znamy tylko z rysunku Rubensa. Przedstawiał bitwę pod Anghiari (1440) wojsk kondotierów z wojskami florenckimi. Leonardo był niezwykłą osobowością, świadomy swojego geniuszu. Gdy kiedyś wypłacono Leonardowi miesięczną pensję drobnymi monetami, odmówił twierdząc, że nie jest malarzem za drobne.

Nie sposób wspomnieć wielkiego rywala Leonardo – Michała Anioła, który nie znosił Leonardo i z tego powodu opuścił Florencję. Leonardo po pobycie w Rzymie u papieża Leona X Medyceusza udał się do Francji, do pałacu Cloux koło Amboise. Odwiedzał go tam Franciszek I, który był przy jego śmierci 2 maja 1519 roku.

Artysta został pochowany w kościele Saint Florentin przy zamku Amboise, zgodnie z ostatnią wolą.

Na podstawie: Giorgio Vasari, *Żywoty najwybitniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, przekład K. Estreicher, Warszawa 1980.

Embrion w łonie matki, ok. 1510-1512 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

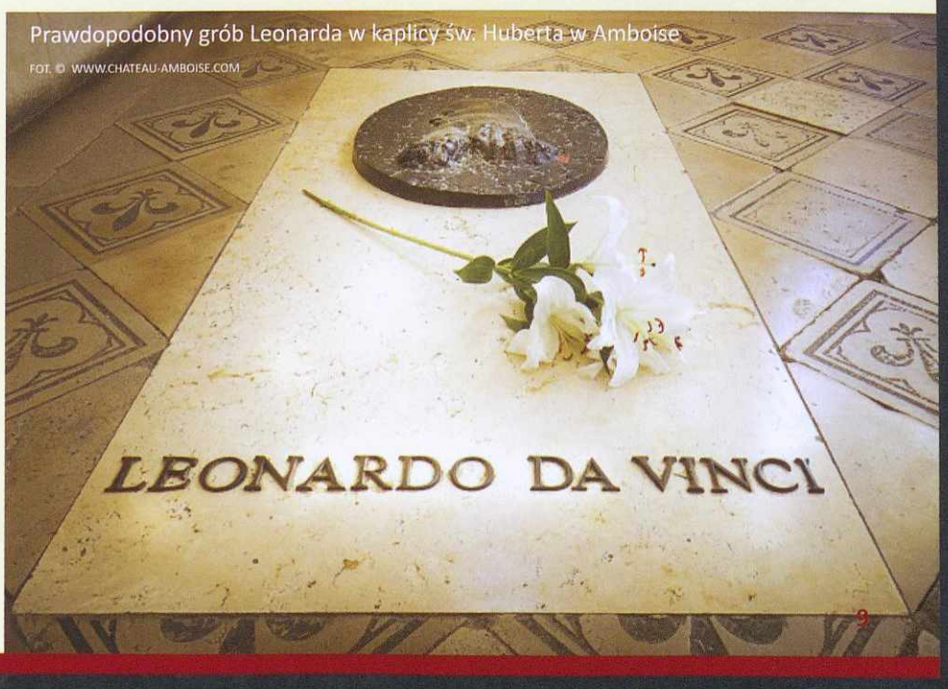

Prawdopodobny grób Leonarda w kaplicy św. Huberta w Amboise FOT. © WWW.CHATEAU-AMBOISE.COM

OTWARCIE WYSTAWY Z OKAZJI 250. ROCZNICY UTWORZENIA WARMIŃSKIEJ POCZTY PRZEZ BISKUPA IGNACEGO KRASICKIEGO

MUZEUM HISTORYCZNE SKIERNIEWICE
ul. Stefana Batorego 64 J
96-100 Skierniewice

5 czerwca 2019, godz. 14.00

MUZEUM HISTORYCZNE SKIERNIEWIC
www.muzeumskierniewic.pl

STOWARZYSZENIE SYMPATYKÓW FILATELII MALTAŃSKIEJ

PATRONAT HONOROWY

Prezydent Miasta Skierniewice

Patron Honorowy Stowarzyszenia Sympatyków Filatelii Maltańskiej
Bp Andrzej F. Dziuba
Główny Kapelan ŻPKM

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY SDP
Radio Victoria fm
GOŚĆ NIEDZIELNY

Tradycyjnie, 29 kwietnia – w dzień, w którym chrzest przyjął twórca nowoczesnego baletu Jean-Georges Noverre (1727-1810) – obchodzono Międzynarodowy Dzień Tańca. Przesłaniem tego Dnia, ustanowionego w 1982 roku przez Komitet Tańca Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI), jest celebrowanie tańca, czerpanie radości z uniwersalnego charakteru tej formy sztuki, przekraczanie granic politycznych, kulturowych i etnicznych oraz łączenie ludzi za pomocą uniwersalnego języka tańca. Co roku w świat wysyłane jest przesłanie wybitnego choreografa lub tancerza wybranego przez Międzynarodowy Komitet Tańca ITI we współpracy ze stowarzyszeniem World Dance Alliance. W bieżącym roku autorką orędzia jest egipska tancerka, choreograf i pedagog Karima Mansour.

Na początku był ruch...

Od zarania dziejów taniec był silnym środkiem wyrazu i sposobem celebracji. Odnaleziony już na malowidłach egipskich faraonów, inspiruje twórców tańca do dnia dzisiejszego. Tańcząc, ludzie przywoływali boginie i bogów tańca wraz ze wszystkimi ich przymiotami, takimi jak równowaga, z której wywodzi się sprawiedliwość, a także muzykalność, ton, indywidualna i kosmiczna świadomość oraz wiele więcej.

Kiedyś przeczytałam zdanie: „W czasach faraonów uważano, że taniec uwzniośla ducha tancerza, widzów oraz wszystkich uczestników wydarzenia. Muzyka i taniec pobudzały w najwyższym stopniu ludzką wrażliwość, przynosząc jednocześnie pocieszenie po rozczarowaniach i niepowodzeniach".

Ruch jest językiem, którym mówimy wszyscy. Ruch jest językiem uniwersalnym, językiem każdego człowieka, jeśli tylko otworzymy nasze zmysły i będziemy chcieli posłuchać. Musimy tylko słuchać. Słuchać bez zakłóceń, bez osądu, słuchać w ciszy i pozwolić, by ruch opanował nasze ciało, ponieważ wszystko w nas i dookoła nas jest w ruchu, nieustannym ruchu. W tańcu ciało nie kłamie, ponieważ wsłuchuje się w swoją prawdę i ukazuje ją. Słuchając bicia naszego serca, możemy tańczyć taniec życia, który wymaga ruchu, zwinności i zdolności adaptacji, ciągle zmieniającej się choreografii.

W dzisiejszych czasach, gdy nasza zdolność do jednoczenia się jest słabsza niż kiedykolwiek, słowa połączenie i łączność nabrały nowych znaczeń. Taniec pozostaje najwłaściwszym działaniem, aby pomóc nam odzyskać utraconą jedność. Taniec przywraca nas do naszych kulturowych korzeni, ale również bezpośrednio do rdzenia ludzkiej istoty w sensie osobistym, indywidualnym, jednocześnie umożliwiając nam bycie zwierzętami społecznymi. Tylko pozostając w zgodzie ze swoim wewnętrznym rytmem, będziemy w stanie nawiązać prawdziwe relacje z drugim człowiekiem.

Taniec jest tam, gdzie kultura jest współdzielona, a poprzez niewypowiedziany język uniwersalności granice zanikają w przestrzeni inkluzji i jedności. Ciało jest narzędziem ekspresji, naczyniem dla naszego głosu, naszymi myślami, naszymi uczuciami, naszą historią, naszym bytem i egzystencją, naszą tęsknotą za wyrażaniem się i łączeniem, co manifestuje się poprzez ruch.

EGY AV CAIRO CONTEMPORARY DANCE CENTER

Taniec jest przestrzenią, w której jednostka może połączyć się ze swoją prawdą, a warunkiem tego jest odnalezienie w sobie ciszy. Taniec pozwala nam łączyć się i odczuwać pełnię, tylko w tym stanie odnajdujemy pokój. Wraz z ciszą przychodzi spokój ducha. Dzięki ciszy możemy usłyszeć, słuchać, mówić, a poprzez bezruch uczymy się tańczyć naszą wewnętrzną prawdę. Wtedy właśnie taniec staje się autentyczny.

Ruch i taniec to obszary, w których możemy przechodzić od tego, co wertykalne, do tego, co horyzontalne, z góry do dołu i odwrotnie. Ruch i taniec jest tam, gdzie chaos daje się (lub nie) kreować i układać na nowo. Jest tam, gdzie możemy tworzyć, raz po raz, naszą własną rzeczywistość oraz ulotne, efemeryczne chwile. Chwile, które mogą nas dotknąć i pozostać w naszych wspomnieniach, inspirować, zmieniać nas i innych na całe życie. To jest moc prawdziwej ekspresji, moc tańca. Taniec to uzdrowiciel. W tańcu ludzkość może się spotkać.

Zapraszam ludzi do przekraczania granic, poza kryzys tożsamości, poza nacjonalizm i poza wszelkie ramy. Do uwolnienia się od ograniczeń i odnalezienia w tym uniwersalnym języku ruchu i pędu. Zapraszam wszystkich do tańca w rytmie bicia własnego serca, wewnętrznej prawdy, ponieważ tylko ruch wewnątrz nas samych prowadzi do wewnętrznej rewolucji, z której może wyniknąć prawdziwa zmiana.

KARIMA MANSOUR

Przekład z angielskiego – Olga Spirewska, PO ITI

Święto Tańca

W Międzynarodowym Dniu Tańca, 29 kwietnia, przed pomnikiem „Tancerki"

w hołdzie Polskim Artystom Baletu

FOT. © GABRIEL MANIA / OSB

obok Teatru Wielkiego – Opery Narodowej złożono kwiaty, oddając w ten sposób cześć wszystkim polskim tancerzom i choreografom.

W uroczystości, której przewodniczyła Bożena Kociołkowska – gwiazda polskiego baletu, prezes Fundacji Sztuki Tańca i inicjatorka budowy pomnika – uczestniczyli uczniowie wszystkich klas wraz z pedagogami i dyrekcją Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie.

Po uczczeniu pamięci artystów, w Auli im. Jana Karnyskiego OSB odbyło się wręczenie tegorocznym absolwentom dyplomów ukończenia Szkoły. Zgodnie z tradycją, absolwentów żegnali ich młodsi koledzy w żartobliwej formie szkolnego mini-spektaklu, przygotowanego z udziałem i pod kierunkiem uczniów klasy ósmej.

Tego samego dnia, na Jazdowie, Fundacja Sztuki Tańca zorganizowała

Międzynarodowy Dzień Tańca w Instytucie Teatralnym

im. Zbigniewa Raszewskiego. Gościem wieczoru był mistrz polskiego i światowego kina – prof. Krzysztof Zanussi. Wieczór poprowadziła prezes Fundacji – Bożena Kociołkowska, która zaprezentowała fragmenty tegorocznego „Orędzia" autorstwa Karimy Mansour oraz swoje przesłanie do ludzi sztuki tańca.

Podczas rozmowy dwojga wybitnych przedstawicieli świata kultury padły ważne pytania i pogłębione refleksje dotyczące sztuki, sztuki tańca, i jej roli w życiu człowieka. Rozmówcy dotknęli fenomenu tańca, który istnieje we wszystkich kulturach, a w XXI wieku wiedzie prym w wielu sztukach.

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Profesor Zanussi mówiąc o znaczeniu sztuki w życiu człowieka z całą mocą podkreślił, że „sztuka ma służyć pięknu". Przypomniał wydarzenie z 2004 roku, kiedy to w Watykanie, w Sali Klementyńskiej – z jego inicjatywy oraz Fundacji Centrum Twórczości Narodowej (projekt „Karuzela Cooltury"), której celem było zbliżanie tzw. kultury wysokiej i sztuki ulicy – przed papieżem wystąpili polscy mistrzowie w breakdance: „Kwiat", „Bożek" i „Wezyr".

Jan Paweł II wyraźnie przejęty występem młodych ludzi, wypowiedział wówczas znamienne słowa o sztuce i pięknie. Zwracając się do tancerzy wskazał na cel, jaki im przyświeca. Jeśli robicie to dla sławy, pieniędzy, rozgłosu, oklasków to robicie dla samozadowolenia, ale jeżeli robicie to dla samego piękna tego ruchu to jesteście prawdziwymi artystami, bo sztuka w swojej istocie musi być bezinteresowna. „Talent artystyczny to jest Boży dar i kto odkrywa go w sobie, odkrywa zarazem pewną powinność: wie, że nie można zmarnować tego talentu, ale trzeba go rozwijać. Zdaje też sobie sprawę, że nie rozwija go dla samozadowolenia, ale po to, aby swym talentem służyć bliźniemu i społeczności, w której przychodzi mu żyć" – mówił wówczas papież.

– Sztuka ma służyć pięknu bezpośrednio – podkreślił prof. Krzysztof Zanussi. – Wszystko inne jest skażone. Sztuka „na służbie" jest skażona, tak jak koń zaprzężony do wozu... Przykładem sztuki „skażonej" może być reklama, gdzie piękno jest „na służbie", czy propaganda – gdzie sztuka zostaje „zaprzężona" do doraźnych celów.

Podczas wieczoru na Jazdowie, oprócz rozmowy z Krzysztofem Zanussim uczestnicy spotkania mogli również obejrzeć fragmenty jego filmów, w których mistrz „opowiada kamerą" o tańcu.

Natomiast w drugiej części spotkania wystąpiły młode, ale już dostrzeżone, tancerki Polskiego Baletu Narodowego: Joanna Drabik i Anna Hop – laureatka I Ogólnopolskiego Konkursu „Perły Tańca" za najlepszą choreografię w 2019 roku. Artystki zaprezentowały performans taneczny „Mów *don't move*", w choreografii Joanny Drabik.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Międzynarodowy Dzień Tańca

Od trzech lat, również w Polsce, dzięki pomysłowi prezes Fundacji Sztuki Tańca Bożeny Kociołkowskiej – jednej z najbardziej zasłużonych artystek sztuki tańca XX wieku, primabaleriny Państwowej Opery Warszawskiej i Teatru Wielkiego w Warszawie, choreograf i pedagog – polscy artyści sztuki tańca piszą podobne Orędzie z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca. Autorem Orędzia w 2017 roku był Krzysztof Pastor, w 2018 – Jacek Przybyłowicz i w bieżącym roku – sama pomysłodawczymi – Bożena Kociołkowska.

Taniec towarzyszy nam od zarania dziejów. Jest zjawiskiem ogromnym i niezwykle złożonym. Krzyżują się w nim różne style, gatunki i formy ekspresji. Pomimo różnic wpływają one na siebie i wzbogacają. Ten język ciała, niezależnie od gatunku czy stylu, stanowi najbardziej uniwersalny, wszędzie zrozumiały sposób komunikowania się.

Rozwijajmy Sztukę Tańca!

Niech wskazuje nam wszystkim drogę do wzajemnego poznania i zrozumienia, pomimo istniejących różnic.

Krzysztof Pastor
dyrektor Polskiego Baletu Narodowego
Warszawa 2017

Pierwszym reformatorem sztuki tańca był Jean-Georges Noverre, francuski tancerz i choreograf. Sformułowane przez niego po raz pierwszy w 1760 roku tezy wyrażały potrzebę dokonania gruntownych zmian w dziedzinie tańca. Zmian, które obejmowały również sposób myślenia o tańcu pojmowanym jako forma sztuki scenicznej.

W 2018 roku będąc już w pełni niezależną dziedziną sztuki taniec wciąż rozwija się i podlega stałej ewolucji. Będąc eklektyczną i bardzo zróżnicowaną formą niezmiennie zmusza do refleksji, wywołując emocje wśród widzów na całym świecie. Równie silnych jak te, których dostarczał w epoce Noverre'a. Albowiem język tańca, nie tylko pojmowanego jako forma sceniczna, jest językiem uniwersalnym, zrozumiałym niezależnie od szerokości geograficznej. Łączącym różne kultury i systemy społeczne. Oddziaływującym dużo głębiej i silniej niż zwykliśmy o tym myśleć raz w roku przy okazji Międzynarodowego Dnia Tańca obchodzonego ku czci Novvere'a 29 kwietnia.

Wydobywający się z ludzkiego ciała, które jest najdoskonalszym z instrumentów, taniec od wieków jest efektem naturalnej potrzeby głęboko zakorzenionej w ludzkiej podświadomości. Podobnie jak rytm, puls i ruch, taniec jest jednym z podstawowych bodźców zakodowanych w nas samych. I takim niewątpliwie pozostanie dla następnych pokoleń.

Jacek Przybyłowicz
tancerz i choreograf
Warszawa 2018

Zbliża się Międzynarodowy Dzień Tańca. Zapewne będzie, jak co roku, w Polsce i na świecie obchodzony z honorami. Wybitny artysta napisze orędzie, w którym będzie obwieszczał jak bardzo taniec jest sztuką piękną, ważną i potrzebną, i że powinien rozwijać się dla dobra intelektualnego człowieka.

Lokalne władze uhonorują okolicznościowymi nagrodami tancerzy, choreografów, pedagogów i pracowników teatrów. Oczywiście nastąpi wysyp premier, które uświetnią uroczystości.

Chciałam zatem w tym szczególnym dniu złożyć życzenia ludziom sztuki tańca z okazji ich święta, aby nie ustawali w twórczym rozwoju tej pięknej sztuki dla dobra polskiej i światowej kultury.

„Życie nie jest czymś, co znajdujesz, ale czymś, co tworzysz".

Bożena Kociołkowska
prezes Fundacji Sztuki Tańca
Warszawa 2019

Polski Balet Narodowy, „Jezioro łabędzie", 2017

FOT. © TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA

Nagroda Watergate

Poczucie bezkarności

Z Aliną Suworow, laureatką Nagrody Watergate w konkursie SDP, rozmawia Marek Palczewski.

Marek Palczewski: Specjalizuje się Pani w reportażach, które pokazują m.in., jak niszczone są prywatne firmy i łamane ludzkie życiorysy. Nagrodzony reportaż, a właściwie film dokumentalny „Pogrążeni w państwie prawa", dotyczy firmy budowlanej z Żar, na którą wrocławscy urzędnicy nałożyli kolosalne kary, sięgające wielu milionów złotych, za rzekome niedotrzymanie terminów realizacji projektów. Jak to było możliwe w państwie prawa?

Alina Suworow: W filmie pokazujemy mechanizm zniszczenia firmy i działania urzędników na granicy prawa. Już na samym początku umowa została tak skonstruowana, że urzędnicy mogli obciążyć firmę kolosalnymi karami – 90 tys. euro za każdy dzień zwłoki. Mimo, że prace były realizowane w terminie i podpisywane protokoły odbioru, to naliczono horrendalne kary za okres, który objęty był jeszcze gwarancją. To faktycznie było pozbawione logiki i wyglądało absurdalnie, ale stało się tak ponieważ zabrakło mechanizmów, które mogłyby na bieżąco zweryfikować absurdalne działania urzędników. Teoretycznie, powinna zająć się tym Izba Obrachunkowa, która weryfikuje działania samorządów, ale w praktyce – jak się okazało – urzędnicy Izby nie badali tych decyzji, a cedowali je na sądy. Tymczasem, aby udowodnić w sądzie błędne poczynania samorządowców – potrzeba i czasu, i pieniędzy.

Pani dokładnie prześledziła zmagania przedsiębiorcy budowlanego z urzędnikami. Z czego wynikała ta samowola urzędnicza?

Myślę, że z poczucia bezkarności i świadomości niewydolności prawa w ściganiu nadużyć dokonywanych przez urzędników. Poczucie bezkarności doprowadziło, moim zdaniem, do podejmowania niewłaściwych, szkodliwych i wrogich decyzji, które w konsekwencji zrodziły patologiczną sytuację i doprowadziły do upadku duże polskie firmy budowlane.

Film pokazuje patologię decyzyjną, tak można powiedzieć, bo sąd arbitrażowy w Paryżu przyznał rację przedsiębiorcy, panu Stefanowi Bielawskiemu. Jednak chyba nikt nie może być w pełni zadowolony z tego wyroku, gdyż urzędnicy podejmujący tamte decyzje nie ponieśli żadnej odpowiedzialności...

Alina Suworow – od 18 lat współpracuje z 1 i 2 programem TVP. Zaczynała w „Magazynie Ekspresu Reporterów" pod kierownictwem red. Blanki Danilewicz. Dla tego programu zrealizowała kilkadziesiąt reportaży. W 2003 roku została wyróżniona w Ogólnopolskim Konkursie Dziennikarzy i Publicystów Prawnych za reportaż „Dług z zaświatów". Współpracowała także z programem „Misja Specjalna" w TVP 1. Miała dwie nominacje w konkursie GRAND PRESS (2013, 2016) oraz nominację w konkursie MEDIATORY (2017). W 2019 roku otrzymała nagrodę Watergate za dokument „Pogrążeni w państwie prawa", przyznawaną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w kategorii dziennikarstwa śledczego.

Procedowanie przed sądem arbitrażowym w Paryżu było bardzo kosztowne – na poczet procesu trzeba było zapłacić kilkaset tysięcy złotych – i czasochłonne. Proces trwał kilka lat. Urzędnicy z Wrocławia podważali wyroki arbitrażu w Paryżu i wnosili apelacje. W konsekwencji wszystkie procesy przegrali, narażając tym samym Skarb Państwa na wielomilionowe straty. Moim zdaniem, chodziło o to, by proces przeciągnąć w czasie, aby urzędujący wówczas nie ponieśli odpowiedzialności

i bezpośrednio nie byli narażeni na ataki ze strony, na przykład, mediów. Zawsze mogli zasłaniać się odpowiedzią, że wyroki nie są jeszcze prawomocne. Tymczasem wszystkie wyroki się uprawomocniły. Sądy orzekły, że urzędnicy nie mieli prawa naliczyć tak wysokich kar, które zniszczyły przedsiębiorcę. Ale nikt nie pociągnął do odpowiedzialności tych, którzy podejmowali wówczas te decyzje i podpisywali się pod nimi. Wprawdzie prokuratura we Wrocławiu prowadziła w tej sprawie śledztwo, ale je umorzyła.

Dlaczego tak się stało?

To pytanie należałoby skierować nie do reportera, lecz do organów ścigania. Dlaczego śledztwo zostało umorzone? Dlaczego odpowiedzialni za ten proceder nie ponieśli dotychczas odpowiedzialności? My dziennikarze, reporterzy – możemy jedynie pytać, pytać, pytać i... czekać.

W reportażu śledczym ważny jest sukces reportera polegający na tym, że komuś zostaje wynagrodzona krzywda, a odpowiedzialny za nią zostaje ukarany. Słowem, dziennikarz jest tym, kto zmienia, naprawia rzeczywistość. Co się zmieniło po Pani filmie?

Sukcesem i zadaniem reportera, dziennikarza, jest odpowiednie pokazanie tematu, wnikliwa analiza udokumentowanego materiału. Następnie, uświadomienie i uwrażliwienie odbiorcy, ukazanie patologii w taki sposób, aby właściwe instytucje państwa podjęły odpowiednie działania. I w tym kontekście jest tak, że dziennikarz przyczynia się do zmiany i naprawy rzeczywistości. Już po emisji filmu prokuratura na nowo wszczęła śledztwo w zakresie przekroczenia uprawnień przez odpowiedzialnych urzędników. Śledztwo jeszcze się nie zakończyło.

Postawiła Pani oskarżenia wobec urzędników, ale może to także prawo, które urzędnikom pozwoliło na wydawanie takich decyzji, jest niedoskonałe i należałoby je zmienić?

Z całą pewnością prawo w tej kwestii jest dalekie od doskonałości. Gdyby urzędnicy odpowiadali za błędne decyzje własnym majątkiem, to pewnie nie podejmowaliby tak kontrowersyjnych decyzji skutkujących patologią. Jednak nie chodzi tylko o urzędników w samorządach. W tym filmie pokazaliśmy też decyzję sędziego we Wrocławiu, który uznał kary naliczone przez urzędników za wiarygodne i wstrzymał działania komornika wobec Miasta. Tą decyzją sędzia wbił gwóźdź do trumny upadającej firmy i przyczynił się do utraty blisko tysiąca miejsc pracy. Postanowienie sądu zostało wprawdzie zmienione, ale dopiero po kilku miesiącach. W tym czasie firma upadała, komornicy licytowali majątek. Z pewnością odpowiednie organa Państwa powinny przyjrzeć się przepisom, które pozwoliły na dokonanie tak kontrowersyjnej operacji sprzecznej z poczuciem sprawiedliwości społecznej.

Będzie dalszy ciąg tej sprawy?

Chciałabym za jakiś czas powrócić do tego tematu i zrealizować ciąg dalszy. Wszystko będzie zależało od rozwoju wydarzeń i od tego, czy sprawa ta znajdzie się w zainteresowaniu redakcji w TVP.

W tego typu dziennikarstwie, które Pani uprawia w swoich reportażach („Pogrążeni w państwie prawa", „Wrobieni w kredyty"), co właściwie przychodzi najtrudniej: dotarcie do informatorów, pozyskanie odpowiednich dokumentów poświadczających aferalność spraw, czy może uzyskanie wypowiedzi osób za nie odpowiedzialnych?

Zwykle najtrudniej jest dotrzeć do osób odpowiedzialnych. Stosują różne wybiegi, aby zniechęcić dziennikarza. W tym wypadku prezydent Wrocławia odmówił wystąpienia w programie, zasłaniając się różnymi obowiązkami. Wtedy dotarliśmy do jego wypowiedzi archiwalnych, które wpisywały się w dramaturgię filmu. Myślę, że to się udało. Także odpowiedzialna urzędniczka nie chciała początkowo umówić się na spotkanie, ale nie zrezygnowaliśmy i ostatecznie udało się zastać ją w pracy i namówić na rozmowę przed kamerą. Podobnie było z prezes Regionalnej Izby Obrachunkowej we Wrocławiu. W tej kwestii dziennikarze, którzy realizują program telewizyjny mają najbardziej utrudnione zadanie. Moim koleżankom i kolegom po fachu radzę nie odpuszczać w takich przypadkach. Naszą rolą jest zadawać pytania, często trudne pytania. Działamy w interesie społecznym.

I to jest ten podstawowy cel i źródło satysfakcji?

Bardzo ważne, chyba najistotniejsze, przynajmniej – w moim przypadku i dla wielu moich redakcyjnych koleżanek i kolegów. To nas legitymizuje w zadawaniu kolejnych trudnych pytań i ekspozycji tematów. Ważna jest ponadto w tej pracy współpraca z redakcjami, podejście, atmosfera, klimat.

A jakie zasady warsztatowe są najważniejsze w pracy dziennikarskiej?

Umiejętność dostrzegania ważnych spraw, które przeradzają się w pomysł na reportaż, film. Wnikliwość i dotarcie do wszystkich stron konfliktu. Obiektywizm w ocenie i dystans do przedstawianej sprawy. Empatia wobec bohaterów i umiejętność wydobywania emocji. Sukces reportażu gwarantuje: temat, sposób jego opowiedzenia i emocje.

Rozmawiał MAREK PALCZEWSKI

Nowości wydawnicze

Hybrydowy Polak, według autorów książki Andrzeja Olasa i Andrzeja Targowskiego, to taki nasz rodak, który potrafi żyć, działać, odnosić sukcesy i porażki, a także być szczęśliwym w dwóch różnych środowiskach – czy to politycznych, czy obywatelskich – zarówno na obczyźnie, jak i w kraju, nie tracąc przy tym patriotycznej, ekonomicznej i innych więzi z ojczyzną. Tym samym jest on giętkim i sprytnym, a może i mądrym mieszkańcem różnych środowisk; ułatwia mu to przetrwanie, staranie się o lepszy byt. Uzyskuje w ten sposób zadowolenie z życia, którego z różnych względów, najczęściej politycznych i ekonomicznych, nie zapewnia mu życie w jednym środowisku. To obywatel świata, najczęściej z podwójnym obywatelstwem.

Na kartach książki śledzimy losy bohaterów – ich dzieciństwo (obaj autorzy są dziećmi Powstania Warszawskiego) poczynając od czasu II wojny światowej, ich młodość przypadającą na okres utrwalania władzy komunistycznej i kolejne kryzysy reżimu, wiek dorosłości z biedą, tułaczką w poszukiwaniu lepszego losu, pobytem na emigracji w Ameryce, powrotami do Polski i wreszcie z obecną sytuacją w Polsce. Jednocześnie odgrywa się teatr narodowy – towarzyszące opowiadaniom komentarze pokazują losy naszego kraju w szerszej perspektywie, tak jak jest to widziane przez doświadczonego Polaka.

Zbiór opowiadań prof. Andrzeja Olasa i komentarzy dr. Andrzeja Targowskiego ukazał się nakładem toruńskiej Oficyny Wydawniczej Kucharski.

Andrzej Olas, Andrzej Targowski, *Hybrydowi Polacy. Zbiór opowiadań i komentarzy*, Toruń – Vero Beach – Los Angeles 2018, ss. 256

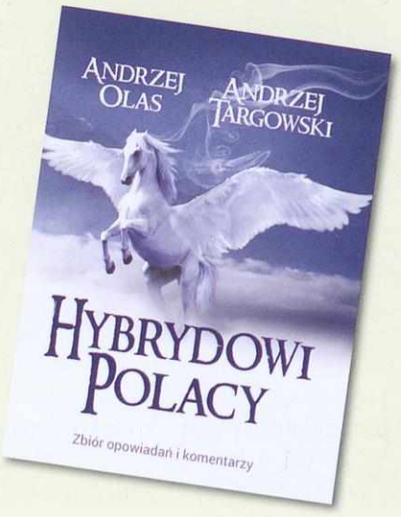

Po strajku nauczycieli

Nauczyciele przegrali kwietniowy strajk, podobnie jak w maju 1993 roku. Skutkiem tamtego strajku był upadek rządu i przedterminowe wybory. W ich wyniku władzę uzyskała ówczesna opozycja. Czy po tegorocznych jesiennych wyborach ta historia się powtórzy?

Przyczyny strajku

W pierwszej połowie rządów koalicji PO-PSL, w latach 2007-2015, nauczyciele otrzymali spore podwyżki. Później pensje zostały zamrożone. W ten sposób powróciliśmy dziś do czasów, kiedy służby mundurowe i inni pracownicy zarabiają więcej niż pedagodzy.

Wystąpienia polityków obecnego obozu rządzącego pokazują, że nie zabiegali oni o zrozumienie i złagodzenie sytuacji, ale wręcz przeciwnie – atakując nauczycieli, nastawiając przeciw nim uczniów i ich rodziców – zaogniali sytuację. Wypowiedzi ministra Szczerskiego czy posła Suskiego przekonały wielu wątpiących nauczycieli do głosowania w referendum za akcją strajkową. Większość polityków PiS nie zabiegała podczas pracy nad budżetem państwa o podwyżki dla nauczycieli, ponieważ – jak sami mówili – w większości to nie jest ich elektorat. Lepiej pieniądze przeznaczyć na programy socjalne własnego elektoratu.

Mieliśmy do czynienia z wciąganiem do obecnego protestu uczniów. Z jednej strony otwarty list Rady Dzieci i Młodzieży Rzeczypospolitej Polskiej przy MEN, a z drugiej akcja zbierania podpisów przez uczniów solidaryzujących się z nauczycielami w ich proteście.

Ten strajk był też protestem przeciwko ogromnej biurokracji związanej z ciągłymi zmianami przepisów oświatowych. Brak jest jakiejkolwiek stabilizacji – reforma goni kolejną reformę. Nauczyciele pracują w poczuciu chaosu i improwizacji.

Wydłużona ścieżka awansu zawodowego oraz poniżająco niskie płace dla osób wchodzących do zawodu powodują, że młodzi ludzie w szkole pracują krótko. To wszystko powoduje bardzo mały napływ – z każdym kolejnym rokiem szkolnym coraz mniejszy – młodych ludzi do stanu nauczycielskiego. Już obecnie odczuwany efekt tego zjawiska – średni wiek statystycznego polskiego nauczyciela wynosi ponad 40 lat. Rośnie różnica pokoleniowa między uczniami a nauczycielami. Jest to szczególnie widoczne w tak szybko zmieniającym się współcześnie świecie.

Większość nauczycieli w Polsce to pedagodzy dyplomowani. W skali kraju występuje ogromne zróżnicowanie w zakresie wysokości składników wynagrodzeń – stałe są tylko: wynagrodzenie zasadnicze i dodatek za wysługę lat. W uśrednionych dochodach nauczycieli, wyliczanych przez urzędników MEN, powstaje zakłamany obraz dochodów pojedynczego nauczyciela. To wzmaga napięcie w środowisku i daje podstawę do wypowiedzi niekompetentnym politykom. Jest to też przez nich cynicznie wykorzystywane.

Ostatnio wprowadzono rygorystyczne wymagania dotyczące oceny pracy nauczycieli. Na to nakłada się niepokój związany z rekrutacją do klas pierwszych szkół ponadpodstawowych w roku szkolnym 2019/2020. Efekty reformy min. Zalewskiej zobaczą wszyscy od 1 września. Olbrzymie zakresy treści do zrealizowania – tak w szkole podstawowej, jak i ponadpodstawowej – powodują u nauczycieli strach, a u uczniów – poczucie porażki. Rodzice zabiegają o dodatkowe płatne korepetycje lub są zmuszeni wspólnie z dzieckiem odrabiać prace domowe.

Treści i umiejętności zawarte w podstawach programowych wskazują, jak powinno się edukować ucznia, kształtować jego przyszłość. Zostały one przygotowane w MEN w tempie dającym pewność wystąpienia licznych błędów i niedociągnięć. Upublicznienie listy ekspertów przygotowujących podstawy programowe nastąpiło dopiero po wyroku sądu administracyjnego. To budzi uzasadnione zdziwienie oraz obawy o jakość i celowość tych działań.

Stale obserwujemy zbyt małe i zmniejszające się nakłady na edukację. Coraz większe problemy finansowe szkół pojawiają się w biednych gminach. To wszystko widzą nauczyciele i stąd ich decyzja o przystąpieniu do strajku.

Strajk

To, co miało miejsce, było strajkiem nauczycieli, z których mniejszość należy do związków zawodowych. W szkołach ogółem jest zatrudnionych około 700 tys. pracowników, w tym 508 tys. nauczycieli, pozostali to pracownicy obsługi. Ci pracownicy są opłacani przez samorządy, które płacą mało. Należy o nich pamiętać, gdyż bez nich nie może prawidłowo funkcjonować szkoła.

Olsztyn FOT. © M. KIERUL / UMO

Warszawa FOT. © W. RADWANSKI

Kardynalnym błędem związków zawodowych – głównie ZNP – był wybór czasu strajku. Brano przykład z policjantów, którzy wymusili wysokie podwyżki w przeddzień masowych manifestacji w 100. rocznicę niepodległości. Ten szantaż się powiódł, pewnie liczono na podobną reakcję władz. To nie nauczyciele wybrali termin tego strajku. Trzeba pamiętać, że każdy pozazwiązkowy strajk byłby nielegalny. Przypomnę, ponad połowa pedagogów nie należy do związków zawodowych, te zaś dawały strajkującym ochronę prawną. To, że przywódcy związkowi, rząd, politycy, nauczyciele to grupy, które chciały coś ugrać dla siebie – jest w dzisiejszym świecie oczywistością.

W Polsce jest około 20 proc. szkół niepublicznych, ale funkcjonujących na prawach publicznych, tzn. nie są to szkoły prowadzone przez samorządy, ale przez fundacje, stowarzyszenia, Kościoły, zakony. Te szkoły nie strajkowały. Dlatego wielkim sukcesem strajkujących było to, że w pierwszych dwóch dniach strajku około 75 proc. szkół w całej Polsce przeprowadziło akcję protestacyjną. Wtedy strajkujący pokazali swoją siłę. Pomimo kłamliwej propagandy, że strajkuje niespełna połowa szkół wystąpił premier i zaproponował tzw. okrągły stół edukacyjny. Z góry wiadomo, że jest to pomysł dający się porównać z zaproszeniem na herbatkę do babci. W polityce tzw. „okrągłe stoły" organizuje się wówczas, kiedy strony mają już ustalenia. Ale przecież chodzi o to, że przekaz medialny musi być taki, aby naród uwierzył, że miał na coś wpływ. Był to moment, w którym ZNP powinien zawiesić strajk do 2 września, by po nieudanych negocjacjach okrągłego stołu kontynuować, w szczycie kampanii wyborczej, strajk w szkołach. Jak widać, nie o interes nauczycieli tu chodziło.

Od środy 10 kwietnia rozpoczął się egzamin gimnazjalny. Nauczyciele wygaszanych gimnazjów stanęli przed moralnym wyborem: iść czy nie iść do komisji egzaminacyjnych? Zdecydowana większość strajkujących pozostała ze swoimi uczniami i przeprowadziła prawidłowo egzaminy. Propaganda rządowo-partyjna pokazała to jako zwycięstwo rządu, który na kolanie zmieniał prawo tak, aby w tych nielicznych szkołach, gdzie nauczyciele przyjęli radykalną postawę przysłowiowymi katechetami i strażakami – ryzykując legalność komisji – przeprowadzić egzaminy. Był to czas hańby dla wielu dziennikarzy, którzy stali się otwarcie propagandystami tego reżimu politycznego. Później podobnie było z egzaminami po szkole podstawowej. Święta Wielkiej Nocy nie przyniosły otrzeźwienia obu stronom konfliktu. Myślę, że powoli wchodziliśmy w fazę konfliktu społecznego, ponieważ trzeci tydzień około 5 mln uczniów nie uczęszczało do szkół.

W tym momencie podano wiadomość, że Episkopat Polski może pośredniczyć w rozwiązaniu tego konfliktu. Była to pierwsza i niestety jedyna dobra informacja na temat postawy hierarchii kościelnej w tej sprawie. Za błąd uważam decyzję o niewłączeniu się katechetów do strajku wraz z koleżankami i kolegami ze szkół. Nachalne podawanie informacji, że byli oni *de facto* łamistrajkami, nie buduje autorytetu tego środowiska. Ta postawa biskupów była błędem, tak jak wcześniej niezałatwienie do końca spraw lustracji i afer homoseksualnych w naszym Kościele.

I nagle Związek Nauczycielstwa Polskiego wygasił strajk, tzn. zdjął ochronę prawną, a przecież Jarosław Kaczyński po raz pierwszy wypowiedział się właśnie wtedy w sprawie strajku nauczycieli i obiecał, że jeżeli nauczycielom podniesie się tygodniowe pensum godzin, to pozwoli się im wcześniej przejść na emeryturę. PiS obiecywał powrót do sytuacji sprzed reformy emerytalnej PO. Otwierało się pole do kompromisu... A tu nagle ZNP wygasza strajk, pozostawiając bez ochrony prawnej oszukanych nauczycieli. Zdrada!

Jaka jest odpowiedź, która tłumaczy to, co się stało? ZNP wystraszyło się powstającej konkurencji. W trakcie strajku wyrosła nowa struktura Międzyszkolnych Komitetów Strajkowych. Przy dłuższym strajku to one mogły przejąć inicjatywę. Po dwudniowej naradzie szefów regionów ZNP ustalono, że lepiej wygasić strajk, bo MKS-y mogły z czasem stać się silniejsze od rachitycznych związków zawodowych. Drugiej odpowiedzi nie znam, ale może taka być.

Co dalej?

Nauczyciele nie otrzymali zapłaty. PiS utracił i tak nikłe poparcie w tym opiniotwórczym środowisku. Może być to decydujące w jesiennych wyborach parlamentarnych nawet wówczas, kiedy nie zostanie wznowiony strajk we wrześniu. Jeżeli PO wygra wybory parlamentarne może nie dotrzymać obietnicy podwyżek płac dla nauczycieli, bo tych pieniędzy w budżecie krajowym może rzeczywiście zabraknąć. W gospodarce światowej narastają symptomy kolejnego poważnego kryzysu. Jeżeli PiS wygra wybory, to przeprowadzi dużą nowelizację Karty Nauczyciela, lub ją nawet zlikwiduje. A może nauczyciele wyciągną wnioski i wreszcie założą swój samorząd zawodowy...?

Ciąg dalszy nastąpi, bo nie ma końca historii.

HENRYK FALKOWSKI
nauczyciel historii z 29-letnim stażem
(Olsztyn)

Poznań FOT. © AJSCH77

Olsztyn, IV LO FOT. © H. FALKOWSKI

Warszawa FOT. © ANDRZEJ SARAMOWICZ

Szkoła mistrzów

MATEUSZ KOSSAKOWSKI

W tym roku Szkoła Mistrzostwa Sportowego świętowała swoje 40-lecie, a już za rok będziemy świadkami jubileuszu 70-lecia Klubu Sportowego „Baza" Mrągowo. W czym tkwi sukces tej placówki, która od wielu lat szkoli przyszłych żeglarskich mistrzów? Historia, jak to zwykle bywa, rozpoczyna się od grupy pasjonatów, na czele których stanął Józef Jaszczur-Nowicki.

Budowanie przyszłych podwalin

Na tzw. „ziemiach odzyskanych" w Polsce po zakończeniu II wojny światowej trwała wymiana ludności. Do Mrągowa – wówczas jeszcze Ządźborka – oraz innych mazurskich miast i wiosek napływali osadnicy, przeważnie z sąsiedniego Mazowsza i byłych Kresów Wschodnich. Jednym z nich był Józef Jaszczur-Nowicki urodzony w 1932 roku w Wilnie, który wraz z rodziną zamieszkał w Giżycku, gdzie uczęszczał do Liceum Pedagogicznego.

Po ukończeniu szkoły w 1950 roku opuścił jednak miasto i podjął pracę jako nauczyciel wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 1 w Mrągowie. W tym samym roku, 4 listopada, wraz z grupą podobnych sobie entuzjastów, stworzył w mieście klub żeglarski pod nazwą: „Baza Sportów Wodnych w Mrągowie". W późniejszych latach nazwę zmieniano kilkakrotnie, zawsze jednak zawierała słowo „Baza". Wśród założycieli, oprócz Nowickiego, który stał się liderem, byli także: Kurt Jabłoński, Ginter Nisek, Jerzy Kozłowski, Kazimierz Piątkowski, Konrad Gecun i Henryk Warych.

FOT. © ARCHIWUM ZOS „BAZA"

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Przystań żeglarska „Bazy" w Tałtach

FOT. © ARCHIWUM ZOS „BAZA"

Pierwsza siedziba klubu znajdowała się w budynku gospodarczym przy ulicy Chopina 4 nad jeziorem Czos. W początkowym okresie majątek „Bazy" stanowiły trzy łodzie klasy BM – dwie z nich zbudowali żeglarze sami – oraz P-7, który był w rzeczywistości dużym kajakiem z przymocowanym do niego żaglem. W ciągu pierwszych kilku lat działalności klubowicze organizowali w wakacje spływy kajakowe z Sorkwit do Mikołajek i dalej do Giżycka. W późniejszych latach zaczęły się pierwsze starty w żeglarstwie i na bojerach. W 1954 roku reprezentanci „Bazy" wystartowali w spartakiadzie państw zaprzyjaźnionych odbywających się w Giżycku. Było to ich pierwsze

zetknięcie z wielkim sportem. Rywale dysponowali sprzętem, o jakim mrągowianie mogli wówczas tylko pomarzyć. Ku zaskoczeniu wszystkich zgromadzonych kibiców i żeglarzy udało im się regaty wygrać, za co dostali niebagatelną główną nagrodę... wiadro kiszonych ogórków.

W 1959 roku klub pozyskał teren nad jeziorem Tałty, na którym w krótkim czasie i przy zaangażowaniu własnych sił wybudowano przystań żeglarską, będącą później kuźnią wielu żeglarskich talentów i charakterów – wszyscy wszak pamiętają popularne kary pod łagodną nazwą „konewek”. Trzy lata później, w 1962 roku, klub zmienił swój adres, przenosząc się do nowo wybudowanego obiektu przy ul. Nadbrzeżnej 4. Wraz ze zmianą siedziby otworzył się nowy etap w życiu „Bazy”.

Powstanie szkoły

Zespół Oświatowo-Sportowy „Baza” w Mrągowie powstał 1 września 1978 roku. W skład Zespołu weszły: Szkoła Podstawowa nr 3 wraz z internatem (mieszcząca się wówczas przy ul. Warszawskiej 8), Szkolny Ośrodek Sportowy w Mrągowie, mieszczący się nad brzegiem jeziora Czos (przy ul. Nadbrzeżnej 4), Ośrodek Treningowo-Szkoleniowy w Tałtach oraz Warsztaty Szkutnicze w Mikołajkach.

Pierwszych uczniów przyjęto do klas: IV, V i VI szkoły podstawowej. Klasy nie były zbyt liczne.

1 stycznia następnego roku Szkolny Ośrodek Sportowy przekształcono w Międzyszkolny Ośrodek Sportowy „Baza” w Mrągowie. Wiązało się to z powiększeniem w roku szkolnym 1979/1980 o klasy I i III szkoły średniej, która formalnie jako II Liceum Ogólnokształcące Mistrzostwa Sportowego powstała w 1982 roku.

W 1986 roku Poczta Polska wyemitowała serię znaczków przedstawiających sukcesy polskich sportowców w 1985 roku. Jeden ze znaczków upamiętnia triumf mrągowianki Małgorzaty Pałasz-Piaseckiej, która zdobyła złoty medal na Mistrzostwach Świata w Tallinie. Medal był pierwszym złotem zdobytym przez Polską zawodniczkę w klasie „Winglieder” i zarazem pierwszym złotem zdobytym dla „Bazy”. Sukces mrągowianki odbił się szerokim echem w całym kraju. W tym samym roku swój pierwszy medal zdobył na Mistrzostwach Świata w Szwecji Karol Jabłoński, zajmując drugie miejsce w klasie DN.

W 1991 roku rozpoczęto budowę obiektów dydaktyczno-sportowych Szkoły Mistrzostwa Sportowego. W styczniu 1997 roku oddano do użytku nowo wybudowany budynek szkolny wraz z internatem przy ul. Nadbrzeżnej 13. Pierwszym dyrektorem Szkoły Mistrzostwa Sportowego, która jest częścią składową Zespołu Oświatowo Sportowego „Baza”, był Kurt Jabłoński, który od początku wraz z Józefem Jaszczur-Nowickim uczestniczył w tworzeniu mrągowskiej „Bazy”.

Anna Onisiewicz – dyrektor Zespołu Oświatowo-Sportowego „Baza” FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

40-lecie istnienia placówki

Obecnie funkcję dyrektora Zespołu Oświatowo-Sportowego „Baza” sprawuje Anna Onisiewicz. W szkole występuje integracja nauczania i wychowania. Nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących w trzech typach szkół współpracują z trenerami żeglarstwa, kajakarstwa, koszykówki i piłki nożnej. Nauczyciele dostosowują programy nauczania do terminów wyjazdów uczniów zawodników na regaty, mecze, wyjazdy na zgrupowania i obozy sportowe.

Zespół Szkół Mistrzostwa Sportowego „Baza” posiada trzy budynki przy ul. Nadbrzeżnej 13, tj. budynek dydaktyczny, budynek sportowy oraz budynek byłego internatu. Istnieje możliwość zakwaterowania uczniów w budynku po byłym internacie i korzystania z obiadów. Kolejny budynek administracyjny szkół znajduje się przy ul. Nadbrzeżnej 4, nad jeziorem Czos. Są też budynki gospodarcze, garaże, hangary z boksami na wodzie, pomieszczenia do przechowywania kajaków i desek windsurfingowych oraz trzy slipy.

Mrągowska „Baza” wychowała wielu mistrzów i olimpijczyków. W roku szkolnym 2018/2019 zasłużenie obchodzono 40-lecie placówki. Oby doświadczonej kadrze pedagogicznej wystarczyło jeszcze wiele lat determinacji by wychować kolejnych mistrzów.

OLIMPIJCZYCY

Żeglarstwo

Joanna Burzyńska (Barcelona 1992)
Marek Chocian, Zdzisław Staniul (Barcelona 1992, Atlanta 1996)
Paweł Kacprowski, Paweł Kuźmicki (Sydney 2000)
Monika Bronicka, Tomasz Stańczyk, Tomasz Jakubiak (Sydney 2000, Ateny 2004)
Patryk Piasecki, Rafał Szukiel (Pekin 2008)

Kajakarstwo

Tomasz Mendelski (Pekin 2008)
Piotr Siemionowski (Londyn 2012)

Mistrzostwa „Bazy” w Mrągowie
FOT. © MATEUSZ KOSSAKOWSKI

W ramach VI Dni Seweryna Pieniężnego na Warmii i Mazurach, 22 lutego, w mrągowskiej „Bazie" odbyło się spotkanie z red. Romualdem Karasiem, wybitnym reportażystą i dziennikarzem, obecnie zajmującym się ustalaniem faktów z życia mjr. Henryka Sucharskiego. Gość spotkania opowiadał o życiu Majora oraz drodze jaką przebył w celu pokazania prawdy o polskim dowódcy.

FOT. © WOJCIECH JUREK / MRAGOWO24.INFO

Sucharski był bohaterem!
Lekcja żywej historii w „Bazie"

Hala mrągowskiego Zespołu Oświatowo Sportowego „Baza" gościła utytułowanego dziennikarza Romualda Karasia. Tematem prelekcji było życie i dokonania mjr. Henryka Sucharskiego – obrońcy Westerplatte. Całość spotkania poprowadził dziennikarz SDP Krzysztof Kolczyński. Gość przedstawił ogólny rys, nie tylko historyczny, ale również osobowościowy Henryka Sucharskiego, skupiając się na dokumentach opisujących go jako człowieka i dowódcę.

Główną motywacją red. Romualda Karasia, autora książki *Klątwa i cud. Majora Sucharskiego droga na Westerplatte*, jest odkłamanie fałszywego obrazu jaki rozpowszechniany jest o Majorze. Jak podkreśla: „Nie można kogoś zniesławiać, naruszać jego czci [...]. Sucharski jest bohaterem narodowym, który nieprzerwanie dowodził Westerplatte jako komendant. W obliczu groźby śmierci w wyniku wyczerpania się zapasów i amunicji, poddał się żeby ratować 180. ocalałych żołnierzy. Rozkaz obrony wykonał z naddatkiem. Sucharski był człowiekiem mądrym i odpowiedzialnym za życie żołnierzy. Wiedział jak dowodzić. Był kawalerem Orderu Virtuti Militari z 1920 roku, przeszedł doświadczenia frontu włoskiego w czasach I wojny światowej. Na

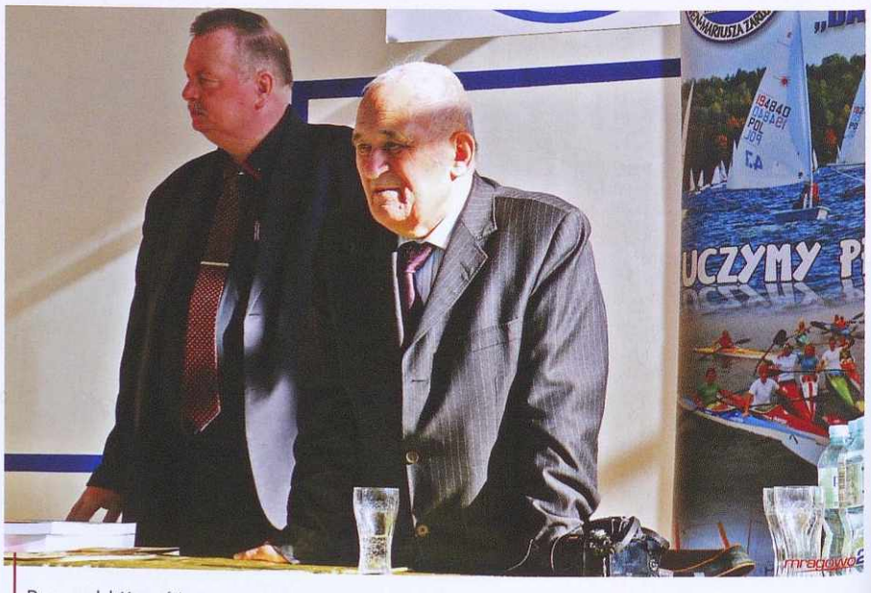

Romuald Karaś i prowadzący Krzysztof Kolczyński FOT. © WOJCIECH JUREK / MRAGOWO24.INFO

Westerplatte skierowany był jako człowiek wywiadu wojskowego. To czego dokonał to to, że czwarte pokolenie rodzin Westerplatczyków może zjawić się 1 września [na Westerplatte] i mówić: «Jesteśmy tutaj dzięki Majorowi Henrykowi Sucharskiemu. Gdyby nie on, nas by tutaj nie było»".

Prelekcję wzbogacały anegdoty o zamiłowaniu Sucharskiego do szachów, które wyparły w jego jednostce karty i gry hazardowe, czy bezskuteczne próby pokonania Majora w tę grę przez legendę polskiego reportażu – Melchiora Wańkowicza. Opowieść o Majorze, wzbogacana była osobistymi refleksjami reportażysty oraz opisem z jak wielkim trudem musi mierzyć się osoba starająca się dociec do prawdy historycznej, pozyskując dokumenty, kontakty czy pamiątki.

Przedstawiciele 8. Szczycieńskiego Batalionu Radiotechnicznego w Lipowcu, od lewej: Leszek Gawryszewski, Aldona Tarasewicz i Łukasz Demianiuk FOT. © WOJCIECH JUREK / MRAGOWO24.INFO

Po skończonym wykładzie, przyszedł czas na pytania, choć nie obyło się bez podziękowań ze strony dyrekcji Szkoły i przedstawicieli Starostwa. Publiczność poruszała kwestie słuszności decyzji o poddaniu Westerplatte. Pytano o zgodność z prawdą historyczną filmów fabularnych z 1967 i 2013 roku. Obraz Stanisława Różewicza oceniony był jako zdecydowanie bliższy prawdy, przedstawiając mjr. Henryka Sucharskiego jako rozsądnego dowódcę.

Zaproszony gość dodał, że jest na półmetku swojej pracy reporterskiej o Sucharskim. Nakład pierwszych dwóch tomów rozszedł się całkowicie, a podróż autora do Włoch [luty-marzec 2019], ma na celu szukanie śladów Henryka Sucharskiego i jego udziału w Wielkiej Wojnie na froncie włoskim, nad rzeką Piawą, po której drugiej stronie stacjonował Ernest Hemingway.

– Major Henryk Sucharski to bohater narodowy. W naszej historiografii dominują raczej postawy romantyczne a powinny realistyczne. Sucharski wiedział, że trzeba bronić Polski, poświęcić się dla niej, ale to był romantyzm kontrolowany przez pozytywistyczne idee – podsumował Romuald Karaś.

WOJCIECH JUREK
Mragowo24.info

Głos zabiera ks. Robert Kaniowski, proboszcz parafii św. Rafała Kalinowskiego w Mrągowie

FOT. © WOJCIECH JUREK / MRAGOWO24.INFO

Paweł Długoborski, wicestarosta mrągowski

Nowości wydawnicze

Majora Sucharskiego droga na Westerplatte
R. Karaś, *Klątwa i cud*, Warszawa 2017, ss. 288
R. Karaś, *Tajemna broń*, Warszawa 2018, ss. 496

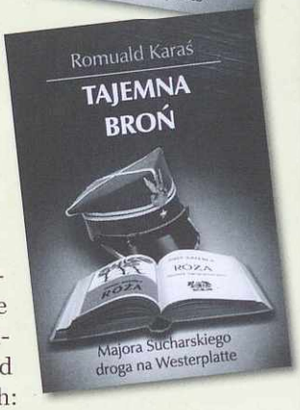

Romuald Karaś, uznany reporter w najlepszych latach polskiej szkoły literatury faktu, postanowił zadać kłam nagonce, jakiej ofiarą stał się nasz bohater narodowy, mjr Henryk Sucharski – obiekt ataków w polskiej prasie, radiu, telewizji, filmach i wielu książkach. Karaś, większości z nich udowadnia i oznajmia: to nieprawda... a tamto było inaczej. Kwestionuje wredne insynuacje, zacząwszy od najgłośniejszych: o załamaniu psychicznym dowódcy Westerplatte i wywieszeniu białej flagi po bombardowaniu placówki 2 września 1939 roku.

Po dniach heroicznej obrony Westerplatte, mjr Henryk Sucharski kierował do swoich żołnierzy idących do niewoli prorocze słowa: „Jeszcze się Polsce przydacie!".

Aleksander Rowiński

Już wkrótce...

trzeci tom dzieła Romualda Karasia o Henryku Sucharskim pt. *Bohater Wielkiej Wojny*

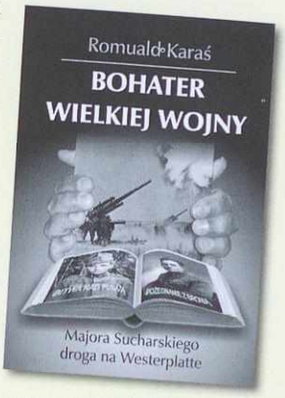

Oficyna Literatów i Dziennikarzy
POD WIATR
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70/48, tel. (+48) 22 636 74 76, (+48) 577 100 706

FOT. © JOANNA BOŻERODSKA / ZW.LT

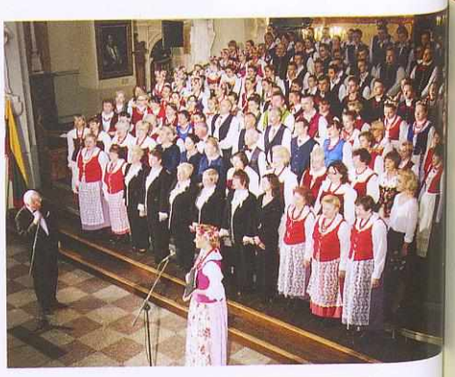

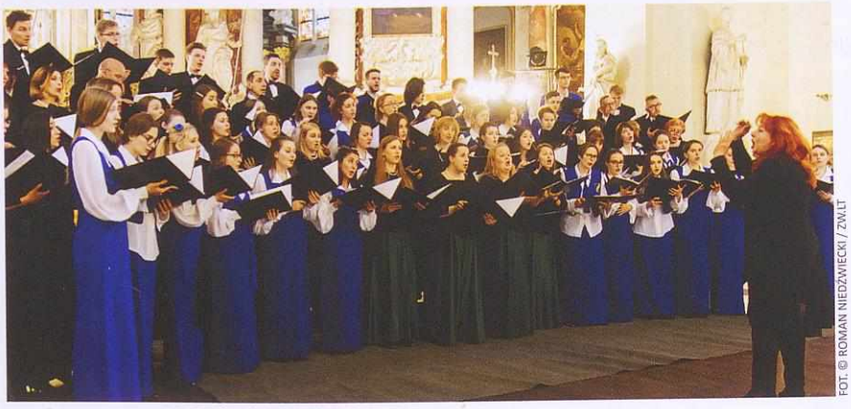

FOT. © ROMAN NIEDŹWIECKI / ZW.LT

Urodzinowo w Wilnie

W maju, z okazji 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, Wilno – z którym związany był ten wybitny polski kompozytor – uroczyście wspominano twórcę polskiej opery narodowej. Instytut Polski w Wilnie wspólnie z partnerami z Polski, Litwy i Białorusi zorganizował urodzinowy tort, koncerty, wycieczki, pokazy filmu oraz zajęcia dla dzieci.

„Urodzinowa czapeczka dla Moniuszki"

3 maja, na Skwerze Moniuszki przy kościele św. Katarzyny, odbył się happening, podczas którego dzieci i młodzież przygotowały urodzinowe czapeczki oraz kartki z życzeniami dla kompozytora. W wydarzeniu wzięli udział wychowankowie i uczniowie Wileńskiej Szkoły Plastycznej dla Dzieci i Młodzieży, Gimnazjum im. Stanisława Moniuszki w Kowalczukach, Liceum im. Adama Mickiewicza, Gimnazjum im. Jana Pawła II i Gimnazjum Stanisława Konarskiego w Wilnie. Podczas urodzin można było założyć urodzinową czapeczkę, zrobić sobie selfie z Moniuszką, spróbować urodzinowego tortu, którym częstował Instytut Polski w Wilnie. Muzykę Moniuszki zagrała orkiestra dęta DoMinO ze Szkoły Muzycznej w Nowej Wilejce.

Wycieczka śladami Moniuszki

4 maja zorganizowano wycieczkę wileńskimi śladami St. Moniuszki. Uczestnicy dowiedzieli się gdzie mieszkał, pracował i tworzył kompozytor, gdzie odbyła się premiera „Halki", poznali atmosferę miasta z czasów kompozytora. Oprowadzano w języku litewskim; podobne wycieczki śladami Moniuszki organizowane będą przez całe wakacje. Natomiast wycieczka w języku polskim odbędzie się 16 lipca br. Organizatorem wycieczki był Gatvės gyvos.

Koncerty w kościele św. Janów

4 maja, głównym punktem koncertu w kościele, gdzie Stanisław Moniuszko był organistą i prowadził chór dziewcząt z sierocińca, była „Msza e-moll", którą wykonały połączone chóry: Uniwersytetu Wileńskiego „Virgo", Państwowego Uniwersytetu w Mińsku i Politechniki Białostockiej pod dyrekcją Rasy Gelgotienė. Na organach zagrała Kallinika Medvedeva z Mińska. Organistka wykonała też kilka kompozycji Moniuszki na tym instrumencie, na którym były one skomponowane. Organizatorem koncertu, który odbył się w ramach międzynarodowego projektu muzycznego „Droga życia Stanisława Moniuszki", był Instytut Polski w Wilnie i Centrum Kultury Uniwersytetu Wileńskiego.

5 maja, równo w rocznicę urodzin Moniuszki, w kościele św. Janów odbył się koncert zorganizowany przez Centrum Kultury Polskiej na Litwie im. Stanisława Moniuszki. Przed wileńską publicznością wystąpiły chóry: „Canto" Zespołu Szkół Muzycznych im. Czesława Niemena z Włocławka, Towarzystwa Śpiewaczego „Moniuszkowcy" z Radomska oraz polskie zespoły z Wileńszczyzny. Koncert poprowadzili Agnieszka Skinder z zespołu „Wilia" i Wojciech K. Dąbrowski z Warszawy.

Projekcja filmu

6 maja w Litewskiej Bibliotece Narodowej im. M. Mažvydasa odbyła się projekcja filmu dokumentalnego w reżyserii Kazimierza Oracza pt. „Stanisław Moniuszko" (Polska, 1984), który jest muzyczną wędrówką poprzez życie i twórczość ojca opery narodowej. Autorką scenariusza oraz kierownikiem muzycznym filmu była Maria Fołtyn – wybitna śpiewaczka i reżyser operowy, założycielka i wieloletni prezes Towarzystwa Miłośników Moniuszki oraz organizatorka Międzynarodowego Konkursu Wokalnego jego imienia. Przed filmem wystąpiła muzykolog Beata Baublinskienė, która przybliżyła postać polskiego kompozytora.

Wileńskie wydarzenia związane z 200. rocznicą urodzin Stanisława Moniuszki, które odbyły się w pierwszy majowy weekend, to nie koniec projektów poświęconych Moniuszce, realizowanych na Litwie. Na miłośników muzyki czeka jeszcze wiele innych spotkań, koncertów, konferencji.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Z okazji Roku Moniuszkowskiego niniejszym publikujemy, we współpracy ze Stowarzyszeniem im. Witolda Hulewicza i za zgodą potomków autora, pierwszą część publikacji Witolda Hulewicza (1895-1941) o Stanisławie Moniuszce.
W poniższym tekście zachowano oryginalną wersję wydania z 1933 roku (wprowadzając jedynie niewielką korektę dostosowując pisownię niektórych słów do współczesnego brzmienia), które ukazało się we Lwowie nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych. Był to 78. tomik w ramach Biblioteki Szkoły Powszechnej. Celem, jaki przyświecał powstaniu tej Biblioteki, było „dostarczyć młodzieży szkół powszechnych wszystkich stopni oraz młodzieży pozaszkolnej pożytecznej i zajmującej lektury, która pierwszym uzupełni i pogłębi nauczanie szkolne, drugim rozszerzy widnokręgi umysłowe, pobudzi zainteresowania i wolę czynu, ułatwi samokształcenie, zachęci do twórczości indywidualnej i zbiorowej. Upatrzeni Autorowie w jasnych, barwnych i ciekawych tomikach opowiedzą młodzieży o tym, co młodzież powinna wiedzieć z przeszłości i teraźniejszości i co naprawdę czytelników zajmuje" (z wstępu do BSP). Tomiki, wydawane w cenie 50 groszy każdy, miały pozwolić młodzieży tworzyć własną „Bibliotekę".

Stanisław Moniuszko – Król pieśni polskiej cz. I

„O wieści gminna! Ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! Tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I grzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby".

Adam Mickiewicz, Konrad Wallenrod

Pieśni ludowe

Ileż to razy słuchamy piosenek przez nasz lud śpiewanych, a nie myślimy wcale o tym, skąd się te piosenki biorą. Kto je wymyślił czyli skomponował? Nawet sami śpiewając je od dzieciństwa, nie znamy ich twórców. Nauczyliśmy się tych piosenek od matki, albo od innych starszych osób. Nauczyliśmy się ich bez żadnej nauki, ze słuchu. Słyszymy je często, śpiewane przy pracy w polu i w domu, na zabawach i odpustach, wszędzie. Zapamiętaliśmy je i umiemy ich bardzo wiele.

Jan C. Moniuszko, „Portret Stanisława Moniuszki", olej, płótno, 1892, w zbiorach Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Ale skąd są te piosenki ludowe, takie wesołe, tęskne, dźwięczne i rozmaite? Nikt naprawdę nie wie skąd, bo nikt ich nie pisał. Piosenki te przeważnie są bardzo stare, od wielu, wielu pokoleń przekazywane dzieciom przez rodziców. Czasem powstają nowe, wśród żołnierzy na wojnie, albo przez wędrujących ludzi przywiezione z innych okolic. Ale większość tych piosenek od wielu stuleci trwa na tym samem miejscu i nie zmienia się. Autorem ich jest lud. Nie jeden człowiek, lecz gromada.

Ciąg dalszy na s. 24 →

→ Ciąg dalszy ze s. 23

O tej pieśni, nie wiadomo gdzie powstałej, mówi wielki nasz poeta Mickiewicz słowa, umieszczone na początku [...]. Nazywa ją pieśnią gminną, bo w gminie, czyli ludowej gromadzie, narodziła się. Mówi, że ta pieśń jest „arką przymierza", to znaczy świętym łącznikiem, dawnych i dzisiejszych lat. Pieśń ta wyraża rycerskość naszych przodków, najlepsze nasze uczucia narodowe i nasze wspólne myśli. Pieśń ta śpiewa nasze własne bóle i wesela – i dlatego „stoi na straży" naszych „narodowych pamiątek". W czasie długiej niewoli mogli nam wrogowie zabierać przemocą naszą wolność, gnębić język nasz, ludzi katować, rabować ziemię. Piękne malowidła zniszczyć mógł pożar, bogactwa ukraść mogli zaborcy. Ale tego skarbu, jaki jest w naszej pieśni ludowej, zniszczyć nie zdołali. Przetrwał on nienaruszony do naszych czasów. Poeta porównuje go ze słowikiem, który wyleciał z palącego się domu: schronił się w lasy i nad zniszczonym krajem śpiewa pieśń żałoby.

Pieśni ludowe, tak piękne i różnolite, często są surowe, nieogładzone, takie proste i zwyczajne, jak nieuczony jest głos chłopaka czy dziewczyny na wsi. Częstokroć przypominają drogocenny kamień, który leży na prostej ziemi i pełnym blaskiem zajaśnieć nie może. I wtedy przychodzi człowiek, który umie tych klejnotów szukać. Podnosi taki kamień z ziemi, oczyszcza go z pyłu, szlifuje umiejętnie; daje mu piękną oprawę. I wtedy kamień ów nabiera wspaniałego blasku, gdy człowiek umieści go w złotej koronie, albo w misternie wyrobionym pierścieniu. Ludzie dziwią się, bo nikt się nie spodziewał, że ten kamień, co przedtem leżał w ziemi, mógł mieć tak ogromną wartość i kryć w sobie tyle piękna...

Każdy naród ma takich ludzi, artystów przez Boga zesłanych, którzy umieją te klejnoty odnajdywać, dawać im śliczną oprawę i uwieczniać je w tej wspaniałej formie. Tak, dzieła te idą w świat szeroki, na podziw ludzi. Jeżeli ci artyści są poetami, zbierają dawne opowiadania ludowe, podania i bajki, opisy zwyczajów ludu i obrzędów – a potem kunsztownie układają je w słowa i tworzą z nich najpiękniejsze książki. Jeżeli są artystami malarzami, gromadzą malowidła ludowe, wycinanki i stroje z chłopskich chat, by zrobić z nich najpiękniejsze obrazy albo kolorowe okna w kościołach. Jeżeli są muzykami, szukają tych pieśni gminnych, o których mówiliśmy – i układają z nich misterne kompozycje do śpiewu na pojedyncze glosy, na chóry, na poszczególne instrumenty, albo na całe orkiestry. Pod ich wpływem sami potem piszą cudne utwory muzyczne, po których zaraz poznać można ich narodowe pochodzenie, bo prosto z duszy ludu płyną.

Mieliśmy i mamy w Polsce wielu kompozytorów muzycznych, czerpiących swoje natchnienie ze skarbnicy „pieśni gminnej" polskiego ludu. Twórczość największego polskiego muzyka, Fryderyka Chopina, całkowicie wywodzi się ze śpiewów i tańców narodu naszego.

W niniejszym [tekście] mówić będziemy o innym wielkim kompozytorze, który również sięgnął do dna tego skarbca muzycznego, a który dla muzyki polskiej zdziałał ogromnie wiele. Mówić będziemy o wielkim artyście, który nazywał się Stanisław Moniuszko, a żył w ubiegłym stuleciu w Wilnie i w Warszawie.

Gdy społeczeństwo jakiegoś narodu odwyka od swoich pieśni a zachwyca się zanadto muzyką przywiezioną z obcych krajów, muzyką modną i pustą, zatraca odrębność swej duszy. Wpada w naśladownictwo obcych wzorów a gubi własne skarby. W ten sposób naród może zaprzepaścić to, co ma najcenniejszego, poniżyć się, upodlić i popaść w duchową niewolę. Mówi o tym Adam Mickiewicz w wierszu podanym na początku: pieśń „żadnym niezłamana ciosem, póki cię własny twój lud nie znieważy"; i wówczas, „jeśli podłe dusze nie umieją karmić jej żalem i poić nadzieją, ucieka".

Wielcy muzycy, jak Chopin, Moniuszko, Karłowicz, Paderewski lub Szymanowski – ożywiają nieustannie i bogacą skarbiec muzyki narodowej. Im zawdzięczamy rozkwit tej muzyki, ku naszej dumie i rozkoszy, na podziw i zachwyt obcych narodów.

Dwór Moniuszków w Ubielu, rycina Napoleona Ordy z cyklu „Ziemia Mińska", ok. 1864-1876 FOT. © MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Młode lata

Stanisław Moniuszko, potomek starej polskiej rodziny, osiadłej na Podlasiu, przyszedł na świat w majątku Ubiel na Mińszczyźnie, w okolicach będących dziś pod panowaniem Rosji Sowieckiej [obecnie Białoruś]. Właścicielem majątku Ubiel był jego ojciec, były żołnierz armii cesarza Napoleona, uczestnik nieszczęśliwej wyprawy wojennej na Moskwę w roku 1812. Ojciec kompozytora Czesław Moniuszko, po klęsce Napoleona wystąpił z wojska i począł gospodarować na swym majątku. Lubił pisywać wiersze i rysować, choć szczególnego talentu nie posiadał. Za to żona jego, matka Stanisława, pani Elżbieta — umiała śpiewać i pięknie grała na fortepianie.

Nic dziwnego, ze mały Staś, skoro tylko w dniu 5 maja 1819 roku w Ubielu ujrzał światło dzienne, wzrastał wśród dźwięków muzyki. Od wczesnego dzieciństwa wsłuchiwał się w pieśni ludu wiejskiego, a wiadomo, że lud na tej ziemi pięknie umie śpiewać. Wieśniaczki i wieśniacy w tych stronach, przy żniwach, w kościele czy na wieczorynkach – bez żadnej nauki – każdą pieśń śpiewają czysto i dźwięcznie na trzy lub cztery glosy...

Wcześnie mały Staś zaczął się uczyć muzyki, najpierw u matki, potem u muzykanta z miasta Mińska, Piotra Karaffy-Korbuta. Później pisał Moniuszko sam o tych czasach: „Od najmłodszych lat czułem nieprzeparty pociąg do muzyki... Matka moja najpierwsza dostrzegła we mnie tę połyskującą iskierkę zdolności i jak tylko palce moje nabrały cokolwiek siły, sama zaczęła mnie uczyć początków ukochanej

sztuki". Tak upływały pierwsze lata chłopca, w pogodnym nastroju staropolskiego domu wiejskiego, wśród pieśni i pierwszych kroków muzycznego wychowania.

Aby lepiej kształcić syna i dwóch swoich siostrzeńców, przenieśli się jego rodzice do Warszawy, gdy Staś miał osiem lat. Zaraz zaczął kształcić się w muzyce u organisty i kompozytora Freyera. Lecz stan majątkowy ojca pogarszał się z każdym rokiem, tak iż po trzech latach rodzice przenieść się musieli do Mińska, z powrotem w rodzinne strony, gdyż tam życie było tańsze. W Mińsku chodził mały Staś do gimnazjum i dalej uprawiał naukę muzyki. Lecz nie miał dobrych nauczycieli. Talent jego z początku rozwijał się raczej samodzielnie, żywiołowo, tak jak rośnie dzikie drzewo w lesie.

Chłopiec nie cieszył się dobrym zdrowiem, toteż gdy miał lat piętnaście, odebrali go rodzice ze szkoły i kształcili przez dalsze trzy lata w domu własnym. Potem wysłali osiemnastoletniego syna na dalsze studia do stolicy Niemiec, do Berlina. W mieście tym kwitła sztuka muzyczna; można się tam było nauczyć więcej, niż w małym mieście rodzinnym. Berlin skupiał licznych wielkich artystów, posiadał doskonałe teatry muzyczne, szkoły śpiewu i kompozycji, liczne doskonałe koncerty. A to wszystko było rajem dla młodego muzyka, najlepszym bodźcem w jego fachowym rozwoju.

W Berlinie młody Moniuszko został natychmiast uczniem doskonałego profesora muzyki Rungenhagena, kapelmistrza Akademii Śpiewaczej, u którego też zamieszkał. I tak uczył się całe dwa lata i nauczył się bardzo wiele. Tu zdobył podstawy swojej wiedzy zawodowej, tu przygotował się do przyszłej pracy twórczej.

Trzeba wiedzieć, że nauka muzyki jest nauką trudną, długą i wymagającą, prócz talentu czyli zdolności wrodzonych, ogromnej i wytrwałej pracy przez wiele lat. Chcąc być kompozytorem, trzeba żmudnie uczyć się sztuki pisania nut, układania utworów muzycznych na różne zespoły albo pojedyncze głosy lub instrumenty. Trzeba posiąść wszystkie tajemnice kunsztu muzycznego. Trzeba poznać historię muzyki oraz dzieła największych mistrzów z różnych stuleci i krajów. Tą właśnie pracą były przepełnione lata studiów Moniuszki w Berlinie. Od nauczyciela Rungenhagena zdobył Moniuszko podstawy, na których budował potem wszystkie swoje dzieła.

W czasie pobytu w Berlinie ogłosił Moniuszko w druku pierwsze swoje kompozycje. Były to trzy pieśni do wierszy Adama Mickiewicza. Do tych słów polskich dodano w nutach słowa niemieckie, tłumaczone, dla użytku tamtejszej publiczności. Kiedy młody muzyk ujrzał po raz pierwszy wydrukowane swoje utwory, co teraz w świat szeroki iść miały, poczuł radość, jak młody rolnik, gdy widzi wschodzące na roli pierwsze przez siebie zasiane ziarno. Był to dla niego ważny, wielki dzień, podnieta do dalszej wytężonej pracy.

Zaraz potem opuścił stolicę Niemiec. Jego mistrz Rungenhagen wypisał mu pochlebne świadectwo, w którem stwierdził, że Stanisław Moniuszko przez dwa lata uczył się u niego kompozycji, że „czas swój zużył dla doskonalenia się i poczynił dobre postępy...".

Na tym zakończył się okres uczniowski w życiu Stanisława Moniuszki. Odtąd muzyk nasz pracował sam, ucząc się dalej, ucząc się do końca życia, chociaż już bez pomocy nauczycieli. Tylko bowiem człowiek głupi i zarozumiały sądzi, że gdy ma fach w ręku, niczego uczyć się już nie potrzebuje. Pracę swoją trzeba doskonalić przez całe życie, rzemiosło swoje trzeba kształcić ustawicznie, aż do grobowej deski. Taki tylko pracownik jest pracownikiem naprawdę dobrym, w pełni pożytecznym sobie, rodzinie, państwu i ludzkości.

Tu kończy się młodzieńczy okres życia Stanisława Moniuszki. Nasz muzyk, opuszczając Berlin, ma lat dziewiętnaście.

CDN.

WITOLD HULEWICZ

Jubileuszowo w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

FOT. © STANISŁAW PANTELUK

Moniuszko – 200!

НАЦІОНАЛЬНА ФІЛАРМОНІЯ УКРАЇНИ

Moniuszkowskie arie, dumki i mazury w Kijowie

STANISŁAW PANTELUK

Władze UNESCO postanowiły rok 2019 ogłosić Międzynarodowym Rokiem Stanisława Moniuszki na wniosek trzech krajów: Litwy, Białorusi i Polski, jako że ten drugi po Chopinie wieszcz muzyczny czerpał szeroko z wielokulturowości ówczesnej Rzeczypospolitej.

Urodził się nieopodal Mińska, na terenie dzisiejszej Białorusi, w Wilnie zaś spędził 18 lat, od 1836 do 1858 roku z krótką przerwą. Udział Ukrainy w tym projekcie też nie jest przypadkowy, gdyż właśnie w Kijowie w roku 1873, po raz pierwszy (w granicach ówczesnego imperium carskiego) została wystawiona jego opera „Straszny Dwór", dając początek prawdziwej sławie tego kompozytora, dyrygenta, organisty, pedagoga.

W zasadzie wszyscy wiemy, iż był on twórcą polskiej opery narodowej, ale nawet wielu muzykologów nie potrafi wymienić wszystkich jego oper, a wiedzieć warto, że Moniuszko stworzył ponadto całe mnóstwo najróżniejszych dzieł muzycznych – fascynujących, wspaniałych. Jego twórcze dziedzictwo obejmuje ponad trzysta utworów, w tym dwanaście oper (jedna niedokończona), trzy balety, osiem operetek, pięć kompozycji mszalnych, około osiemdziesięciu romansów i czterysta pieśni.

I oto 23 marca, w jednej z najpiękniejszych auli stolicy Ukrainy – Sali Kolumnowej im. Mykoły Łysenki, będącej chlubą gmachu Filharmonii Narodowej Ukrainy, w której to – w swoim czasie – koncertowali Ignacy J. Paderewski, Karol Szymanowski, skrzypek Paweł Kochański oraz inni znakomici polscy muzycy (a w czasach współczesnych tu właśnie odbyło się jedno ze spotkań papieża Jana Pawła II) znów zabrzmiały polskie nuty i słowa.

W koncercie w ramach Projektu „Moniuszko 2019!", zorganizowanym z inicjatywy solistki Narodowej Filharmonii Ukrainy Elizawety Lipitiuk i Natalii Kovalenko – koordynatorki obchodów Moniuszkowskich na Ukrainie i Polsko-Kanadyjskiej Fundacji Niezależny Fundusz Kultury POLCANART oraz przy wsparciu Ambasad Polski i Litwy na Ukrainie, Instytutu Polskiego w Kijowie, Związku Przedsiębiorców Polaków Ukrainy oraz Społecznego Komitetu obchodów 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki w Polsce – przedsięwzięciu promującym dorobek znakomitego kompozytora, wystąpili przed kijowianami artyści polscy i ukraińscy.

Koncert zainaugurował Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Bartosz Cichocki podkreślając wielokulturowość dorobku muzycznego Moniuszki. Słowo wstępne wygłosiła i całość poprowadziła, nie szczędząc dogłębnej informacji o prezentowanych dziełach mistrza, muzykolog Switłana Korecka.

FOT. © STANISŁAW PANTELUK

FOT. © STANISŁAW PANTELUK

Wielbiciele polskiej muzyki klasycznej mieli okazję posłuchać Aleksandra Czajkowskiego-Ładysza – śpiewaka obdarzonego wyjątkowo pięknym, ciepłym i „ciemnym" potężnym głosem basowym. Odziedziczył go po ojcu – legendzie polskiej wokalistyki Bernardzie Ładyszu, który był jego pierwszym nauczycielem. Występował na niemal wszystkich słynnych scenach operowych Europy. Jest menadżerem sztuki, zorganizował ponad pięćset koncertów i imprez artystycznych. Jednocześnie był nawet redaktorem gazety w „nikiforowskiej" Krynicy, a nawet wykładowcą grafiki komputerowej. Zauroczył on publiczność oczywiście wokalem, lecz i osobowością, wspaniałym aktorstwem operowego mistrza. Ponadto władając talentem inteligentnego i wesołego konferansjera potrafił w finale wieczoru nakłonić widownię do wspólnego śpiewania „Pieśni wieczornej" do tekstu Władysława Syrokomli.

Aleksandrowi Czajkowskiemu-Ładyszowi dzielnie współtowarzyszyła Zasłużona Artystka Ukrainy, laureatka wszechukraińskich i międzynarodowych konkursów, solistka Narodowej Filharmonii Ukrainy sopran Elizaweta Lipitiuk. Artystka obdarzona niezwykle dźwięcznym i miłym dla ucha głosem sprezentowała słuchaczom kilkanaście utworów wieszcza polskiej muzyki, w tym takie jego pieśni, jak: „Złota rybka", „Grajek", „Kwiatek", „Kum i kuma", „Wiosna". Warto zaznaczyć, że muzykolog Mieczysław Tomaszewski, analizując pieśni Moniuszki na tle epoki, pisał: „Pieśni Moniuszki zniosły ostrą granicę, jaka dzieli pieśń artystyczną, zwaną 'wysoką', od pieśni powszechnej; granicę, jaka dzieli sztukę elitarną od tej, która cieszy się z tego, że trafia szerzej, nie tracąc atrybutów artystyczności".

Elizaweta Lipitiuk zaśpiewała też pieśń – jedną z najcenniejszych pod względem artystycznym – słynną „Prząśniczkę" do słów Jana Czeczota, z charakterystycznym, ilustrującym terkot kołowrotka akompaniamentem i prowadzoną na jego tle liryczną melodią. Ten akompaniament (oczywiście nie tylko w tym utworze) zabrzmiał wspaniale w wykonaniu zespołu instrumentów ludowych „Рідні наспіви" („Rodzime melodie") pod kierownictwem Jurija Karnaucha, który wsparł solistów w drugiej części koncertu.

W koncercie zabrzmiały też kordialnie i swojsko odbierane dumki, jak również arie ze sztandarowego dzieła kompozytora – opery „Straszny dwór". Wszystko zostało przygotowane z solidną starannością, a artystów publiczność nagradzała gromkimi brawami. Wykonawcom w pierwszej części programu akompaniował pianista, nauczyciel, doktor nauk humanistycznych w dziedzinie pedagogiki, absolwent dwóch wydziałów Akademii Muzycznej w Łodzi – Jarosław Domagała.

Kto nie był na koncercie ma czego żałować, aczkolwiek zapewne czeka nas jeszcze niejedno wydarzenia organizowane w ramach obchodów 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki. Przypominamy, że informacja o festiwalach, koncertach, konkursach etc. – podawana jest w Internecie na specjalnej stronie obchodów: moniuszko200.pl

FOT. © STANISŁAW PANTELUK

MALTAŃSKA POCZTA SAMOLOTOWA

500-LECIE POBYTU MATKI BOŻEJ Z DAMASZKU W LA VALLETTA

18.05.2019

Patron Honorowy Stowarzyszenia Sympatyków Filatelii Maltańskiej Bp Andrzej F. Dzluba Główny Kapelan ZPKM

SDP Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Joanna Wańkowska-Sobiesiak – interesują mnie fakty

Andrzej Zb. Brzozowski: Niedawno trafiłaś do elitarnego grona Zasłużonych Członków Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP, czy to już czas na podsumowanie dziennikarskiego dorobku?

Joanna Wańkowska-Sobiesiak: Tak to wygląda, że jak ktoś jest zasłużony, to znaczy, że osiągnął odpowiedni wiek (śmiech). Czas płynie i taka jest kolej rzeczy. A mówiąc o dotychczasowym dorobku, to mam na swoim koncie dwanaście wydanych książek. Wydawanie książek jest dla dziennikarza bezpieczniejsze. Praca w redakcji powoduje uwikłanie się w jakieś układy polityczne, stojące za daną gazetą. Ja piszę książki, takie jakie chcę.

Z wykształcenia jesteś konserwatorem zabytków, w jaki sposób i kiedy, w Twoim życiu pojawiło się dziennikarstwo?

Studia kończyłam na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, ze specjalizacją: konserwacja zabytków architektury. Potem jeszcze doszło studium z public relations w Galerii Porczyńskich w Warszawie, gdzie uczyły mnie tuzy naszego ówczesnego dziennikarstwa. To były lata 90. I tak jakoś wsiąkłam w to pisanie.

Kiedy przestał istnieć Narodowy Fundusz Kultury, padła moja firma konserwatorska – Pracownie Konserwacji Zabytków – i zaczęłam pracować w prasie. Już wcześniej pisywałam do różnych branżowych czasopism, jak „Ochrona Zabytków" i „Spotkania z Zabytkami", a z czasem przede wszystkim do miesięcznika „Puls", wydawanego w Warszawie i Białymstoku. Początkowo były to reportaże związane z zabytkami architektonicznymi.

Współpracowałaś z różnymi redakcjami prasowymi, co było w kręgu Twoich dziennikarskich zainteresowań?

Między innymi w „Rzeczpospolitej" miałam taki cykl artykułów dotyczących losów dzieci w czasie wojny i tuż po wojnie. Nie tylko dzieci polskich, ale także niemieckich i żydowskich, i wróciłam do tego tematu po latach, wydając książkę poświęconą historiom dzieci w 1945 roku. Zamieszczałam też regularnie reportaże w gazecie „Słowo. Dziennik Katolicki", którą później wykupił o. Tadeusz Rydzyk i tak doszło do powstania „Naszego Dziennika". Ja już wtedy pracowałam w prasie lokalnej, m.in. „Gazecie Warmińskiej", „Dzienniku Pojezierza". Publikowałam też materiały w „Tygodniku Regionalnym", „Borussi".

Dziennikarka, reportażystka, pisarka. Specjalizuje się w tematyce mniejszości narodowych oraz historii i kulturze Warmii, Mazur i Powiśla. Wiele jej reportaży poświęconych jest zmianom w krajobrazie kulturowym regionu byłych Prus Wschodnich. Autorka dwunastu książek, zawierających głównie reportaże. Od 2002 roku do jesieni 2011 prezes olsztyńskiego Oddziału SDP. Współorganizatorka i juror konkursów dziennikarskich. Decyzją członków Oddziału od 2019 roku – Zasłużony Członek Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. FOT. © TAMARA JESIONOWSKA

Pisałam na różne tematy, ale najbardziej mnie kręciły sprawy związane z mniejszościami narodowymi. Może dlatego, że sama jako dziecko mieszkałam na Śląsku Opolskim, gdzie mieszały się różne narodowości. Tę tematykę znałam z dzieciństwa, z autopsji i to tak jakoś za mną szło. Między innymi rejestrowałam zakładane w tym czasie liczne stowarzyszenia mniejszości narodowych i z tych moich artykułów korzystali później różni naukowcy opisujący i badający te tematy.

Jak sama już wspomniałaś, specjalizujesz się w reportażu, a reportaż jest uważany za najtrudniejszą formę dziennikarskiej wypowiedzi?

Zwłaszcza reportaż portretowy, gdzie trzeba słowami oddać naturę człowieka, z którym się rozmawia. Ja to lubię i bardzo lubię ludzi. Uważam, że reportaży nie powinni pisać ci, którzy nie potrafią otworzyć człowieka. Żeby rozmówcę otworzyć,

Ciąg dalszy na s. 30 →

→ Ciąg dalszy ze s. 29

trzeba go polubić i samemu się przed nim otworzyć, opowiedzieć o sobie. A nie jest łatwo spowodować, aby ktoś zaczął się przed nami spowiadać z całego swojego życia. Trzeba z nim nawiązać kontakt. To jest w tym wszystkim najciekawsze. Prawie każdy życiorys, zwłaszcza w przypadku starszych osób, to gotowa książka lub scenariusz filmu. Zwłaszcza na naszych warmińsko-mazurskich ziemiach. To są samograje.

Miałaś w dziedzinie reportażu jakichś swoich mistrzów?

Na pewno Kapuściński. Mało kto pamięta, że Kapuściński słowo „Inny" pisał dużą literą. Jego życie osobiste to jest jego sprawa, ja oceniam reportażystów po tym, jak pisali. Bardzo istotny jest język, jakim się pisze. Moim zdaniem, ten język powinien oddawać charakter człowieka. Kiedy się pisze o kimś prostym, który prosto mówi, ubogo się wysławia, jest słabo wykształcony, to nie trzeba pisać o tym wprost. Wystarczy posługiwać się jego słownictwem. Kiedy rozmawiam na przykład z Warmiakami, staram się oddać ich gwarę, pomimo tego, że później są problemy przy tłumaczeniu na inne języki. Tak trzeba pisać, jak ludzie mówią, bo to właśnie tworzy klimat całej rozmowy. Nie lubię pisać reportażu, kiedy nie pójdę do domu swojego rozmówcy. Staram się rozejrzeć, zobaczyć jakie książki stoją na regale, jakie wiszą obrazki, jakie zdjęcia. Od tego zaczynam rozmowę. To nie tylko buduje klimat, ale też oddaje charakter człowieka, jego sposób patrzenia na życie, percepcję rzeczywistości.

Czym powinien wyróżniać się dobry reportaż?

Dawniej się mówiło... tu i teraz. Nowością jest natomiast reportaż historyczny, przeplatany właśnie takimi wątkami. Jako uczennica nie lubiłam historii, ale historia jest cały czas wokół mnie. Nie interesuje mnie faktografia, encyklopedyczna wiedza z książek, która jest przecież znana i opisana. Mnie interesuje to, jak wielka historia przełożyła się na życie poszczególnych ludzi, jak je zmieniła. Jak przeżywali i odczuwali te dramatyczne wydarzenia, w które najczęściej uwikłani byli przez przypadek, rzadziej z wyboru. Historia oglądana poprzez pryzmat doświadczeń zwykłego człowieka.

Powołanie do życia „Bez Wierszówki" to był Twój pomysł?

Wspólny z Krzysztofem Panasikiem, Jerzym Pantakiem i przede wszystkim Tadeuszem Prusińskim. To był czas, kiedy wszyscy traciliśmy pracę. Zamykano tytuł po tytule, ludzie zostawali z dnia na dzień bez pracy. Postanowiliśmy powołać do życia nowe pismo, w którym będą mogli się odnaleźć ci, którzy pracę stracili. Wymyślony przez ks. Jana Rosłana tytuł był świetny, bo nie było pieniędzy na gaże. Koledzy mogli jednak pisać i czuli się potrzebni, spotykali się z ludźmi, z czego mogły narodzić się możliwości podjęcia pracy. Zasada była taka, że prowadzeniem pisma zajmował się każdorazowo bezrobotny dziennikarz, a jak zdobywał stałą pracę, funkcję naczelnego przekazywał bezrobotnemu koledze. Pieniądze na wydawanie kolejnych numerów zdobywał Zbyszek Wytrążek. Takie były początki. W pierwszym okresie szata graficzna była bardzo skromna.

Jesteś autorką kilkunastu książek, w wielu z nich pojawiają się chyba wątki autobiograficzne?

To prawda. Z sentymentem wspominam swoje dzieciństwo. Lubię takie ciepłe pisanie. Wątki autobiograficzne przewijają się w trzech moich książkach. *Świat drugiego podwórka*, gdzie opisywałam okres dzieciństwa poprzez relacje ze zwierzętami, które się przewinęły przez mój dom, podwórko, ulicę, szkołę. Wróciłam do tego w książce *Serwus chrabąszcze*, która była nominowana do nagrody literackiej Warmii i Mazur. To był okres mojego życia w małym miasteczku, do którego przybyła grupa ludzi z Wileńszczyzny oraz z kresów i zetknęła się z rzeczywistością, która tam była. Niemiecką rzeczywistością. Trzecia książka *Dom pierwszy – Dom drugi* jest już w druku i lada moment się ukaże. Opisuje 44 lata mojego życia w Olsztynie. Nie jest to typowy życiorys. Trochę jest fabularyzowany, żeby dało się to łatwiej czytać. Osobiście nie cierpię biografii pełnej ciotek, wujków, kuzynów, dat, w których czytelnik, w którymś momencie gubi się i książkę odkłada.

W swoim dorobku masz też książki naukowe?

Raczej popularno-naukowe. Napisałam książkę o konserwacji zabytków architektury. Sama przebadałam dziesięć zamków w naszym regionie. Takie badania robi się przed odbudową czy też kapitalnym remontem zabytku. Ostróda, Giżycko, Ryn, Ełk, zabudowa przedzamcza zamku w Lidzbarku Warmińskim. Wszystkie te zamki badałam przed ich odbudową. Zachowałam dokumentację, stare zdjęcia, rysunki. Po likwidacji pracowni konserwacji zabytków wykonywane w niej dokumentacje trafiły do archiwum państwowego.

Najśmieszniejsze jest to, że kiedy muszę tam iść, aby sięgnąć do dokumentacji mojego autorstwa, upominana jestem, że mogę z niej korzystać wyłącznie na miejscu. Cieszę się, że moje materiały są w archiwach.

Po czterdziestu latach wróciłam do badań zamku w Szczytnie. Odnaleziono mnie, pomimo że zmieniałam adresy, nazwisko, jakoś do mnie dotarli i ponownie badałam ten zamek. To bardzo frapujące zajęcie, takie odkrywanie śladów z przeszłości. Jak obiekt wyglądał i możliwość przywrócenia jego świetności.

Co uważasz za swoje największe dziennikarskie osiągnięcie?

Chyba książkę *Same cudze dzieci*. To jest bardzo gruba książka, licząca prawie 500 stron. Napisana jest po polsku i po niemiecku, bo jej wydanie sfinansowały ministerstwa obu krajów. Bardzo się nad nią napracowałam. Przekopałam wszystkie archiwa. W książce jest około 20. stron cytowanych zapisów archiwalnych na temat domów dziecka, które znalazłam. W każdym zbiorze dokumentów archiwalnych jest fiszka odnotowująca kto z nich korzystał. I co było najdziwniejsze, stwierdziłam, że tylko dwie osoby, zrobiły to przede mną. Jedną z nich interesował wykaz domów dziecka i wydane przepisy dotyczące ich funkcjonowania, druga osoba pisała pracę na temat tego, czego te dzieci uczyły się w szkołach. Mnie natomiast interesowało, jak one żyły. Co jadły, co tam się działo.

Dotarłam do osiemnastu osób z tych domów dziecka i dowiedziałem się, jak się ułożyło ich życie i opisałam je w załączonych reportażach. To nie były tylko dzieci niemieckie. Trzeba wiedzieć, że tu na Warmii i Mazurach, do domów dziecka przywieziono najwięcej dzieci po polskich Sybirakach. Te dzieci były w sowieckich domach dziecka rozsianych po Syberii. Wyszukiwała je Anna Bodych i przywoziła do polskich sierocińców zakładanych na Syberii przez nią i Aleksandra Lewina, współpracownika Janusza Korczaka. To oni przywieźli je do Polski. Najwięcej trafiło do naszego województwa, bo tu były względnie dobre warunki. Zespoły pałacowe z folwarkami. Taki dom dziecka, po wojnie, musiał sam produkować sobie jedzenie. To bardzo ciekawe rzeczy. Tak, jak zetknięcie niemieckich dzieci z polskimi. I jedne i drugie straciły rodziców w wyniku wojny. To już było za nimi, cieszyły się, że już jest dobrze. Momentalnie nawiązały przyjaźnie i uczyły się wzajemnie języków. Niektóre przyjaźnie przetrwały do dzisiaj.

Przez dziewięć lat byłaś prezesem olsztyńskiego Oddziału SDP, jak wspominasz tamte czasy?

To był świetny okres. Zrobiliśmy dużo fajnych rzeczy, pomimo że środowisko dziennikarskie było podzielone. Protestowaliśmy jak zamykano kolejne redakcje, przygarnialiśmy kolegów tracących pracę. Walczyliśmy o naszych kolegów i koleżanki. Wielokrotnie byłam na rozprawach

Joann
red. E
„Spot
Olszty

w sądzie
Wierszó
ki. Pows
Seweryn
Krzysiek
sami, któ
margines
dziś i zno
dobrego
Organiz
nikarski
jak z tej
dziennik
Na pew
dziennika
sięgnąć po
ralnie pras
Mamy nie
obrazkow
obrazki z
to wszystk
i wrócimy
do solidne
dowiedzieć
Po co tym
pisanie, a
stwo ma p
tylko wykł
musi być r
spodem ku
nasz komer
co jest kon
Teraz to się
Na co pow
cać uwagę

Joanna Wańkowska-Sobiesiak gościem red. Ewy Zdrojkowskiej w audycji „Spotkania autorskie", Polskie Radio Olsztyn, 2015 FOT. © ŁUKASZ WĘGLEWSKI / PRO

w sądzie pracy. Powstało nie tylko „Bez Wierszówki". Wydawaliśmy także książki. Powstał konkurs dla dziennikarzy im. Seweryna Pieniężnego. Wymyślił go chyba Krzysiek Panasik. Walczyliśmy z przepisami, które karały dziennikarzy. A tak na marginesie – przepis ten funkcjonuje do dziś i znowu ta sprawa powróciła. Trochę dobrego zrobiliśmy.

Organizowałaś wiele konkursów dziennikarskich, w wielu z nich byłaś jurorką, jak z tej perspektywy oceniasz poziom dziennikarstwa w naszym kraju?

Na pewno są, jak w każdym okresie, dziennikarskie tuzy, dla których warto sięgnąć po codzienną gazetę. Jednak generalnie prasa, to jest teraz kolorowa sieczka. Mamy niestety społeczeństwo percepcji obrazkowej. Dlatego w prasie dominują obrazki z drobnymi podpisami. Myślę, że to wszystko się zmieni, musi się zmienić i wrócimy do solidnego dziennikarstwa, do solidnego pisania. Czego się można dowiedzieć z jednego, czy dwóch akapitów? Po co tym zaprzątać sobie głowę? To jest pisanie, a nie dziennikarstwo. Dziennikarstwo ma pewne zasady. Nie można robić tylko wykładni własnych poglądów. To musi być rzetelne opisanie sytuacji i pod spodem kursywą (tak mówią przepisy) nasz komentarz. Żeby czytelnik wiedział, co jest komentarzem, a co jest faktem. Teraz to się rozmywa zupełnie.

Na co powinni przede wszystkim zwracać uwagę początkujący dziennikarze?

Nie powinno się pisać tylko w taki sposób, jak chce tego redakcja. Niektórzy trzymają się pazurami stołków i tak właśnie piszą. Tak być nie powinno. Nie ma teraz tytułów niezależnych. Każdy tytuł jest gdzieś, jakoś umocowany czy też sympatyzuje z określoną opcją polityczną. Jeśli dziennikarz chce pisać tak jak czuje i myśli, to musi sobie założyć własną gazetę. Mnie interesują fakty a nie opinie i poglądy, więc nie oglądam materiałów publicystycznych w telewizji i zdecydowanie nie lubię programów typu „gadające głowy".

Na koniec poproszę Cię o dziennikarską anegdotę.

Może nie będzie to tak do końca anegdota, ale opowiem Ci o mojej ulubionej bohaterce reportażu, Edycie Krupke. Tak o niej napisałam: „Edyta Krupke ze Szkotowa nie wie, co to jest ekumenizm, ale wie, że musi chodzić na dwa cmentarze. Ewangelicki i katolicki. Te, co leżą po obu stronach szkotowskiej szosy. Chodzi tam, żeby było sprawiedliwie. Bo Edyta Krupke już dwóch mężów pochowała. Niemca spod Szczecina, co to go podczas wojny u rodziny w Berlinie zapoznała i Polaka, Tomaszewskiego. Pierwszy porządny był, nie powie, drugi lubił wypić. Jeden był taki akuratny, a drugi za to wesoły. Sama więc już nie wie, który był lepszy, ale chodzi po sprawiedliwości, jak mówi, do obu".

Za każdym razem, jak przychodzi pierwszy listopada, to sobie przypominam tą Edytę Krupke. W jej życiu zawarł się duży okres historii tych ziem, a sama Edyta to uosobienie ludowej mądrości, dystansu do aktualnej w danym momencie rzeczywistości i poglądów kreowanych przez historię i polityków. Bo Edyta Krupke wie, co w życiu najważniejsze: rodzina i spokojne życie. Historia życia Edyty jest lepsza niż niejedna anegdota.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH

DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- *130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych*
- *Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)*
- *Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking*

Zapraszamy:
uczestników kongresów, szkoleń, konferencji i gości indywidualnych.

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com

Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.

Ludzie, którzy tworzyli Telewizję Polską

Jerzy Ambroziewicz – Big Boss

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

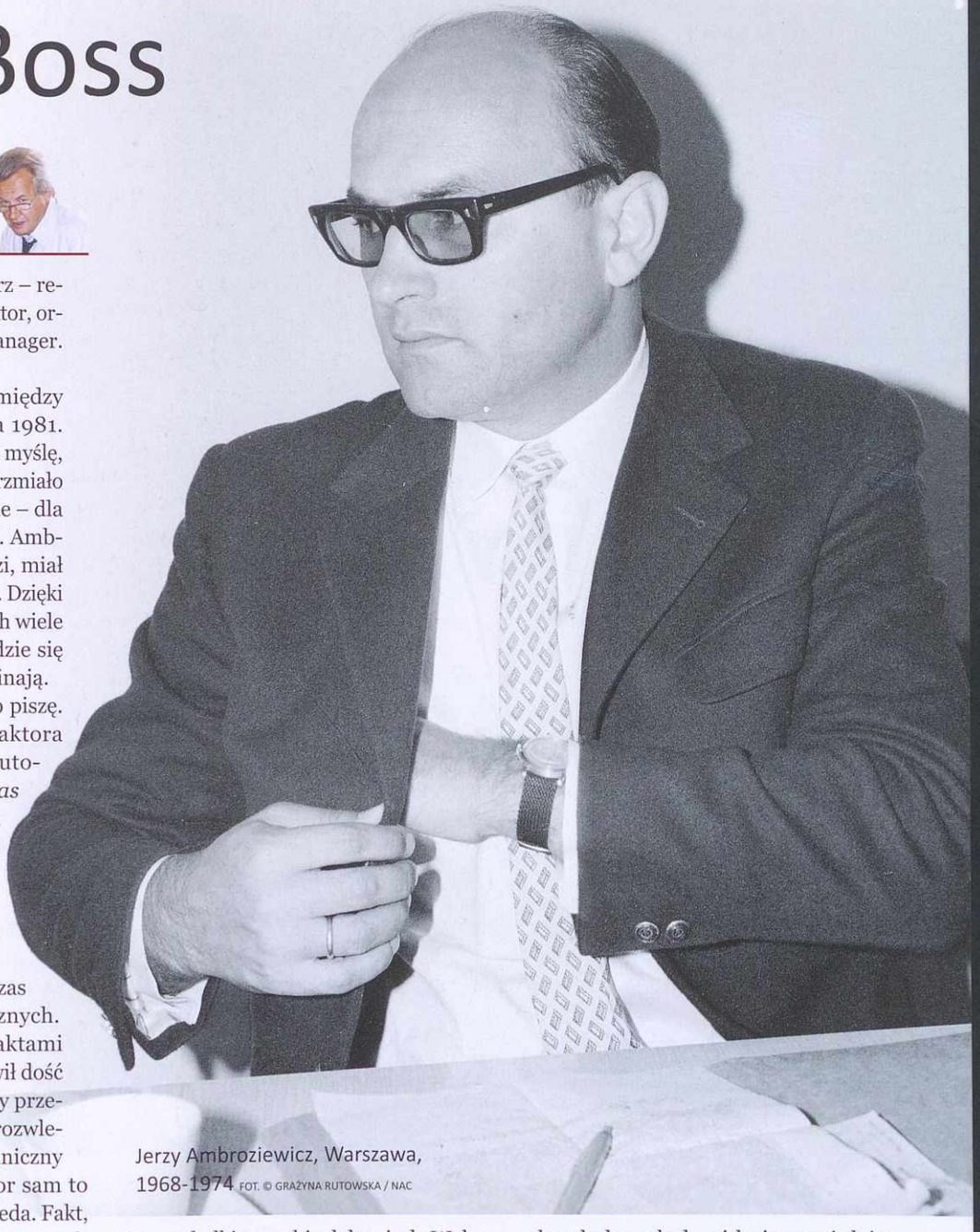

Jerzy Ambroziewicz, Warszawa, 1968-1974 FOT. © GRAŻYNA RUTOWSKA / NAC

Rocznik 1931. Dziennikarz – reporter, publicysta, redaktor, organizator zespołów i manager. Dla mnie BIG BOSS.

Wspomnienie pracy w TVP między listopadem 1972 a 13 grudnia 1981. Pracowałem u Niego, dla Niego i myślę, że – jakby to górnolotnie nie zabrzmiało – dla naszego kraju. I oczywiście – dla siebie z wielkim zadowoleniem. Ambroziewicz miał zaufanie do ludzi, miał też dla nas propozycje zawodowe. Dzięki temu stworzył zespoły, w których wiele można było zrobić. Dlatego ludzie się doń garnęli i dobrze go wspominają.

I dlatego też piszę teraz to, co piszę. Zacznę od słów samego Redaktora umieszczonych na okładce autobiograficznej książki *Znam was wszystkich* (BGW 1993). Jest tam sześć punktów.

Punkt pierwszy: „Z Bronkiem Geremkiem siedziałem w jednej ławce szkolnej"

No cóż B. G. nastał nam wówczas jako minister spraw zagranicznych. Ważny gość. Z dobrymi kontaktami w Stanach Zjednoczonych. Mówił dość cienkim głosikiem i dlatego, gdy przemawiał lub udzielał wywiadu, rozwlekał sylaby. Był to sprytny, techniczny pomysł. Nie wiem, czy profesor sam to wymyślił, czy doradził mu logopeda. Fakt, że negocjatora porozumień sierpniowych ze Stoczni Gdańskiej słuchaliśmy uważnie. Był najmądrzejszym z ekipy rządowej, która nadeszła. To on miał być premierem.

Jeszcze w nocy przed decydującymi obradami Krajowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności zażądał ode mnie (a byłem szefem telewizyjnego Studia Solidarność, właśnie wtedy, przed wyborami 4 czerwca 1989) dwóch kamer, żeby zarejestrować głosowanie. Wywiązałem się. Ale i tak nie wpuszczono nas na salę. Długo to nie trwało. Najpierw wyskoczył wściekły historyk, znany z opisów średniowiecznego Paryża. Potem chyłkiem pobiegł do windy Wałęsa z kierowcą – ochroniarzem „Złotówą" (nie było jeszcze przy wodzu Wachowskiego). Wreszcie dostojnym krokiem wymaszerował z sali, już jako premier, Tadeusz Mazowiecki (premier – bo wówczas to KKK decydowała). Przejęty został natychmiast przez Helenę Łuczywo, zastępczynię Adama Michnika.

Tak było. Profesor Bronisław Geremek – mimo że go wykolegowali na wstępie – to był naprawdę ważny gość.

Ambroziewicz opowiadał, że w czasie trwania studiów, a i potem pan Bronisław był z młodymi bojowymi dziennikarzami w jednej sportowej paczce. Regularnie grali w siatkówkę. Ale po pewnym czasie te znajomości ustały. Geremek poszedł w profesory i pracę w organizacji partyjnej. Ciekawe, że lata mijają, a jakoś nie możemy się doczekać porządnych, uczciwych biografii nie tylko zresztą o profesorze, ale i o wielu innych. Ot, choćby wyjaśniających gwałtowne odejścia z życia niektórych panów. A to w końcu już mija ćwierć wieku.

Ciąg dalszy na s. 34 →

→ Ciąg dalszy ze s. 33

Punkt drugi:

„Z Janem Olszewskim pisałem artykuły w «Po prostu»"

Nie tylko. Pisali też ponoć wspólnie o Powstaniu Warszawskim, w czasie którego na warszawskiej ulicy zginęła matka Ambroziewicza, a ojciec i dwaj bracia byli zaangażowani bojowo.

W telewizyjnej redakcji był wśród nas starszy od Bossa jego krewny. Opowiadał o rodzinie żyjącej w trudnych warunkach na warszawskim Marymoncie. Mówił też o Powstaniu Warszawskim. Słuchaliśmy z zapartym tchem. Pamiętam, że kuzyn mówił o listonoszowaniu młodego. Ambroziewicza już o to nie zapytam, podobnie jak i Eugeniusza Pacha – przyjaciela Pana Jerzego, który sam wtedy został ciężko ranny, postrzelony serią karabinową.

W książce Aleksandra Rowińskiego (też przyjaciela J. A.) wydanej w roku 2000 przez Oficynę Literatów RÓJ pt. *Zawód reporter: Ambroziewicz* jest zdjęcie harcerza w czapce z lilijką, ale to już z 1947 roku.

Ludzie odchodzą. Pozostają po nich szczątki wypowiedzi. Od czasu do czasu mówi się, że trzeba – dla potomności – nagrywać rozmowy, wywiady, ale długie i wyczerpujące. Niestety reporterzy z kamerami i „sitkami" (chodzi o mikrofony) biegają obalając się niemal za tzw. „politykami", którzy niewiele mają do powiedzenia, więc klepią na okrągło komunały.

Właśnie zmarł wspaniały człowiek Jan Olszewski. Teraz podłączają się pod niego różni. Wolelibyśmy słuchać premiera, którego usunięto w wyniku zmowy wystraszonych elit. Telewizja ma dużo nagrań. Ale dużo w tym szmelcu.

Jan Olszewski był wysoki. Podobnie jak i Ambroziewicz. Chyba nieźle im się gadało. Może podsłuchały i nagrały to służby. W końcu one były zawsze, są i będą. Jeśli istnieją takowe nagrania – założę się – że nie ma tam mowy o ośmiorniczkach. Po prostu.

Punkt trzeci:

„Z Maciejem Szczepańskim spotykałem się codziennie przez 8 lat w TV, byłem też przez trzy godziny w sądzie na jego pokazowym procesie".

Podobno prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Ale gdy idioci wmawiali ludziom, że „krwawy Maciej" trzymał konia na jachcie „POGORIA" – Ambroziewicz mógł najwyżej smutno przysłuchiwać się w sądzie bezkompromisowym i „odważnym" niezwykle przedstawicielom palestry. Jaruzelski zglajszaltował odpowiedzialność wszystkich swoich przeciwników: internowany Gierek jęczał z powodu bólu kręgosłupa na drzwiach wyjętych z zawiasów przez Szydlaka, Wałęsa specjalnie tuczony był w Arłamowie, a pomocnicy – właśnie Maciej Szczepański i pomocnik pomocnika Jerzy Ambroziewicz wyrzuceni zostali z pracy z hukiem.

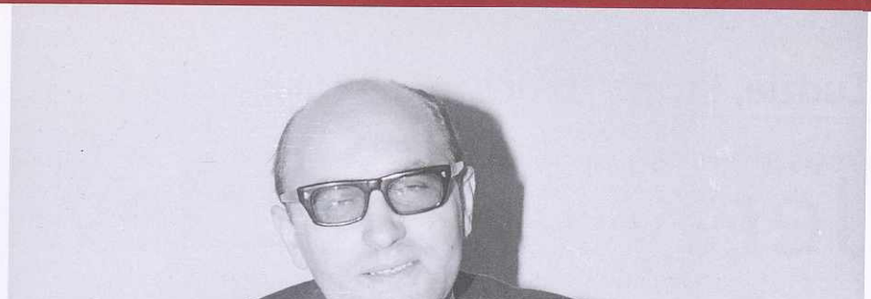

FOT. © GRAŻYNA RUTOWSKA / NAC

Jaruzelski nienawidził Ambroziewicza szczególnie. Być może pamiętał mu, że redaktor rzeczywiście podlizywał się do I sekretarza KC w sposób dość bezczelny, a nawet groteskowy. Pamiętam jak Karol Małcużyński (wówczas idol niezależnie myślących, który odmówił występów przed kamerą TVP w czasie naszego napadu na Czechosłowację) z oburzeniem opowiadał, że Ambroziewicz na spędzie naczelnych w KC mówił bez żenady: „Towarzyszu sekretarzu powinniście częściej występować w telewizji, bo naród chce was słuchać".

No tak. Tak niestety było. Potem mówimy, że to „dla sprawy", że trzeba się podlizać, by coś ważnego przeprowadzić. Czy teraz nie jest podobnie? To tylko kwestia, czy koledzy są przy władzy, czy w opozycji.

Nas, maluczkich na dole hierarchii redakcyjnej nie obchodził Szczepański. Panisko siedziało na „olimpie" TVP na IX piętrze. Stamtąd wszystko spływało, ale było filtrowane przez naczelnych. Ambroziewicz dobrał sobie ludzi zdolnych. Zawodowców. Ludzi z pasją, wierzących. Nie zawsze w Pana Boga, ale w tzw. sprawiedliwość społeczną. Dla ludzi biednych to nie jest bzdura. Stąd też programy nawołujące społeczeństwo do aktywności. Zarobki były nędzne, a partia rządziła niepodzielnie. I to za pomocą agentury – w której ponoć zamieszanych było aż 50 proc. ludzi mediów, artystów i wszelkich innych wątpiących czy da się pozbyć zasady: „ze Związkiem Radzieckim na czele". Przepoczwarzało się to wszystko. Od zrywu do zrywu. Ale wówczas nie oddawano za darmo obcym fabryk, nie zatapiano floty handlowej i nie zasypywano kopalń. 3,5 miliona wykształconych za nasze – społeczeństwa – pieniądze nie wyemigrowało za chlebem.

Było jak było. Ludzie uczciwi starali się jak mogli. Odważni podejmowali różnorakie formy sprzeciwu, szli do więzień. Jedni żyli nadzieją, inni już nie. Po grudniu 1970 hasło: „Pomożecie" przez pewien czas przyciągało. Być może naiwnych.

Punkt czwarty:

„Ze Stanisławem Kanią spierałem się w jego gabinecie"

I chyba tak było. W końcu to Kania sprzeciwił się stanowi wojennemu. A potem i tak wiele godzin spędził na ławie oskarżonych w sądach. Przypomnijmy też, że wcześniej Stanisławowi Kani poświęcono następujący wierszyk-zagadkę:

– Kania? Czy to grzybek, czy to ptaszek?

– Nie! To nowy złodziejaszek.

Ale nie słyszałem, by ten Pan miał konto w „raju podatkowym", rezydencję na Florydzie lub choćby basenik jaki taki w ogródku.

Ambroziewicz był dopuszczony do medialnej władzy. Znali go ludzie czytający książki i periodyki. Był uznanym reportażystą. Dał się zamknąć w zakażonym mieście, by napisać o zarazie. Popełnił dziesiątki tekstów, które czytano. Prowadził wywiady i ludzie do niego przychodzili. Grał namiętnie w tenisa z Hopferem, Walterem i Wierzyńskim. Lubił operę i miał niezłą kolekcję płyt w swoi mieszkaniu na 6 piętrze, na Ursynowie. Słuchałem tam kiedyś rozmowy szefa z krytykiem muzycznym. Była fachowa.

O Stanisławie Kani mało kto dziś pamięta. Ale kto wkrótce będzie pamiętał o Bieleckim, Belce, Pawlaku czy Marcinkiewiczu? Może Ewa Kopacz pobędzie w ludzkich

głowach dłużej – ale to dzięki jej skandalicznym wypowiedziom, jak ta kłamliwa o przekopywaniu lotniska w Smoleńsku.

Świństw Ambroziewicz nie ma na koncie. Zauroczenie Gierkiem można jakoś tam wytłumaczyć. Ale potem już poszedł w... kapitalizm. Pomógł mu w tym rajdowiec-biznesmen Sobiesław Zasada. Redaktor zresztą nie miał wyjścia. Reklamował i pomagał sprzedawać niemieckie samochody. Tyle, że ładnie się nazywające – MERCEDES. Ale – jak to u kapitalistów bywa – łaska pańska była krótkotrwała. Właściciel firmy uznał, że lepszy dla niego będzie inny kolega z naszej branży – Karol Szyndzielorz. Rzeczywiście jest to omnibus. Ma dużą głowę, nieźle umeblowaną. Zasada zwolnił nagle Ambroziewicza przyjął na jego miejsce Pana Karola, który bardzo dobrze zna się na przemyśle zbrojeniowym. Jak było dalej, nie wiem. Pamiętam tylko, że byłem wkrótce po tych wydarzeniach na pogrzebie redaktora Jerzego Ambroziewicza stojąc obok Oli Jakubowskiej, która była wówczas telewizyjną gwiazdą lewicy, a dziś po perypetiach redaktorki próbują ją reanimować bliźniacy Karnowscy.

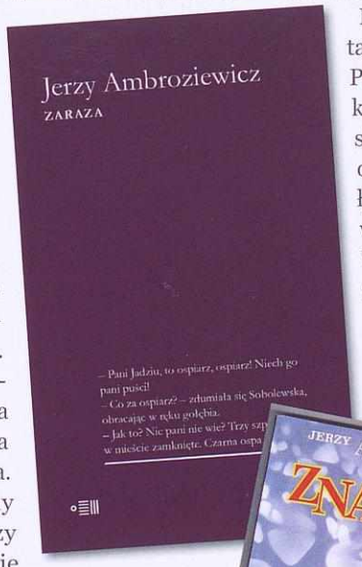

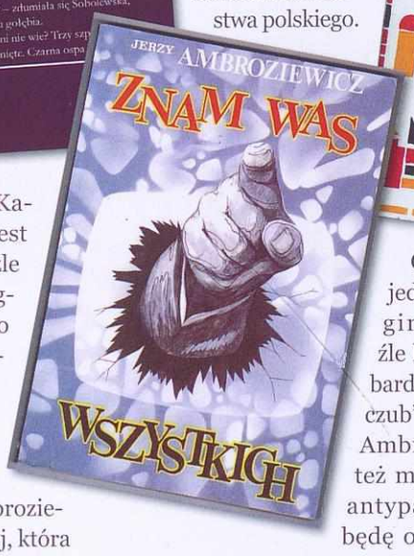

Punkt piąty:

„Z Papieżem, Janem Pawłem II, oglądałem film w kinie watykańskim, przez wiele lat filmowałem Ojca Świętego wraz z jego gośćmi z Polski w bibliotece Pałacu Apostolskiego"

Ambroziewicz był korespondentem Telewizji Polskiej w Rzymie. To była oczywiście wspaniała nagroda dla dziennikarza. Być może władza coś tam kombinowała? Ale może jednak ktoś, gdzieś tam zrozumiał, że w Rzymie powinien być naprawdę dobry dziennikarz. I tak się stało. Dowodem może być życzliwe przyjęcie redaktora przez watykańskich najpierw urzędników, a potem dostojników. Wywiady Ambroziewicza były ciekawe. Nie uprawiał polityki. Relacjonował. I tak się stało, że to on w godzinach grozy i wielkiego smutku relacjonował przebieg wypadków po zamachu na Jana Pawła II. Cała Polska tego słuchała – oczywiście z wielkim bólem, ale dzięki tym właśnie relacjom dobrego korespondenta wiedzieliśmy i widzieliśmy co się działo w Rzymie.

A teraz sobie uczciwie powiedzmy: czy mamy obecnie kogoś takiego w Rzymie, Londynie, Paryżu i Berlinie? „Nasi", „wasi"! Dlaczego nie wypełniają obecnie kryterium zawodowstwa?

Dzięki Ambroziewiczowi i jego kontaktom w Watykanie przyjmowali Polaków-dziennikarzy dostojnicy kościelni. Wielu skorzystało. Powinni koledzy o tym pamiętać. Zostały zdjęcia w książkach wspomnieniowych. Warto wnikliwie tym zdjęciom się przyglądać. To byli – są nasi koledzy. Historia dziennikarstwa polskiego.

Czasem jeden o drugim mówi źle lub nawet bardzo źle. „To czub" – słyszę. Ambroziewicz też miał swoje antypatie. Nie będę o nich pisał. Ale wystarczy przejrzeć wybrane do książek zdjęcia. Jest na nich wielu. Ale wielu – zdawałoby się ważnych – nie ma.

Przystojniaczki na ilustracjach zawsze dobrze robią książce. Choć ładny to nie zawsze mądry. Zastępca Szczepańskiego zorganizował w TVP zastęp asystentek. Były ponoć przydatne – dbały o gości, przeprowadzały ich przez długie korytarze...

W publicystyce TVP, którą „Ambroży" kierował, nie zatrudniano takich panienek. U ładnych głupoty nie widać.

Zdarzyło się – pamiętam – przekroczenie norm obyczajowych. W czasie programu „Bank Miast" budowanego na zasadzie rywalizacji między mieszkańcami uczestniczącymi w konkursie. Jedna z koleżanek (bardzo ładna zresztą) poddała się emocjom rywalizacji i przez telefon nakrzyczała do studia w Warszawie uważając, że zgromadzeni tam jurorzy są niesprawiedliwi. Sprawa nabrzmiała. I dziewczynę chciano zwolnić z pracy. Ambroziewicz był zagranicą. Sprawę przejęli jego zastępcy. Byli surowi, choć jak wieść gminna niosła, niektórzy z nich wykorzystując swoją pozycję w redakcji zabiegali o względy ładnej a głupiej. Wdał się w to wszystko czynnik społeczny (przedstawiciel SDP, mówiąc wprost to byłem ja, przewodniczący Koła). Ale niewiele sam bym wskórał. Poprosiłem o pomoc Matkę Polkę Telewizji Polskiej Halinę Miroszową. Kobietę mądrą i życzliwą. Pomogła. Poszliśmy do Ambroziewicza i powiedzieliśmy o wszystkim, w tym również jak zachowują się jego zastępcy. Drapał się długo w łysą głowę, bo nieporęcznie było mu decyzję swoich prawych rąk zmieniać. Zwlekał, zwlekał i jak to zwykle bywa sprawa przygasła, a Halinka podjęła się opieki wychowawczej nad naszą blondynką.

Punkt szósty:

„Do Pana Boga zbliżyłem się najbardziej podczas dokumentowania konfliktów parafialnych do książki *Plebania na wulkanie*"

Ojcze nasz, który jesteś w niebie, dlaczego tak długo byłem bez Ciebie? – zastanawiają się niektórzy. Czy tak było z Ambroziewiczem? Niech to osądzą wyżej. Mówi się też, że jak trwoga – to do Boga. I to chyba nie jest wyłącznie naganne. Człowiek jest w gruncie rzeczy słaby i podatny na bezkompromisowe ułatwianie sobie życia.

Był czas, gdy Ambroziewicz pracował w piśmie uprawiającym „naukową" agitację antykościelną. W „Argumentach". Ale chyba nie wysilał się zbytnio, bo odszedł, czy też – jak słyszałem – pozbyli się go. Do wojowania z Panem Bogiem trzeba mieć specjalne predyspozycje. Trzeba odrzucić całą wiedzę o tym, czym w naszych dziejach był Kościół katolicki. Trzeba być ślepym na piękno wiekowej kultury sakralnej. Trzeba nie zważać na wielki trud w niesieniu pomocy przez siostry zakonne i misjonarzy.

Dobry i wrażliwy człowiek tego nie zrobi, a Pan Jerzy był dobrym i mądrym człowiekiem. Myślę, że dobrze wybrał zawód i starał się go wykonywać jak najlepiej. A pisał o tej pracy tak: „Dawno już doszedłem do wniosku, że reporter powinien bronić tam, gdzie oskarżają i oskarżać gdzie bronią. W tym moralnym nakazie mieści się zarazem prosta metoda wydobywania treści z wnętrza, podnoszenia ich z samego dna, jak robi to sztormowe morze".

Cytat ten pochodzi z książki pt. *Nic Darmo*. Warto do książek, reportaży Jerzego Ambroziewicza wracać. Trochę się zachłystnęliśmy nie wiadomo czym. W dobie SMS-ów i e-maili warto poczytać.

Na paryskim bruku cz. II

W niniejszym przedstawiamy część II wspomnień redaktora Jacka Wegnera, stanowiących obszerne fragmenty publikacji *Kryptonim „Reporter". Wspomnienia figuranta*, które ukazały się nakładem Editions Spotkania (Warszawa 2016). W poprzednim odcinku autor opisywał swoje trzy pierwsze pobyty w stolicy Francji (wrzesień 1978, lato 1979 i jesień 1980), obecnie przenosimy się do przełomu lat 1980/1981...

Kościół Notre Dame de l'Assomption – siedziba Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu FOT. © ROYAL MAGDA ETOILE

JACEK WEGNER

Odwiedziłem Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte. Napisałem dlań artykuł, gdzie tchnięty jakimś niewytłumaczalnym przeczuciem wywodziłem, że Sowieci każą nam własnymi rękami zdusić irredentę solidarnościową. Jednakże nie przypuszczałem, że stanie się to tak prędko i przybierze takie, iście bizantyjskie, formy instytucjonalne...

Giedroyc przyznał mi skromne stypendium, żebym w Paryżu mógł się utrzymać choćby jeszcze przez parę tygodni i coś „wykombinować", ponieważ wyznałem, że chcę wrócić do kraju, ale do zawodu już nie. Napisałem list do redaktora naczelnego prosząc o trzymiesięczny urlop. Naczelny przysłał telegram, że mam wracać najpóźniej do 5 listopada 1980 roku, acz lojalnie uprzedził, że inaczej będzie porzucenie pracy. Niech będzie, było mi już wszystko jedno. Ale wyczerpywały się zasoby pieniężne. Szukałem jakiejś pracy, jakiegoś *boulot*, jak mawiają Francuzi, a my mówimy robota i dodając „na czarno".

Jerzy Giedroyc w swoim gabinecie w Maisons Laffitte, 1987
FOT. © BOHDAN PACZOWSKI / ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO

Przy parafii polskiej było zgromadzenie polskich sióstr zakonnych, nie pamiętam, jakiej formuły. Z taką życzliwością jak owych sióstr nie spotkałem się jeszcze nigdy. Zapisały mnie w ogromnym zeszycie i poleciły, żebym codziennie przed wieczorem dzwonił albo przychodził. Gotów byłem brać cokolwiek: rozdawanie ulotek na ulicach, sprzątanie... Przychodziłem do zakonnic systematycznie. Ciągle otwierały duży zeszyt; kojarzył mi się z tym w peerelowskim biurze paszportowym, gdzie esbeczka zapisywała różne uwagi o oddających albo odbierających paszporty. Na początku lutego 1981 roku zauważyłem, że coś jest zapisane przy moim nazwisku. Siostra ucieszyła się, jakby to ją spotkało powodzenie. „U lorda". Nie zrozumiałem. „Tak, u lorda". Mam jutro rano, jak najwcześniej, pojechać na ulicę de Varenne przy Bulwarze Inwalidów, blisko ulicy Talleyranda, gdzie mieści się ambasada PRL i przedstawić się panu Szymonowi Piskorzowi z rekomendacji sióstr...

Drzwi były masywne, drewniane, niczym wrota w dawnych zamkach. Z boku mała furtka, również drewniana, i też masywna. Otworzył ją siwy, niski mężczyzna w wieku mojego Ojca. Dziedziniec ogromny, wybrukowany, na wprost długi, jednopiętrowy budynek, po obu stronach skrzydła – pałac. Na dziedzińcu obwąchały mnie dwa psy. Opiekował się nimi pan Szymon, codziennie gotował im kurę. Wdychałem zapach

tej potrawy z przyjemnością. W Polsce z trudem można było kupić taki rarytas, za to pieniądz z państw bogatych miał wysoką cenę; handlowano nim pokątnie.

Władza pozornie zwalczała ów proceder kupczenia walutami, niby karała tych, którzy go uprawiali. Lecz w gruncie rzeczy tolerowała to podziemie, gdyż, po pierwsze, sama czerpała zyski, przecież dewizy szły w obieg gospodarczy, a po drugie – łagodziło ono nieco napięcia społeczne, bo ostatecznie pewne grupy za dewizy uzyskane nielegalnie mogły w specjalnych sklepach o osobliwej nazwie „Pewex" kupować dobra, gdzie indziej za złotówki niedostępne. I tym samym słabły zarzewia buntu.

Zaraz po przyjściu do pałacu wystawiałem kontenery ze śmieciami na chodnik, tam [...] opróżniały je służby miejskie, a ja wprowadzałem je z powrotem na dziedziniec, gdzie stały do następnego rana. Około godziny 10 odbierałem od listonosza pocztę i roznosiłem listy, które musiałem przekazać adresatom, gdyż lord w swym pałacu wynajmował wiele luksusowych mieszkań. W jednym był starszy pan, który przed nazwiskiem miał przydomek „de" – arystokrata. Kiedyś, gdy wręczałem mu przesyłkę, zagadnął:

– Pan jest z Polski?

– Tak.

– Skłaniam głowę – rzekł z powagą. Bo akurat w moim kraju trwał ostatni akord pokojowej wojny „Solidarności" z niechcianą władzą.

Po rozniesieniu poczty właściwie nic nie robiłem, czytałem książki polskie i przeglądałem gazety francuskie, które tu były wyłożone na stole, przy którym siedziałem. Miałem trochę zupełnie niemęczących zajęć. Poległy one na czuwaniu i w razie potrzeby otwieraniu drzwi przed gośćmi. Na przykład z głębi komnat przychodził lokaj, młody, sympatyczny Francuz pochodzenia ormiańskiego, i oznajmiał, że około godziny tej a tej przyjadą do lordostwa znajomi. Wtedy nasłuchiwałem i usłyszawszy dzwonek od ulicy, przebiegałem obszerny dziedziniec, otwierałem oba skrzydła olbrzymich, ciężkich, dębowych wrót i wpuszczałem samochód [...].

Wchodziło dwóch lub trzech mężczyzn, z których aparycji wyzierało bogactwo, a ja gestem i słowami prosiłem, żeby szli za mną. Podprowadzałem ich do głównych, oszklonych drzwi w środkowej części pałacu. Przez szyby widział moje manewry ów młody lokaj i wpuszczał przybyłych do środka, witając ich lekkim ukłonem, ja zaś się wycofywałem. Oni przekraczając wejście odwracali na moment głowy do mnie i mówili: *merci* [...]. Do stojącego samochodu z szoferem wracali już sami, a ja zawczasu powiadomiony przez lokaja, otwierałem bramę. Po czym gawędziłem z Szymonem o czasach

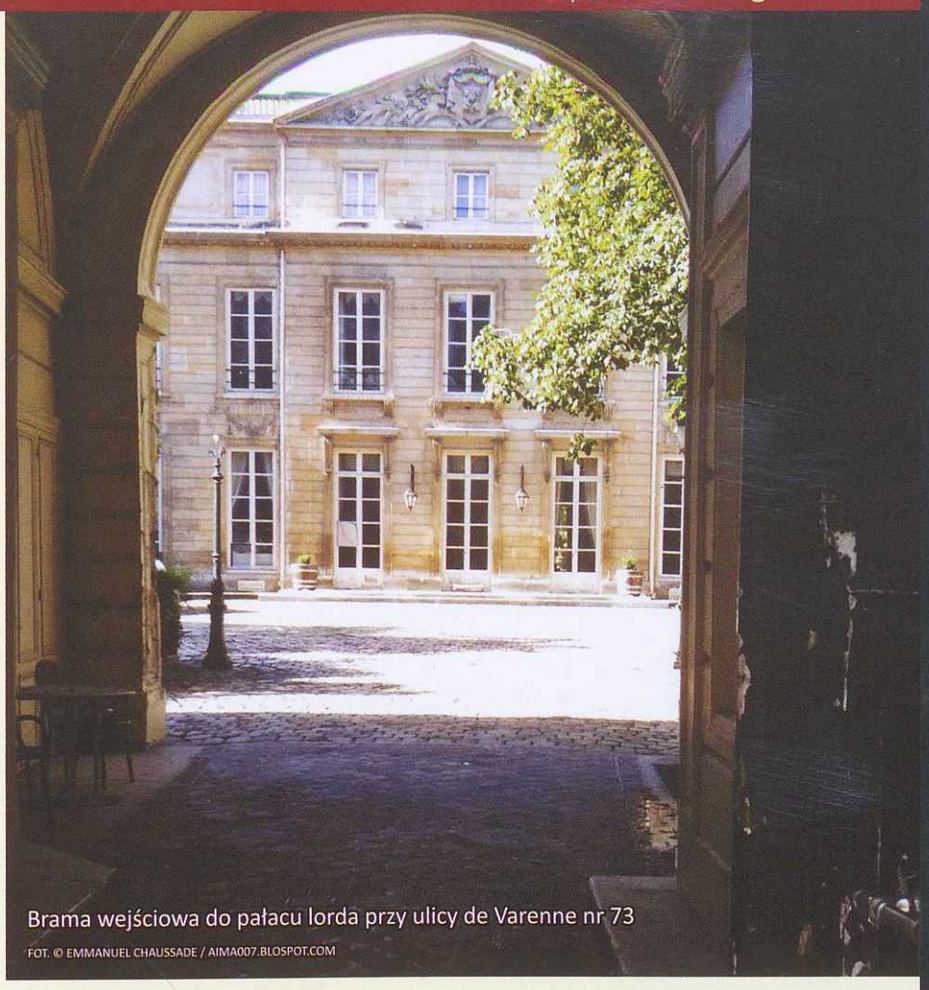

Brama wejściowa do pałacu lorda przy ulicy de Varenne nr 73

FOT. © EMMANUEL CHAUSSADE / AIMA007.BLOSPOT.COM

jego młodości (był endekiem) i doznaniach wojennych. Zwierzyłem mu się, że chciałbym kupić jakiś używany, ale w niezłym stanie samochód, bo marzy mi się po powrocie do Warszawy zawód taksówkarza.

Razu pewnego lokaj powiadomił, że o godzinie pierwszej mam baczyć na gości. Jakoż wjechała wspaniała granatowa limuzyna, zatrzymała się na środku dziedzińca; kierowca otworzył tylne drzwi, z których wyszli dwaj mężczyźni. Obaj w wieku około 70. lat, jeden wysoki, drugi niski, bardziej siwy od pierwszego i o ostrych rysach. Ale ich twarze miały coś wspólnego, co wzbudzało moją sympatię, zdało mi się, że są mi jakoś bliscy, a przecież tych ludzi nigdy nie widziałem, na dodatek dzieliła nas bariera społeczna: oni byli biznesmenami, a ja zastępcą (wprawdzie tymczasowym, ale jednak zastępcą) dozorczyni.

Rutynowo, bezbarwnie powiedziałem: „Proszę za mną". Szedłem przodem; wyższy powiedział do niższego po polsku: „Wiesz, Mieciu, powiemy lordowi o rozmowie z Duvalierem". – Dobrze. I usłyszawszy odpowiedź, zwrócił się do mnie po francusku:

– Czy pan wie, jak nazywają się te drzewa? Wskazał na olbrzymie krzewy przy ścianach obu skrzydeł pałacu. Powiedziałem nie bez dumy: „Mogą panowie mówić po polsku".

– O – zawołał wyższy – nie mówiłem ci, Mieciu, że lord otacza się Polakami?

Już lokajczyk otwierał drzwi, panowie ukłonem podziękowali za podprowadzenie i weszli do wnętrza. Po wyjściu podeszli do mnie, uścisnęli dłoń, wymienili swe imiona i nazwiska, ja też się przedstawiłem i powiedzieli, że boleją nad sytuacją, w jakiej jest Polska, że mają tam krewnych i pomagają im, lecz nie mogą przyjechać. Widocznie odgadli moją ciekawość i dopowiedzieli niby od niechcenia, że po Powstaniu Warszawskim byli w obozie jenieckim wyzwolonym przez Aliantów, przyjechali do Francji i jakoś się urządzili. Owo „jakoś" zabrzmiało nazbyt skromnie.

Przestało mnie dręczyć poczucie niższości.

Szymon Piskorz był przyjacielem i powiernikiem lorda. Po wybuchu wojny *via* Rumunia przedarł się do Francji, skąd został ewakuowany z częścią Wojska Polskiego na Wyspy. Był lotnikiem. W wyniku porozumienia władz polskich z brytyjskimi niektórych naszych lotników przydzielono do ministerstwa lotnictwa (czy komunikacji), które oczywiście zmilitaryzowano. Wśród oddelegowanych znalazł się i Szymon, a wiceministrem w tym ministerstwie był właśnie ów lord, który po wojnie osiadł w Paryżu. Kiedyś lecieli nad Bałkanami i od góry wpadli w burzę, a od dołu pod ostrzał artylerii niemieckiej przeciwlotniczej. Angielscy lotnicy potracili głowy. Szymon uratował wszystkich. Od tego czasu lord przyjął go do siebie i traktował jak brata.

Ciąg dalszy na s. 38 →

→ Ciąg dalszy ze s. 37

Ufał mu we wszystkim jak sobie samemu. Gdy zachorowała lordowi dozorczyni, poprosił Szymona o znalezienie jakiegoś Polaka. Szymon był w stałym telefonicznym kontakcie z siostrami polskimi. I dowiedział się od nich, że szukam jakiejś pracy i trochę znam francuski.

O nic nie wypytywał, pokazał posiadłość, wskazał miejsce, gdzie miałem siedzieć, bo rzecz jasna nie w mieszkaniu (wszak prywatnym) dozorczyni. I przedstawił nawet nie lordowi, a madame O., która była intendentką nieruchomości. Od razu powiedziała, jakie będą moje obowiązki za sto franków codziennie; w soboty i niedziele, dzisiaj powiedzielibyśmy w weekendy, podwójnie. I zapytała, czy chcę je otrzymywać co tydzień, czy każdego dnia. Łatwo się domyśleć, że bez wahań wybrałem drugą możliwość.

Wkrótce zaprzyjaźniłem się ze służbą lordostwa: młodym lokajem, kucharzem Alzatczykiem Klaudiuszem (Claude), ogrodnikiem Polakiem, Józefem, a także moim nocnym następcą, Włochem Dżiowanim i dwiema kobietami o nieco ciemniejszej skórze niż nasze; one codziennie na antresoli od ósmej rano do godziny czwartej prały i prasowały bieliznę lorda i jego żony. Wspomnę na marginesie, że szlachetny pan Szymon miał awersję do kucharza o imieniu Claude, albowiem uroił sobie, nie wiem na jakiej podstawie, że skoro pochodzi on z Alzacji, to jest krypto-Niemcem, Szymon nazywał go po prostu Szwabem i twierdził, że jego prawdziwe imię to Klaus...

Pracowałem od siódmej rano do siódmej wieczorem. Przed godziną dziewiątą rano odzywał się głośny dzwonek uruchamiany na zewnątrz bramy głównej, od ulicy. Szedłem wtedy przez wybrukowany dziedziniec i z trudem otwierałem owe ciężkie, staroświeckie wrota, okute stalowymi listwami. Na środek podwórca wjeżdżał potężny samochód i wysiadał z niego kierowca lorda, który witał się ze mną, jakby znał mnie od niepamiętnych czasów. Po kilku dniach powiedział mi, że jego matka była Polką, on nie zna polskiego, ale w połowie czuje się Polakiem.

Lord był właścicielem czy udziałowcem fabryki (lub fabryk) napojów, wyjeżdżał doglądać swych interesów. Wychodził z głębi pałacu, a myśmy wstawali, lord zaś odwracał do każdego z nas głowę, pochylał ją w lekkim ukłonie i mówił: „dzień dobry wszystkim" (napiszę te słowa w transkrypcji polskiej, bo brzmią pięknie, jak zresztą wszystkie francuskie): „bą żur a tulmąd"; owo „d" ostatnie jest wymawiane dźwięcznie, jak np. w słowie „drewno"). A myśmy pojedynczo, gdy twarz lorda była do nas skierowana, odpowiadali z ukłonem może troszkę głębszym niż jego (również w transkrypcji polskiej) – „bą żur mesje ly kąt", czyli „dzień dobry, panie hrabio". Na końcu lord podawał rękę stojącemu przy samochodzie na dziedzińcu kierowcy i odjeżdżał. Wracał o różnych porach, ale już bez ceremonii.

Tymczasem kończył się kwiecień 1981 roku, minęło już pół roku od mojego przyjazdu i „porzucenia pracy". W Polsce wrzało. Społeczeństwa zachodnie sympatyzowały z naszą irredentą (na razie pokojową) i często w różnoraki sposób dawały temu wyraz. Wracałem do domu z dozorstwa po siódmej wieczorem, było jeszcze widno. Już miałem wchodzić do metra przy Bulwarze Inwalidów, gdy zauważyłem ustawione na obrzeżach chodników płotki policyjne – acha, znów jakaś manifestacja [...].

Wychyliwszy się nieco poza płotki, spostrzegłem w głębi ulicy zwarty tłum młodych ludzi z podniesionymi do góry prawymi pięściami i coś skandującymi. Zrazu nie mogłem zrozumieć słów. Niektórzy nieśli transparenty białe z czerwonymi napisami. Stanąłem blisko metra, żeby w razie jakiejś awantury zbiec na dół. Już mogłem usłyszeć i przeczytać; przytoczę te słowa francuskie w transkrypcji polskiej: „wiw la rewolüsion polnoez" (z tym, że drugie „w" w pierwszym wyrazie wymawia się dźwięcznie, jak np. w słowie „wagon", tak samo dźwięcznie ostatnią głoskę „z" w ostatnim słowie) – „niech żyje rewolucja polska". A na transparentach napisy (w tłumaczeniu dosłownym): „bezpieczeństwo dla polskich robotników", „bezpieczeństwo dla polskich chłopów", „bezpieczeństwo dla KOR".

Poczułem w gardle jakiś ucisk. Przypomniało mi się, że u Wiktora Hugo rewolucjoniści paryscy wołają na barykadach: *Vive la Pologne*. Nie wiem, czy tak było w rzeczywistości historycznej, lecz wiem z całą pewnością, że tak napisał największy romantyk francuski, geniusz słowa prozatorskiego, do którego nawiązywali później nasz Conrad i Faulkner oraz egzystencjaliści francuscy z Albertem Camusem. I co? Polska po zaborach sama musiała sobie wywalczyć wolność. A za pół roku od tej manifestacji francuskiej Jaruzelski spowił nas wewnętrzną niewolą, w jakiej nigdy przedtem nie byliśmy.

Wszedłem do metra.

Kończyłem pracę, jak rzekłem, o siódmej wieczorem. Mieszkałem daleko od miejsca mojej stróżówki, jeździłem do niej i wracałem metrem z dwiema przesiadkami ponad godzinę. Byłem więc w domu około godziny dziewiątej wieczorem. A przed piątą rano musiałem wstawać. Ale któregoś ranka nie usłyszałem budzika. Kiedy otworzyłem oczy i stwierdziłem, że już widno [...], popędziłem, jakbym uciekał z pożaru. W metrze rozpamiętywałem złośliwość losu i chciało mi się, dosłownie, płakać, że stracę tę pracę, która fizycznie nie była ciężka, a wspaniale wynagradzana. Zrazu, jak to najczęściej bywa, obmyślałem kłamstwa, jakimi mógłbym wytłumaczyć przed madame O. to prawie trzygodzinne spóźnienie. Nic mądrego mnie nie nawiedzało, wszystko, co wymyślałem, było naiwne, głupie, niewiarygodne. Postanowiłem przeto powiedzieć prawdę.

Kiedy otworzył mi furtkę Szymon, wyszeptałem: „Proszę pana, zaspałem".

– Nie szkodzi. Niech pan przywita się z madame O.

Wszedłem na dziedziniec z głową opuszczoną, co miało oznaczać skruchę, kątem oczu dostrzegłem, ze z okien patrzą na mnie madame O. i lokaj [...]. Podniosłem głowę – z godnością, jak mi się wydało – i powiedziałem do madame O., że przepraszam, nie usłyszałem budzika [...]. Nawet nie miałem odrobiny czasu, żeby zaczekać na reakcję, gdy O. natychmiast odpowiedziała, że to się zdarza i że czeka na mnie Dżiowani, żeby wreszcie wyjść, bo, jak pisałem, on mnie zmieniał wieczorem i schodził z służby dopiero rano po moim przyjściu.

Podszedłem do niego z równie pokornym wyrazem twarzy. A on był strasznie naburmuszony [...] i rzekł z udawaną złością, że przeze mnie nie spotka się dzisiaj z narzeczoną.

– O godzinie 11 rano masz randkę?

Odrzekł poważnie, ale już bez tej udawanej irytacji, droczenie się ze mną sprawiało mu widocznie, jak każdemu pogodnemu człowiekowi, swoistą przyjemność, że on ma randkę zawsze. I dodał, że któregoś wieczoru „oddam" mu te godziny czekania na moje przyjście.

Jednak kończyła mi się wiza turystyczna. Po utracie ważności trzeba było wracać, skąd się przyjechało, albo ją przedłużyć.

W ogóle z Polski na Zachód można było wyjeżdżać wyłącznie na zaproszenie jakiegoś obywatela kraju, do którego chciało się przybyć; zaproszenie musiało być zapisane na specjalnym blankiecie i potwierdzane pieczątką przez konsulat polski. Kto z Zachodu zapraszał Polaka do swego kraju, był więc zmuszony iść do konsulatu PRL i potem listem poleconym wysłać ów dokument. A zapraszany musiał się nadto wylegitymować przed polskimi władzami paszportowymi posiadaniem w banku ściśle określonej w stosunku do zamierzonego czasu pobytu na Zachodzie sumy waluty tzw. wymienialnej, czyli walorów pieniężnych państw kapitalistycznych. Konta dewizowe Gierek pozwalał już zakładać w bankach państwowych (innych nie było). I tu koło się zamykało – żeby mieć dewizy (pieniądz wymienialny), jako drugi po zaproszeniu warunek otrzymania paszportu,

trzeba było je albo kupić w kraju nielegalnie, albo zarobić na Zachodzie; żeby zaś zarobić, trzeba było mieć paszport i wyjechać, aby zaś wyjechać i zarobić, musiało się mieć owo wspomniane zaproszenie i wylegitymować się posiadaniem dewiz...

Byłem w szczęśliwszym położeniu, ponieważ pilotowałem w kraju wycieczki francuskie i od turystów dostawałem na pożegnanie napiwki, które deponowane w banku stanowiły owe niezbędne kwoty do otrzymania paszportu. A także dwoje podopiecznych z wycieczki zadało sobie niemały trud i przysłało zaproszenie potwierdzone przez konsulat polski. Jestem im wdzięczny.

Restrykcje na restrykcje. I we Francji, gdy wiza wygasała, trzeba było, aby ją przedłużyć, postarać się o nowe zaproszenie, już łatwiejsze do uzyskania, bez formalnej afirmacji w konsulacie polskim, albowiem władzom francuskim wystarczał tylko podpis osoby zapraszającej i nie interesowały się majątkiem osobistym osoby starającej się o prolongatę wizy. Wymyślałem sobie, przedłużając wcześniej legalny pobyt, że najbardziej wiarygodne będą zaproszenia obywateli francuskich płci pięknej. I... naraziłem się policji. Kiedy bowiem kolejny raz przyszedłem do prefektury z nowym zaproszeniem Francuzki, policjantka zajrzała do mojego dossier, gdzie było już kilka zaproszeń i powiedziała kąśliwie: „Przedłużamy panu pobyt, a pan tu zostawi dzieci". Udałem oburzenie, że ta uwaga jest niedelikatna. I pomyślałem: widocznie nie lubi mieszańców [...].

Muszę się więc przyznać do pewnej nieuczciwości. Życie jest czasami okrutne, natomiast normy etyczne niezmienne i piękne, a jednak to pierwsze zmusza nieraz do uchybiania drugim. Szymon pomógł mi kupić używanego Polskiego Fiata 125 – od białych Rosjan, których ostatnie bodaj pokolenie dożywało swych dni w Paryżu. Łatwo ich zauważałem w miejscach publicznych, bo mówili po francusku z takim rosyjskim akcentem, że aż skóra cierpła. Szymon jako endek przyjaźnił się z nimi. Ale był dobrym człowiekiem. Toteż zachowuję o nim błogosławioną pamięć.

W maju 1981 roku nie pracowałem już u lorda, ponieważ dozorczyni wróciła ze szpitala. Ale miałem auto. Samochód odebrałem w piątek po południu. Wszystkie biura były już pozamykane. A wiza pobytowa francuska kończyła mi się w niedzielę. Jak tu wyjechać z Francji, skoro samochód nie jest jeszcze zarejestrowany? Zwierzyłem się Józefowi, wspomniałem o nim, że był ogrodnikiem u lorda. Młodszy od Szymona, lecz starszy ode mnie o mniej więcej pół pokolenia. Mieszkał na stałe w Paryżu i miał prawo do pracy, często

Demonstracja poparcia dla „Solidarności" w Paryżu, 1982
FOT. © PHILIPPE GOMBART / PGOMBART.COM

przyjeżdżał do Warszawy i po krótkim tam pobycie wracał do stolicy Francji. Nie wypytywałem go o życiorys, więc nie wiem, jaki był jego status cywilny. W każdym razie życzliwie odniósł się do moich kłopotów kalendarzowo-wizowych. Doradził, bym poszedł do lekarza polskiego i poprosił o zaświadczenie, że zachorowałem i muszę we Francji pozostać jeszcze jakiś czas. Na tej podstawie policja przedłuży mi wizę.

Zarekomendował mnie znajomemu doktorowi, tylko zastrzegł, żebym nie kręcił, a powiedział prawdę. [...] Lekarz, starszy, szpakowaty, przyjął mnie uprzejmie. Od razu przeszedłem do rzeczy. Gospodarz na recepcie napisał po francusku: „Stop z pracą na dziesięć dni". Jęknąłem – przecież nie wolno mi we Francji pracować, jedynie trochę zastępowałem chorą dozorczynię... Doktor wyjaśnił, że taka jest formuła stwierdzania niezdolności do wszelkiej aktywności publicznej i nikt nie ma prawa zapytać o przyczynę; ona jest świętą tajemnicą, którą znają tylko trzy osoby: Bóg, lekarz i pacjent [...].

Z ciężkim sercem opuszczałem Paryż. Jechałem do kraju własnym, tutaj kupionym, dzięki Szymonowi Piskorzowi, Polskim Fiatem 125, więc powinienem się cieszyć, ale wtedy w Polsce, w pierwszej połowie 1981 roku było źle pod każdym względem...

Właściwie po co wracałem? Gdybym nie był humanistą, może znalazłbym we Francji jakieś stałe, godziwe zatrudnienie. A tak? Byłbym zawsze pracownikiem trzeciej kategorii. Uświadamiałem sobie wprawdzie alternatywę: związać się na stałe z emigracją polityczną. Lecz bałem się właśnie owego „na stałe" – w kraju miałem rodzinę i nie dojrzałem, może nigdy bym nie dojrzał, do niemożliwości bycia z nią. Nikt wtedy bodaj nie przypuszczał, że zanim minie dziesięciolecie, drogi powrotu dla wszystkich emigrantów zostaną otwarte. Gdybym wiedział...

Wiozłem szesnaście książek podarowanych przez Romanowiczów. Byłem świadom, że celnicy zabiorą mi wszystkie i na dodatek będę mieć kłopoty polityczne. Przezornie jeszcze w Paryżu spisałem tytuły [...], dołączyłem pismo, że jestem dziennikarzem i bez tych pozycji nie będę mógł dobrze wykonywać zawodu. Była to argumentacja głupia, lecz celnik potraktował ją poważnie [...], złożył podpis i podstemplował kopię mojego wykazu pozycji książkowych i pisma motywującego konieczność ich posiadania. Łudziłem się, że je odzyskam.

Nękałem pisemnymi żądanio-prośbami ówczesne Ministerstwo Finansów o zwrot zarekwirowanych przedmiotów. Ministerstwo, alias SB, zgodziło się w końcu zwrócić dwanaście pozycji z owych szesnastu. A nie oddało czterech: Stanisława Swianiewicza *W cieniu Katynia*, Józefa Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi*, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *Inny świat* i... *Główne nurty marksizmu* Leszka Kołakowskiego...

CDN.

Kto to powiedział?

WOJCIECH GOLJAT

Kto to powiedział, powiedzenia historyczne – jest ich niemało. Dlatego też w tym artykule zmuszony jestem ograniczyć się jedynie do niektórych powiedzeń czy cytatów i stąd, tym razem, tylko te związane z polską historią wojskowości.

Jednymi z najsłynniejszych były słowa króla Władysława Jagiełły „**Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmę jako wróżbę zwycięstwa**" w dniu 15 lipca 1410 roku tuż przed rozpoczęciem bitwy pod Grunwaldem. Król skierował je do posłańców wielkiego mistrza Zakonu, którzy przywieźli dwa nagie miecze, aby – jak twierdzili – ośmielić wojska królewskie do bitwy. Była to zawoalowana kpina zarówno z króla (którego, jako Litwina i neofitę, Krzyżacy uważali za człowieka spoza kręgu cywilizacji europejskiej), jak i ze sprzymierzonych wojsk polsko-litewsko-ruskich (rzekomo nieznających zasad i rzemiosła rycerskiego). Kilka godzin później okazało się, że to król Władysław był dużo lepszym wodzem niż wielki mistrz, a lekceważone wojska sprzymierzonych świętowały zwycięstwo.

Mniej szczęśliwym wodzem i wojownikiem był wnuk Jagiełły król Jan Olbracht. Niespełna 100 lat później poniósł on miażdżącą klęskę w lasach Bukowiny. Straty wśród rycerskiego pospolitego ruszenia były tak duże, że powstało wówczas powiedzenie „**Za króla Olbrachta wyginęła szlachta**". Już 40 lat wcześniej, podczas wojny trzynastoletniej, pospolite ruszenie okazało się przeżytkiem – klęska w lasach bukowińskich tę ocenę tylko utrwaliła.

Burzliwy wiek XVII

Do dziś używamy pojęcia „**pójść jak w dym**" i mało kto kojarzy pochodzenie tego pojęcia. Sięga ono XVI i XVII wieku gdy bitwy z reguły rozstrzygała szarża jazdy. Jednak wyćwiczonej piechocie nierzadko udawało się szarżę powstrzymać.

Siedemnastowieczni kawalerzyści wiedzieli, że gdy nad linią czy czworobokiem piechoty pojawiał się dym to kule, które miały zabić lub ranić jeźdźców czy konie, zostały już wystrzelone. Niska szybkostrzelność ówczesnej broni palnej nie pozwalała oddać drugiego strzału i, o ile szarża nie załamała się po pierwszej salwie, to od tego momentu jeźdźcy mieli zdecydowaną przewagę i byli stosunkowo bezpieczni. Wówczas „uderzali (szli) w dym". A już zdecydowanie dotyczyło to husarii. Ich kopie, długie na prawie sześć metrów, siały spustoszenie wśród gęsto ustawionych piechurów. Pamiętnikarze tej epoki wspominają, że husarz nieraz, zanim strzaskał kopię, przebijał nią dwóch czy trzech wrogich piechurów.

Pomnik Króla Władysława Jagiełły na Manhattanie (79th Street), autorstwa Stanisława Kazimierza Ostrowskiego (1876-1947), 1939 (odnowiony w 1986 roku)

FOT. © CENTRALPARKINBRONZE.COM

Najsłynniejsze wyczyny husarii to m.in. zwycięstwo 27 września 1605 roku pod Kircholmem gdzie Szwedzi mieli ponad czterokrotną przewagę. Dowodzący hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz na widok licznych wojsk szwedzkich miał rzec przed bitwą: „**Policzym ich, jak ich pobijem**". I tak też się stało – talent wodza i bitność żołnierza potrafiły przemóc przewagę liczebną.

O nieco młodszym od Chodkiewicza, jąkającym się, hetmanie Stanisławie Koniecpolskim mawiano „**Pan Stanisław pierwej uderzy zanim wypowie**". Hetman Koniecpolski pod Trzcianą 27 czerwca 1629 roku pobił, dotychczas niepokonanego, króla szwedzkiego Gustawa II Adolfa. I w tej bitwie do przełamującego uderzenia hetman wykorzystał chorągwie husarskie. To hetman Koniecpolski był też tym, który dwukrotnie (w roku 1624 pod Martynowem i w 1644 pod Ochmatowem) potrafił rozprawić się z potężnymi najazdami tatarskimi na południowo-wschodnie kresy Rzeczypospolitej. A Tatarzy byli wyjątkowo trudnym i nieuchwytnym przeciwnikiem.

Do tradycji przeszło powiedzenie Stefana Czarnieckiego „**Jam nie z soli, ani z roli, jeno z tego co mnie boli**" jako przykład niesprawiedliwości w awansach poprzez faworyzowanie bogatej magnaterii i niedocenianie zawodowych żołnierzy

takich właśnie jak Czarniecki. Dotyczyło to m.in. awansu w roku 1657 (podczas potopu szwedzkiego) magnata Jerzego Sebastiana Lubomirskiego na hetmana polnego koronnego. Ale, bądźmy szczerzy, Lubomirski też był świetnym wodzem, a przy tym olbrzymią część kosztów wojny ze Szwedami pokrywał z własnych zasobów. Stąd ówczesna decyzja króla Jana Kazimierza, preferująca Lubomirskiego, wydaje się całkiem racjonalna.

Stefan Czarniecki hetmanem został osiem lat później, na kilka tygodni przed śmiercią. Natomiast 140 lat później trafił do „Mazurka Dąbrowskiego" – dziś polskiego hymnu. Lubomirski przeszedł zaś do historii przede wszystkim jako późniejszy zaciekły oponent króla i przywódca rokoszu (zwanego rokoszem Lubomirskiego) anarchizującego Rzeczypospolitą – a szkoda bo był człowiekiem wysoce utalentowanym i wcześniej bardzo zasłużonym dla ojczyzny.

My z Napoleonem, Napoleon z nami

Pomimo dzielących nas 200. lat od epoki napoleońskiej jest to okres pamiętny w naszej historii i naszej legendzie. Zostało po nim sporo znanych powiedzeń. Pod wąwozem Somosierry, 30 listopada 1808 roku, cesarz Napoleon zdecydował się przełamać opór Hiszpanów szybką szarżą kawalerii. Wątpliwości otaczających go generałów skwitował krótko „**Zostawcie to Polakom**". Wydał rozkaz do szarży Janowi Leonowi Kozietulskiemu – dowódcy służbowego szwadronu polskich szwoleżerów. Było ich niespełna dwustu, ale uderzyli z impetem. Pomimo salw armatnich oraz karabinowych i znacznych strat w 10 minut zdobyli cztery rzędy barykad.

Na zdezorganizowanych Hiszpanów cesarz natychmiast rzucił do walki inne oddziały aby do końca opanowały Somosierrę – droga na Madryt została otwarta. Po bitwie Napoleon nazwał szwoleżerów „najdzielniejszymi z dzielnych", nie szczędził też krzyży Legii Honorowej. Przez następne 130 lat w szkołach wojskowych przytaczano przykład polskiej szarży pod Somosierrą jako wzorcowy przykład piorunującego uderzenia kawalerii.

Pieter Snayers, „Bitwa pod Kirholmem", ok. 1630 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

Rok później szwoleżerowie dzielnie spisali się również w bitwie pod Wagram. Jednak kilka dni po bitwie – podczas uroczystego przeglądu wojsk – na dziedzińcu wiedeńskiego Schonbrunnu, przy nieobecności kilku doświadczonych oficerów, młodzi oficerowie pogubili się i szwadrony pułku szwoleżerów spowodowały bałagan w przebiegu uroczystości. Zirytowany Napoleon nakazał im galopem opuścić dziedziniec. Aby załagodzić nieco sytuację rzekł do otaczających go marszałków i generałów: „**Ci Polacy się tylko bić potrafią**". No właśnie: przygana to była czy pochwała?

Z olbrzymiej odwagi słynął jeden z weteranów napoleońskich gen. Józef Chłopicki – wcześniej dowódca Legii Nadwiślańskiej, walczącej kilka lat w Hiszpanii, a potem skierowanej w 1812 roku do uzupełnienia wojsk napoleońskich w kampanii moskiewskiej. Generał Chłopicki w latach 20. XIX wieku w wojskach Królestwa Kongresowego zasłynął też z braku pokory do nietaktów (delikatnie to określając) popełnianych przez wielkiego księcia Konstantego. Na zwróconą mu uwagę, że podczas defilady paraduje zbyt nonszalanckim krokiem, odparował: „**Możliwe, ale tym krokiem doszedłem z Madrytu do Moskwy**".

Popularność gen. Chłopickiego w wojsku i w społeczeństwie polskim była tak duża, że podczas powstania listopadowego (1830/1831) został wodzem naczelnym i dyktatorem powstania. Szkoda tylko, że ten nieustraszony żołnierz nie sprawdził się jako przywódca i mąż stanu. W późniejszych latach, które spędził w Krakowie (poza zaborem rosyjskim) uświadomił to sobie i mawiał, patrząc na kopiec Kościuszki: „**Tak – a ja mogłem mieć większy**".

Ciąg dalszy na s. 42 →

Jan Karol Chodkiewicz

Stefan Koniecpolski

Stefan Czarniecki

Louis-François Lejeune, „Bitwa pod Somosierrą", 1810 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

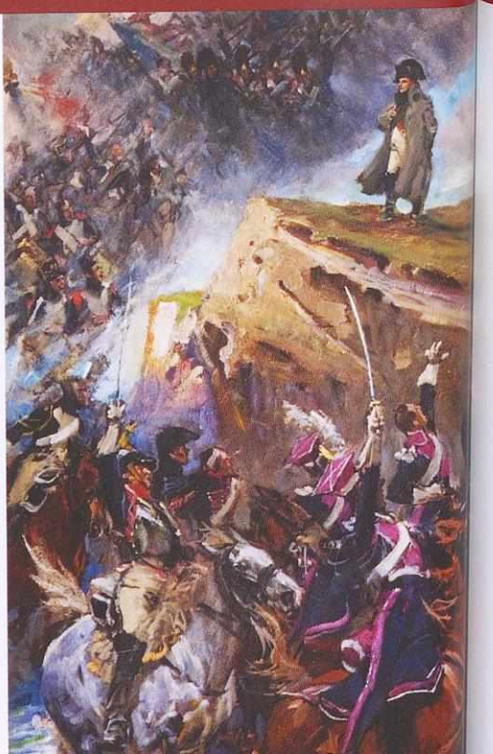
Wojciech Kossak, „Wizja Napoleona pod Somosierrą", 1916 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

Jan Leon Kozietulski

→ Ciąg dalszy ze s. 41

Epopeja napoleońska przez dziesięciolecia inspirowała Polaków. Niektórzy z bohaterów tej epoki zmarli stosunkowo młodo m.in. wyżej wymieniony dowódca szarży pod Somosierrą Jan Leon Kozietulski (krótko po czterdziestce). Inni dożyli sędziwego wieku jak generałowie Dezydery Chłapowski (91 lat) czy Tomasz Łubieński (86 lat). W latach 70. XIX wieku jeden z wiekowych już hierarchów kościelnych, wygłaszając mowę podczas pogrzebu jednego z bohaterów epoki napoleońskiej, rzekł m.in.: „**Niewielu nas zostało cośmy uderzali żelazem w mury Kremlina**". Obaj, jako oficerowie wojsk Księstwa Warszawskiego, uczestniczyli w kampanii rosyjskiej 1812 roku.

W 1912 roku na stulecie tej kampanii młody historyk Marian Kukiel wydał *Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej* (współczesny piękny reprint tego wydania można dostać w antykwariatach). Z czasem Marian Kukiel doszedł do szlifów generalskich i był jednym z bliskich współpracowników premiera Władysława Sikorskiego.

W XX wieku

Nie sposób pominąć najbardziej znaczącego polskiego polityka ostatnich kilkuset lat Józefa Piłsudskiego – działacza niepodległościowego, żołnierza, męża stanu, legendy... Marszałek Józef Piłsudski w swoich wystąpieniach i pismach zawarł wiele trafnych uwag, spostrzeżeń i aforyzmów. Przytoczę tylko dwa najbardziej znane: „**Jedynie czyn ma znaczenie. Najlepsze chęci pozostają bez skutku,**

Józef Grzegorz Chłopicki

Jan Piwnik ps. „Ponury"

Film „303. Bitwa o Anglię", reż. David Blair, Polska – Wielka Brytania, 2018 FOT. © PROSPEKT3

o ile nie pociągają za sobą następstw praktycznych". I drugie umieszczone m.in. w krypcie Marszałka na Wawelu: „**Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo. Zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska**".

Latem 1940 roku najbardziej newralgicznym punktem działań wojennych okazała się powietrzna Bitwa o Anglię. Niespełna półtora tysiąca pilotów brytyjskich wsparli i przedstawiciele innych narodów. W tym 145 polskich pilotów myśliwskich. Pilotów świetnie wyszkolonych, doświadczonych i bardzo zdeterminowanych do walki. I zapewne to ich udział zadecydował, że szala zwycięstwa, po zaciętych walkach, przechyliła się na stronę Brytyjczyków. Sami Brytyjczycy zadają sobie do dziś pytanie czy bez udziału tych 145 Polaków byliby w stanie obronić się przed inwazją niemiecką? Ale miało to swoją cenę: podczas Bitwy o Anglię zginęło 29 polskich pilotów. Po śmierci jednego z nich Ludwika Paszkiewicza (wcześniej zestrzelił sześć niemieckich samolotów) jego przyjaciel Jan Zumbach napisał piękne epitafium: „**Oddał swe życie gdzieś tam wysoko, tam gdzie sprawy ziemi są tak odległe, blask słońca tak czysty, a Bóg tak blisko**".

Natomiast Witold Urbanowicz – świetny pilot i dowódca Dywizjonu 303 – napisał w swoich wspomnieniach: „**Nie błagamy o wolność, my walczymy o wolność**. Tak miałem napisane na samolocie. W Bitwie o Anglię mieliśmy rekord 126 zestrzeleń, przy najmniejszych stratach własnych".

„**Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie**" to ostatnie słowa umierającego Jana Piwnika „Ponurego" ciężko rannego 16 czerwca 1944 roku w starciu pod Jewłaszami na Wileńszczyźnie. Tak też pisarz Cezary Chlebowski zatytułował swoją, wielokrotnie wznawianą, książkę poświęconą legendarnemu partyzanckiemu dowódcy (pośmiertnie awansowanemu do stopnia pułkownika). Góry Świętokrzyskie były regionem gdzie Jan Piwnik się urodził i gdzie wypadła znaczna część jego partyzanckiej aktywności. Szczątki legendarnego partyzanta sprowadzono w roku 1987 do Polski i pochowano w krużgankach trzynastowiecznego klasztoru w Wąchocku gdzie „Ponury", jako dowódca świętokrzyskiego zgrupowania partyzanckiego, wielokrotnie bywał.

Wspomnijmy jeszcze gen. Stanisława Maczka oraz jego piękne słowa skierowane do polskich czołgistów po wkroczeniu (w początkach 1945 roku) na ziemie Niemiec: „**Bijcie się twardo, ale po rycersku**".

I na zakończenie...

Zakończmy nieco przewrotnie. Opowiadał mi pewien Francuz, że pojęcie „pijany jak Polak" wcale nie musi mieć znaczenia pejoratywnego. Francuzi wiążą je z pewnym wydarzeniem sprzed dwustu lat pokazującym sprawność żołnierską Polaków. Otóż w trakcie interwencji wojsk napoleońskich w Hiszpanii w pewnym klasztorze zatrzymały się na nocleg dwa oddziały: polski i francuski. Żołnierze znaleźli w piwnicach klasztornych wyśmienite wino, pragnienie dokuczało, a więc tego wina skonsumowano niemało. O czwartej nad ranem klasztor zaatakowany został przez wojsko hiszpańskie. Pijani Francuzi nie byli w stanie się bronić. Natomiast Polacy, pomimo znacznego amoku alkoholowego, podjęli skuteczną obronę ratując życie sobie i swoim francuskim kolegom. Tak więc określenie „**pijany jak Polak**" w tym kontekście jest wręcz elementem uznania. Jak widać: niekiedy pozory mogą mylić...

Wiktor Mazurowski, „ Atak gwardii przybocznej na francuskich kirasjerów pod Frydlandem w czerwcu 1807", przed 1939 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

Wydawnictwo Capital opublikowało książkę historyka dr. Petera Rainy pt. *Czy Gomułka był antysemitą. Kulisy „Marca 1968"* (Warszawa 2019, ss. 488), której krajowa promocja odbyła się w Domu Dziennikarza przy Foksal. Monografia stawia sobie za cel przedstawienie dokumentów, przywołanie faktów, aby zapoznać czytelnika z nieuzasadnionymi i wręcz fałszywymi zarzutami Żydów obywatelstwa polskiego wobec ówczesnych władz. Publikacja Petera Rainy pokazuje przyczyny, przebieg i późniejszy skutek Marca 1968.
Peter Raina – rocznik 1935, historyk pochodzenia indyjskiego, kształcił się w historii najnowszej na Uniwersytecie Oksfordzkim, doktoryzował się w 1966 roku na Uniwersytecie Warszawskim. Działacz opozycyjny w okresie PRL-u. W swoich badaniach naukowych porusza m.in. tematy z dziejów Kościoła w Polsce w XX stuleciu. Mieszka w Berlinie. W 1995 roku odznaczony Medalem „Polonia Mater Nostra Est".

Czy Gomułka był antysemitą?

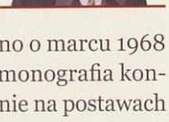

PETER RAINA

Dość dużo napisano o marcu 1968 roku. A obecna monografia koncentruje się jedynie na postawach Żydów mieszkających w Polsce w latach 1967-1968.

Do Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie, 4 czerwca 2007 roku, wpłynęło pismo w sprawie represjonowania w 1968 roku obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Żydzi zarzucili władzom komunistycznym „stosowanie przemocy oraz gróźb bezprawnych wobec grupy osób obywatelstwa polskiego pochodzenia żydowskiego z powodu ich przynależności narodowej, rasowej i wyznaniowej" w okresie od 1 marca 1968 do 1971 roku. Wobec powyższego obowiązkiem prokuratury było wszczęcie śledztwa, które trwało trzy lata, prowadzone przez prokuratora Marcina Gołębiewicza. W grudniu 2010 roku prokurator prowadzący podjął decyzję o umorzeniu śledztwa w tej sprawie (sygn. akt: S 29/2007/Zk, zob. *Czy Gomułka był antysemitą?*, s. 445-472).

Książka *Czy Gomułka był antysemitą?* stawia sobie za cel przedstawienie dokumentów, przywołanie faktów, aby zapoznać czytelnika z nieuzasadnionymi i wręcz fałszywymi zarzutami Żydów obywatelstwa polskiego wobec ówczesnych władz. Rozpocząć należy od bezpośredniej przyczyny oburzenia Żydów, które wywołane zostało przemówieniem I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki w marcu 1968 roku, kiedy wezwał do przestrzegania zasady lojalności wszystkich polskich obywateli wobec swojej ojczyzny. Tak sformułowane wezwanie Gomułki spowodowane było nieskrywaną postawą Żydów obywatelstwa polskiego wobec konfliktu na Bliskim Wschodzie w czerwcu 1967 roku.

Dokument Departamentu III MSW odnotował wówczas „sukcesy militarne armii izraelskiej [...] spotęgowały wśród Żydów polskich nastroje proizraelskie, syjonistyczne i szowinistyczne. Większość Żydów polskich zajęła stanowisko proizraelskie, wrogie wobec polskiej polityki partii i rządu. Oprócz licznych wypowiedzi wspierających Izrael, pojawiły się przypadki zgłaszania się Żydów polskich do Ambasady Izraela z propozycjami ochotniczego wstąpienia do armii izraelskiej, przekazywania posiadanych oszczędności dewizowych na potrzeby Izraela oraz liczne wyrazy solidarności" (tamże, s. 14-15).

Treść tego dokumentu trafiła do Władysława Gomułki i 19 marca 1968 roku wygłosił on na spotkaniu z aktywem partyjnym w Warszawie ostre przemówienie pod adresem Żydów obywatelstwa polskiego. „Niezależnie jednak od tego – powiedział – jakie uczucia nurtują obywateli naszego kraju pochodzenia żydowskiego, partia nasza przeciwstawia się z całą stanowczością wszelkim zjawiskom, które noszą cechy antysemityzmu. Syjonizm zwalczamy jako program polityczny, jako nacjonalizm żydowski, i to jest słuszne. Nie ma to nic wspólnego z antysemityzmem. Antysemityzm ma miejsce wówczas, jeśli ktoś występuje przeciwko Żydom, dlatego że są Żydami. Syjonizm i antysemityzm – to dwie strony tego samego nacjonalistycznego medalu. Jedynym miernikiem oceny obywatel naszego państwa jest jego postawa wobec syjonizmu i wobec żywotnych interesów naszego państwa i narodu. Każdy obywatel określa swoją narodowość wedle własnej świadomości. Korzysta przy tym z równych praw niezależnie od tego, czy się uważa za Polaka, Białorusina czy Żyda. Ale też jednakowo obowiązuje go zasada lojalności wobec kraju, wobec swojej ojczyzny – Polski Ludowej" (tamże, s. 15).

Władysław Gomułka słusznie odniósł się do podstawowego obowiązku obywatelskiego. Obywatel, bowiem to „członek społeczeństwa danego państwa mający określone uprawnienia i obowiązki zastrzeżone przez prawo i konstytucję" (*Słownik języka polskiego*, Warszawa 1982, t. 2, s. 435). Jak widać Żydzi nie uszanowali tego obowiązku wobec państwa, którego byli pełnoprawnymi obywatelami. W tym państwie pełnili odpowiedzialne funkcje i pracowali w różnych zawodach, często na odpowiedzialnych stanowiskach. Potwierdzają to dokumenty zaprezentowane na kartach książki *Czy Gomułka był antysemitą?* (zob. m.in. „Postawa pracowników naukowych ws. konfliktu na Bliskim Wschodzie", s. 131-132; „Wykaz osób, które w związku z konfliktem na Bliskim Wschodzie zajęły stanowisko proizraelskie", s. 149-182; „Postawa żydowskich dziennikarzy", s. 191-192; „Proizraelska postawa Żydów członków partii", s. 193-196; „Wykaz osób, które zajmują stanowiska, a zostały odwołane od prac środowiskowo-mobilizacyjnych", s. 220-221; „Wykaz osób zwolnionych z zajmowanych stanowisk, które zajęły wrogą postawę w okresie agresji Izraela", s. 222-226; „Wykaz oficerów Wojska Polskiego narodowości żydowskiej zwolnionych z zawodowej służby wojskowej w 1967 i 1968 roku", s. 262-270; „Notatka dot. dywersyjnej roli elementów syjonistycznych w Polsce", s. 285-300).

Przypomnienie przez Władysława Gomułkę o lojalności każdego obywatela wobec swojej ojczyzny – Polski, w tym obywatela pochodzenia żydowskiego, było ze wszech miar słuszne i bynajmniej nie było przejawem wrogości wobec Żydów. Kolejny argument, który z oczywistych powodów przeczy oskarżaniu Gomułki o antysemityzm to fakt, że był ożeniony z Żydówką, Zofią (właściwe nazwisko: Liwa Szoken), z którą miał syna Ryszarda Strzeleckiego. Nawet zarzut z powodu zacytowania wypowiedzi niemieckiego historyka Heinricha von Treischke (1834-1896): „Żydzi są naszym nieszczęściem", wydaje się bezzasadny.

Trzeba przyznać, iż I sekretarz KC PZPR i rząd PRL wyszli naprzeciw oczekiwaniom Żydów. Zostali oni potraktowani ze zrozumieniem, skoro uważali, że Izrael, a nie Polska, jest ich ojczyzną i publicznie okazali posłuszeństwo Izraelowi, to staje się w pełni uzasadnione, iż rząd PRL umożliwił im emigrację z Polski.

Kiedy 19 marca 1968 roku Władysław Gomułka mówił o zasadzie lojalności obywatela wobec żywotnych interesów państwa – o co tu chodziło? Jaka była przyczyna jego wypowiedzi?

Odpowiedzią są wydarzenia 6 czerwca 1967 roku – atak Izraela na Egipt. Gomułka został poufnie poinformowany przez wywiad polski o tym, że sztab armii izraelskiej miał dokładne informacje o stanie armii egipskiej, a informatorami byli oficerowie pochodzenia żydowskiego pracujący w armii Polski Ludowej. Wiadomo było, że armia egipska była uzbrojona przez Związek Sowiecki, a polski sztab miał o tym doskonałe rozeznanie. Więc Izraelczykom na tych informacjach bardzo zależało.

Oficerowie żydowscy w polskim sztabie od dawna mieli kontakty z oficerami sztabu Izraela, na przykład z płk. Sztraserem. W latach 50. kierował on Katedrą Taktyki Akademii Sztabu Generalnego w Polsce, wyemigrował do Izraela w roku 1956, gdzie zajmował wysokie stanowisko w armii izraelskiej. Utrzymywał ścisłe kontakty z oficerami żydowskimi w Polsce. Tak więc łatwo mu było wyciągnąć tajne informacje z Polski. Być może notatki o tym znajdowały się w aktach MSW i zostały zniszczone. Jest to bardzo możliwe, bo kiedy w rządzie Mazowieckiego ministrem spraw wewnętrznych stał się zastępca redaktora „Tygodnika Powszechnego, człowieka bliskiego ludziom, o których tutaj mowa. Dopuścił on do akt MSW grupę ludzi, dwóch na pewno pochodzenia żydowskiego, którzy sześć tygodni rozpracowali te akta. Akcja ta była nielegalna, kryminalna. Ale mieli oni wystarczająco dużo czasu, by zniszczyć niepożądane przez nich akta.

Co może historyk zrobić w tym przypadku? Wykorzysta on zasadę działania dowodu pośredniego – czyli dowód mający znaczenie dla wykrycia lub potwierdzenia winy oskarżonego. Niektórzy Żydzi, oficerowie już od 1948 roku działali w kamuflażu. Zmienili nazwiska na mocy dekretu, np. Hirszowicz zmienił na Lasota, Ziegelheim na Cegłowski, Weiner na Leszczyński, Gutbrod na Łaski, Goldstaub na Sawicki itd. (zob. tamże, s. 36-37). A mamy także wystarczające wypowiedzi oficerów żydowskich, potwierdzające że ich ojczyzną jest nie Polska, lecz Izrael, i nie czują się Polakami, i chcą emigrować do Izraela. Im było wolno tak mówić, i nawet podpisali takie deklaracje, a nikt ich nie zmuszał do tego. Ale zajmując wysokie stanowiska w wojsku zobowiązani byli do zachowania lojalność wobec państwa i do tajemnicy państwowej. Więc postępowanie oficerów żydowskich można określić, w języku prawnym, jako zdradę państwa, niezależnie od tego jaki system polityczny panuje w danym okresie. W każdym państwie taki podstępny zdrajca stoi przez sądem i podlega karze. W takich wypadkach, na przykład w Anglii winnych skazano na karę do 40 lat więzienia, a w USA na karę śmierci. W Polsce tych zdrajców skazano na karę dyscyplinarną: usunięcia z wojskowej służby zawodowej i mogli oni spokojnie wyemigrować do Izraela. Tak więc Gomułka był jak najbardziej humanitarny, a nie antysemitą.

Co działo się w wojsku zdarzyło się i w innych miejscach. Żydzi zajmowali wysokie stanowiska w instytucjach partyjnych, rządowych, medialnych, kultury i nauki. Postępowali w ten sam sposób. Wykonywali wskazówkę Centrali Syjonistycznej z 29 czerwca 1964 roku, że „obowiązkiem wszystkich Żydów jest prowadzenie działalności na rzecz Izraela, który jest ich jedyną i prawdziwą ojczyzną". W tym duchu publicznie występują w kraju i zagranicą, nie ukrywają swojej proizraelskiej postawy i chęci wyjazdu do Izraela. Piszą listy do władz polskich, w których stwierdzają: „Jako Żyd mam prawo do powrotu do swojej właściwej ziemi, służenie swojej właściwej ojczyźnie [i żyć chcę] wśród swojego narodu" (zob. tamże, s. 376-377). Odpowiedź Gomułki była prosta: „Proszę, drzwi są otwarte".

Żydzi zawsze uważali nie Polskę lecz Izrael za swoją autentyczną ojczyznę. W tożsamości polskiej czuli się nieswojo, a zarzut antysemityzmu był przydatny, by wyjechać z Polski.

Ale pieniądze nie znają obywatelstwa, ani narodowości. Groteskowy charakter żydowskiej natury ujawnił się na przełomie lat 1989/1990, kiedy odrodziła się demokratyczna Polska. Decyzja rządu Tadeusza Mazowieckiego o zezwolenie na zmianę na obywatelstwo polskie była nie tylko błędna, ale i fatalna w skutkach dla Polski. Wówczas ci sami Żydzi, którzy oświadczali, iż nie czuli żadnej więzi z Polską i deklarowali przynależność do Izraela, jako swojej ojczyzny, nagle wracają do Polski. Proszą o obywatelstwo polskie i je otrzymują! I znowu wykorzystują instrumentalnie antysemityzm, domagając się należnych im praw i przywilejów. Oczywiście narzędzie antysemityzmu wywoła zamierzony skutek.

Jako doskonały przykład niech posłuży postępowanie płk. Michała Sadykiewicza. W czasie przesłuchania w charakterze świadka w dniu 7 stycznia 2008 roku przyznał się, że w lipcu 1967 roku opowiedział się po stronie agresji izraelskiej. W dniu 17 lipca 1967 roku rozkazem ministra obrony narodowej został usunięty z zawodowej służby wojskowej w trybie dyscyplinarnym. W marcu 1968 roku złożył podanie o wyjazd do Izraela. Nie otrzymał pozwolenia, a przyczyną, jak podał, była motywacja „że znam tajemnice wojskowe i dlatego nie mogę wyjechać z Polski".

Kolejne podejście o pozwolenie na wyjazd wymagało zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. Napisał wówczas oświadczenie: „Zwracam się o zwolnienie z obywatelstwa tylko dlatego, że jest warunkiem otrzymania zgody na wyjazd z Polski na stałe". Władze paszportowe nie przyjęły tego oświadczenia. Musiał więc podpisać „dokument podróży" z następującą formułą: „Okaziciel niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej". Podpisał i zgodę na wyjazd do Izraela wraz z żoną i córką otrzymał w lipcu 1971 roku.

Gdy dowiedział się o stanowisku w sprawie obywatelstwa polskiego dla Żydów z roku 1989, Michał Sadykiewicz przyjechał w rok później po to, „aby wyjaśnić, co z [jego] należnościami emerytalnymi".

Rozkazem kolejnego ministra obrony narodowej dnia 23 sierpnia 1990 roku M. Sadykiewicz zostaje w pełni zrehabilitowany. MON wznowił wypłacanie mu emerytury wojskowej. Narzekał wówczas, że wypłacano mu „tylko 50 proc. należnej mi emerytury". W poczuciu krzywdy zaczął odwoływać się do różnych instancji pisząc, iż „za okres mego pobytu na emigracji (1971-1990), do której zostałem zmuszony, w powszechnie znanych dziś okolicznościach, zaprzestano w ogóle wypłacać nawet te 50 proc. należnej mi wtedy emerytury wojskowej, nie dając nic w zamian. [...] Suma niewypłaconej emerytury za lata 1971-1990 szacunkowo według dzisiejszych stawek, wynosi ponad 1,5 miliona złotych, a z odsetkami – ponad 2,5 miliona złotych".

Ten „zmuszony", biedny pułkownik wystawił zatem rachunek na dwa miliony złotych. Zwrócono mu rangę wojskową i emeryturę. Otrzymał także mieszkanie w Warszawie. Ale, ten biedny pułkownik, osiedla się na stały pobyt nie w Warszawie ale w Londynie, i pracuje chyba dla NATO. Sytuacja groteskowa. Cała korespondencja w tej sprawie znajduje się w prezentowanej monografii (zob. tamże, s. 384-440).

Tak więc w historii spotykamy ludzi, którzy nie znają ani honoru czy etyki, ani obywatelstwa, ani narodowości, kiedy „za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli" – mówi przysłowie.

Wydana obecnie monografia *Czy Gomułka był antysemitą? Kulisy „Marca 1968"* nie jest traktatem antyżydowskim.

Monografia zawiera dokumenty, które znajdują się w Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie oraz w Centralnym Archiwum Wojskowym. Dokumentacja jest ujawniona chyba po raz pierwszy. Służy ona jako dowód rzeczowy do wskazania prawdziwości działania poszczególnych Żydów w Polsce. Obala tzw. mit antysemityzmu narodu polskiego.

Monografia ta również nie może być określona jako antysemicka, ponieważ autor tej książki od dziecka pił mleko od świętej krowy.

Polskie media na Wyspach w czasach Brexitu

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

Po referendum w sprawie Brexitu użytkowy charakter polskich mediów w Wielkiej Brytanii jeszcze się pogłębił. Widać, że ogromną rolę w kształtowaniu zawartości pism odgrywa lęk środowisk polonijnych związany z przyszłością.

W powojennej historii polskiej prasy – radio, portale i TV internetowa pojawiły się dopiero po 2004 roku – wielkimi cezurami były daty: 1940, 2004 i, w pewnym sensie, 2016. Pierwsza data, to powołanie do życia „Dziennika Polskiego. The Polish Daily". Druga, to wstąpienie Polski do Unii Europejskiej, a trzecia, wiadomo, referendum ws. Brexitu. Oczywiście, największe zasługi w integracji środowiska polskiego, informowania, organizowania opinii rodaków na temat zdarzeń w kraju i Zjednoczonym Królestwie, organizowaniu akcji i kontrakcji, miał „Dziennik Polski". Który zresztą przez kilka dekad był organem polskiego rządu na uchodźstwie, i do dziś jest związany ze wspólnotą polskiej emigracji politycznej.

„Dziennik Polski" pojawił się w Londynie w 1940 roku, w cztery lata później został połączony z „Dziennikiem Żołnierza", organem I Korpusu Polskiego. Przez kilka dekad bezwzględny monopolista, czytywany przez starą emigrację, nowa jeszcze nie napłynęła, dawne sfery rządowe, generalicję, dyplomację, byłych żołnierzy. Wysoki prestiż, newsy komentowane na gorąco w kawiarni POSK, w „Orle Białym", a jeśli można było dostrzec jakieś podziały, to na „sikorszczyków" i „piłsudczyków". Choć wszyscy razem tworzyli zwarty antykomunistyczny front, z tą różnicą, że jedni chodzili do polskiej ambasady, a inni ją sabotowali. Troszczył się o dorobek emigracji, był forum wymiany myśli dla tego segmentu czytelniczego. A potem coraz mniej prenumeratorów, generacja żołnierzy odchodziła, coraz więcej kłopotów finansowych, niekompetentne prowadzenie, konkurencja. Dziś „Dziennik Polski" walczy o przetrwanie. Dostosowując się do sytuacji, przynosi wprawdzie wieści z Polski, ale wiele miejsca zajmują

FOT. © KASIA KRYŃSKA / TWITTER.COM

FOT. © MGDA GRZYMKOWSKA / TWITTER.COM

także newsy z angielskiego podwórka, informujące o polityce Downing Street i Westminsteru. A więc polityka, wiele historii, kultura, dużo ogłoszeń i reklamy.

Od początku lat 90. pojawiał się przez około pięć lat, finansowany przez polskiego businessmana, a przygotowywany przez zespół: Joanna Frazer, Elżbieta Królikowska-Avis, Irena Perkins, magazyn **„Nasze Porozumienie"**. Bezpłatny, kolportowany na terenie Wielkiej Brytanii, a potem także w Polsce. Profil – emanacja programu Porozumienie Centrum. Ognisko myśli konserwatywnej w polskich środowiskach, a tytuły artykułów mówiły same za siebie: „Nasi sąsiedzi – Rosja"

ministra ostatniego rządu na uchodźstwie Tadeusza Drzewieckiego, „27 Wołyńska Dywizja AK", „Mozaika polska 1994". Akcje informacyjne przed wyborami parlamentarnymi w 1993 i prezydenckimi 1995, bywaliśmy także mężami zaufania w punktach wyborczych Londynu. Po pięciu latach sponsor wycofał finansowe wsparcie i „Nasze Porozumienie" przestało się ukazywać.

Mijały lata. Wielka cezurą był rok 2004, data wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Wielka fala Polaków zalała Wyspy, głównie uciekinierzy z prowincji, gdzie trudno o pracę. Jeśli przedtem język polski słyszało się na ulicach miast raczej rzadko, teraz znacznie częściej – choć mówiąc delikatnie, nie była to polszczyzna kulturalna. Zapełniły się polskie ośrodki, kościoły katolickie zaczęły „pękać w szwach", i te polskie, i te dzielone z katolikami angielskimi. Obowiązującym mottem – przypominam, że była to wierząca polska prowincja – było motto „módl się i pracuj". A na rynku prasowym – studia radiowe i telewizyjne były zbyt drogie – jak grzyby po deszczu zaczęły ukazywać się pisma, głównie tygodniki, dwutygodniki i miesięczniki.

W 2006 roku pojawił się **„Nowy Czas"**, najpierw tygodnik, dziś miesięcznik. Wiadomości ze świata oraz wiele komentarzy, forum wymiany myśli dla czytelnika bardziej wyrobionego, który szukał czegoś więcej niż tylko porad językowych i informacji o imprezach środowiskowych. Sporo wydarzeń kulturalnych „z miasta", dyskusji, coraz mocniej eksponowane potrzeby kulturalne i społeczne Polaków.

W 2004 roku na rynku pojawił się, najpierw jako dwutygodnik, teraz jako weekly magazine, **„The Polish Express"**, poświęcony głównie poradnictwu i sytuacji Polaka na Wyspach. Zasięg – Wielka Brytania i Irlandia, aktualny nakład – 60 tys. egzemplarzy, dobry papier, niezła grafika, poręczny format. W Londynie bezpłatny, poza – 1 funt. Zespół „The Polish Express" zajmuje się także organizowaniem spotkań informacyjnych o różnorodnej tematyce, rynek pracy, wynajem mieszkań i domów, jak korzystać z pomocy socjalnej, dla dorosłych i dla dzieci, etc.

FOT. © POLISHEXPRESS.CO.UK

W tym samym 2004 roku narodził się także inny tygodnik, już wyspecjalizowany, **„Cooltura"**, sygnał rosnących aspiracji Polonii. Nakład 55 tys. egzemplarzy, także bezpłatny. Tytuł mówi wiele o zawartości pisma, a więc informacje o wydarzeniach kulturalnych, o filmach, wystawach, spektaklach teatralnych, koncertach muzyki młodzieżowej i klasycznej, w Londynie i w innych większych miastach. Często, choć nie zawsze, powiązanych z Polską, polskimi artystami, plastykami, reżyserami, kompozytorami czy wykonawcami. A więc informacje, reportaże, felietony, recenzje, ale też – a jakże! – porady praktyczne i ogłoszenia drobne. Niezły papier, druk, dobra szata graficzna.

Potem, w 2007 roku, doszlusowała **„Panorama"**, z podtytułem „Tygodnik Polaków w Wielkiej Brytanii". 40 tys. egzemplarzy, z dodatkiem dla dzieci, wydanie papierowe i on-line, w Londynie bezpłatny, poza – 1 funt. Jest, także bezpłatny, **„Goniec Polski"**, kolportowany głównie w Londynie. Reklamuje się jako „forum dyskusyjne, artykuły, newsy i informacje o Londynie i Polonii", a znaleźć go można m.in. pod dworcem Charing Cross, gdzie w specjalnych drewnianych pojemnikach widać różne gazety mniejszości etnicznych stolicy, głównie z „Nowej Europy". „Goniec Polski" ma także swoje wydanie internetowe.

Warto dodać, że Polacy rozsiani są po terenie całego Zjednoczonego Królestwa, nie brak ich nawet na Orkadach i Szetlandach. Tworzą tam społeczności niewielkie, o małym potencjale organizacyjnym i finansowym, ale i tam doliczyłam się trzech lokalnych periodyków, dwa w języku polskim, jeden w angielskim.

Ciąg dalszy na s. 52 →

Numer 1, Londyn, Piątek, 12 lipca 1940 r.

DZIENNIK POLSKI

THE POLISH DAILY

CENA PRICE 1 PENNY

23 BEAUMONT ST., LONDON, W.1.

O ŻOŁNIERZU TUŁACZU

Na Nowym Posterunku

Czyny Zadecydują o Zwycięstwie

Przemówienie Prezydenta R.P. do Kraju

Pierwszy Masowy Nalot Niemiecki Na Anglię

120 Aparatów Nieprzyjacielskich w Akcji

DZIENNIK POLSKI

OD REDAKCJI

Pierwszy numer „Dziennika Polskiego" ukazał się 12 lipca 1940 roku w niespełna trzy tygodnie po przybyciu do Londynu prezydenta, premiera i rządu – po pierwszym posiedzeniu Rady Ministrów. Pismo to było oficjalnym organem rządu polskiego. W okresie wojennym reprezentowało stanowisko rządu, drukowało oświadczenia i wystąpienia ministrów oraz komunikaty. Wiernie oddawało kolejne wydarzenia wojenne, stało się historyczną kroniką takich chociażby wydarzeń jak odkrycie grobów oficerów polskich pomordowanych w Katyniu w 1943 roku, śmierci gen. Sikorskiego czy konferencja w Teheranie, której postanowienia były wstępnym porozumieniem trzech mocarstw co do sprawy Polski, bez wiedzy Rządu RP w Londynie. „Dziennik" informował o sprawach w okupowanej Polsce, przynosił wiadomości ze świata. Publikował bieżące informacje ułatwiające codzienne życie osiedlającym się tutaj Polakom, którzy w większości nie znali jeszcze języka angielskiego.

AS

FOT. © TYDZIEN.CO.UK

→ Ciąg dalszy ze s. 51

To miesięcznik **„Emigrant”**, adresowany do wspólnoty, zamieszkującej północną Anglię i Szkocję. To **„Kurier”**, także miesięcznik, publikowany w hrabstwie Northampton oraz **„The Polish North Zone”**, anglojęzyczny miesięcznik, drukowany w uniwersyteckim mieście Hull. Wszystkie – jedynie w wersji on-line.

W sumie Polacy na Wyspach dysponują 19 różnymi tytułami, jeden dziennik, tygodniki, dwutygodniki i miesięczniki, dostępne w Londynie, Edynburgu, miastach Midlandów, we wszystkich większych skupiskach rodaków. Plus portale internetowe nie powiązane z prasą w liczbie 9 (m in. Londynek.net, MojaWyspa.co.uk, Polemi.co.uk) oraz 7 rozgłośni radiowych

(Polskie Radio Londyn, Radio HeyNow, Radio South, Radio Star), także rozsianych po całym Zjednoczonym Królestwie.

Charakterystycznym rysem nowych mediów, tych powstałych po 2004 roku, jest ich użytkowy, czysto pragmatyczny charakter. Ich sponsorzy i dziennikarze, najczęściej pół- lub zgoła amatorzy, dobrze wiedzą, czego szuka na ich łamach czy falach Polak-emigrant. To *„manual of survival”* – „podręcznik przetrwania”. A więc informacje z zakresu pośrednictwa pracy, poszukiwanie niedrogiego mieszkania, porady prawne w zakresie zasiłków – *social*, *housing* i *child benefits* – oraz ulgi podatkowe. Adresy ważnych dla nich instytucji jak polska ambasada czy konsulat w Londynie, Home Office, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, urząd miasta czy Job Centre, biuro pośrednictwa pracy. Zdarza się, że centra polonijne i parafie wydają swoje skromne gazetki, zawierające wieści z życia lokalnej wspólnoty czy parafii. A więc od 2004 roku najbardziej typowa cecha polskich mediów na Wyspach Brytyjskich to użyteczność i pragmatyzm.

Po roku 2016, a więc referendum ws. Brexitu, ten użytkowy charakter polskich mediów w Wielkiej Brytanii jeszcze się pogłębił. Widać, jak ogromną rolę w kształtowaniu zawartości pism odgrywa lęk środowisk polonijnych, związany z przyszłością. Pilnie śledzą każde głosowanie w Izbie Gmin, każdy zakręt negocjacji rządu Theresy May z Brukselą, każdą wiadomość z Home Office'u. Wprawdzie władze obu zainteresowanych krajów, zapewniają, że prawa Polaków będą zagwarantowane na dotychczasowym poziomie, panuje dezorientacja i zamieszanie. I tu, jako wieloletnia korespondentka w Londynie, chcę zwrócić uwagę na dwa ważne fakty, które z pewnością będą kształtować sytuację po rozwodzie Zjednoczonego Królestwa z UE.

Po pierwsze, w przypadku *hard* Brexitu, wyjścia bez umowy, kwota imigrantów, dziś 300-350 tys. rocznie, zostanie zmniejszona, a brytyjski budżet na cele socjalne okrojony. Wielka Brytania, to wciąż państwo opiekuńcze i wydatkuje wielkie kwoty na cele socjalne, zbyt duże, aby utrzymać dobre standardy podupadających dziś służb publicznych. I nie po to Brytyjczycy głosowali na Brexit, aby ten budżet na cele społeczne powiększać czy choćby utrzymać. Więc cięcia będą. Ale – i to jest dla Polaków informacja pozytywna – dziś partia torysów nie ma wiele wspólnego z konserwatystami spod znaku Margaret Thatcher. To *„modern compassionate conservatists”* Theresy May, którzy w swoim programie mają potężny segment socjalny. Tak więc ta redukcja wydatków na socjal nie będzie chyba zbyt duża. Z informacji, które już do nas dotarły, widać, że ci Polacy, którzy będą pracować legalnie i odprowadzać podatki, nie mają się czego obawiać. W przeciwieństwie do tych, pracujących „na czarno” i kryminalistów.

I wszystkie te wątpliwości znaleźć dziś można w polskich mediach, rozsianych po Brytyjskich Wyspach. Co się dzieje na Downing Street i w Westminsterze, co będzie z prawem do swobodnego przekraczania granicy, jakie warunki nabycia praw do pobytu stałego, dostęp do usług socjalnych etc. To są tematy, które dziś zaprzątają ich uwagę.

Szkoła w cieniu Tadź Mahal

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

MAŁGORZATA CHOMICZ

Obowiązkowym punktem mojej podróży w Indiach była tym razem Agra. Udałam się tam, jak każdy przybysz, ze względu na jeden z Siedmiu Cudów Świata i zarazem jeden z najbardziej znanych budynków na świecie jakim jest Tadź Mahal – mauzoleum ukochanej żony cesarza Mogołów Shah Jahan, muzułmańskiej księżniczki perskiej Mumtaz Mahal. Tadź Mahal – symbol wielkiej miłości i straty.

Widok odsłania się niespodziewanie w rozległych ogrodach Mogołów, wyrasta nagle na kwadratowej platformie. Na tle błękitu nieba, odbijająca światło słoneczne biel marmuru sprawia, że arcydzieło architektonicznej symetrii i harmonii wydaje się nierzeczywiste. Lśni w swoim splendorze. Choć widok Tadź Mahal znany jest i opatrzony z tysiąca fotografii, ten wyobrażony nie jest w stanie sprostać temu realnemu. W rzeczywistym zetknięciu wzbudza zdumienie pomieszane ze wzruszeniem i zachwytem nad czystym, idealnym pięknem, harmonijnym połączeniem stylów architektury perskiej, islamskiej i indyjskiej.

W tym podziwie nie przeszkadzają nawet tłumy turystów, które na tle monumentalnej budowli wyglądają jak kolorowe mrówki. Chciałoby się kontemplować to piękno o różnych porach dnia, wraz ze zmieniającym się światłem, a co za tym idzie i kolorem. Ten zmieniający się odcień kolorów według niektórych ma symbolizować różne nastroje kobiety.

Jednak baśniowa budowla jakże to inny widok od otaczającej rzeczywistości.

Przypadek sprawił, że nie tylko Tadź Mahal pozostał niezwykłym wspomnieniem po pobycie w mało ciekawym mieście jakim jest sama Agra. Po wizycie w Tadź Mahal jestem gościem w domu wyjątkowej, otwartej i serdecznej polsko-hinduskiej pary.

W zamkniętej strefie chronionej, która otacza Tadź Mahal, stworzonej ze względów bezpieczeństwa i w celu ochrony pomnika przed zanieczyszczeniem, mieszkają i pracują Zuzanna i Anil Gupta. Na terenie przy Tadź Mahal Anil Gupta wraz z bratem prowadzi sklepy, między innymi z wyrafinowanymi wyrobami z inkrustowanego marmuru, biżuterią oraz odzieżą. To stanowi źródło utrzymania zarówno ich rodzin, jak i zatrudnionych przez nich pracowników.

Anil i Zuzanna prowadzą również szkołę dla ubogich dzieci imienia dr. Subhash Gupta. Szkoła ta powstała w latach 60. ubiegłego stulecia. Jej założycielem był Subhash Gupta, ojciec Anila. Szkołę założył mając zaledwie siedemnaście lat. Początkowo prowadził darmowe korepetycje dla dzieci, które nie miały możliwości nauki. Powoli zrodził się u niego pomysł założenia szkoły. Zakupił grunt koło Tadź Mahal, gdzie obecnie znajduje się szkoła i z roku na rok ją rozbudowywał wraz z innymi budynkami wokół.

Anil, Hindus z polskim obywatelstwem, doskonale posługuje się językiem polskim. Po ukończeniu studiów z tytułem magistra chemii, filozofii i pedagogiki w Raja Balwant Singh College w Agrze, otrzymał polskie, rządowe stypendium naukowe na odbycie studiów doktoranckich w Polsce. Anil przyjechał do Polski w symbolicznym dla naszego kraju 1989 roku, by rozpocząć pracę naukową na Wydziale Chemii Politechniki Wrocławskiej. Z perspektywy obcokrajowca mógł obserwować czas transformacji społeczno-ustrojowych oraz przemian ekonomicznych jakie dokonywały się w Polsce przez 26 lat. Na moje pytanie, jakie to było doświadczenie dla niego, odpowiedział: „Trafiłem do Polski na czas upadku komuny. Według mnie Polska cztery razy przeszła transformacje. Kraj poszedł do przodu. Było w Polsce coraz to lepiej, ale ludzie zrobili się przez ten czas gorsi". Daje to dużo do myślenia...

Ciąg dalszy na s. 50 →

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

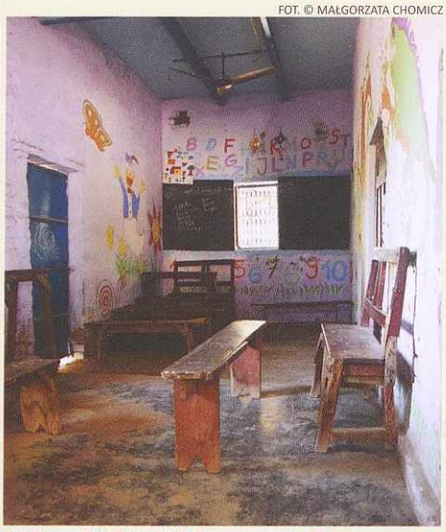

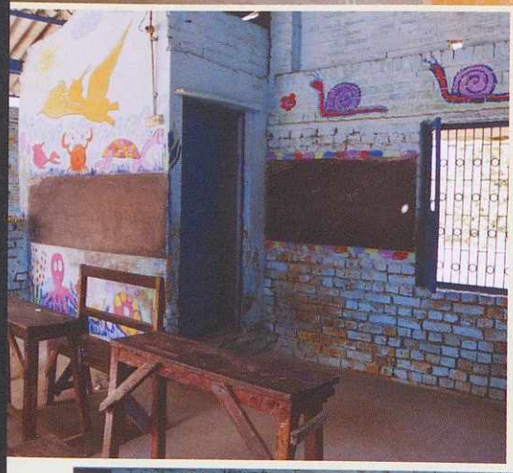

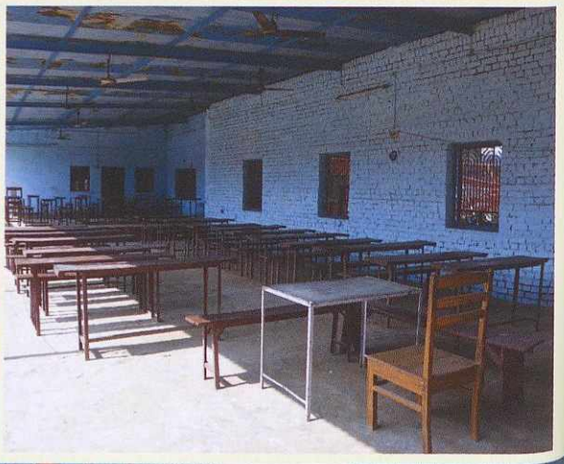

→ Ciąg dalszy ze s. 49

Przez krótki okres Anil Gupta uczył również polskich studentów języka hinduskiego. Na prowadzenie badań naukowych miał przyznany grant. Publikował w języku angielskim.

Po śmierci Subhash Gupta w 2017 roku, Anil postanowił kontynuować dzieło ojca. Nie wyobrażał sobie, że szkoła zostanie zamknięta i choć nie była to łatwa decyzja, powrócił do Indii w towarzystwie żony Polki i dzieci.

Szkoła jest całkowicie prywatną szkołą. Nie otrzymuje żadnych dotacji od państwa. Wszystko Anil musi utrzymać sam. Pobiera minimalne opłaty, od 40 do 100 dolarów rocznie, które muszą pokryć koszty jej utrzymania w postaci pensji dla dwudziestu nauczycieli oraz pracowników dodatkowych, koszty remontów i wszelkich innych opłat, które wiążą się z utrzymaniem szkoły. Na ile to możliwe opłaty są obniżane, bądź też Anil funduje stypendia, ale to wszystko kropla w morzu potrzeb. W obecnej chwili szkoła ma około 400 uczniów, czternaście klas, a edukacja w niej odbywa się od wieku przedszkolnego do matury. Jednak dzieci trafiają do szkoły w różnym wieku, w zależności od tego, kiedy rodzice mogą pozwolić sobie na to, by dziecko podjęło naukę. Program nauczania realizowany jest według państwowych zaleceń, ale to Anil decyduje jak to wymagane minimum rozszerzyć.

Anil i Zuzanna Gupta prowadzą szkołę dla ubogich dzieci imienia dr. Subhash Gupta, na zdjęciu z autorką artykułu FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

Od chwili powrotu Anila wraz z żoną, szkoła zmienia się siłą ich entuzjazmu i determinacji. Trudno było im pogodzić się z warunkami w jakich uczą się dzieci w ich szkole w konfrontacji z warunkami szkół w Europie. Zuzanna, filigranowa kobieta o silnym charakterze, na początku przemalowała z dzieciakami całą szkołę, by zamiast surowej bieli ścian dzieci zdobywały wiedzę w radosnym otoczeniu kolorowych kwiatów, motyli, ślimaków i literek. Gospodarze szkoły prowadzą inwestycje i modernizacje na miarę swoich możliwości. Przeprowadzili wiele remontów, między innymi doprowadzili prąd do wszystkich klas, który do tej pory był tylko w części szkoły. Stworzyli pracownię chemiczno-biologiczną, w której dzieci mogą teraz przeprowadzać doświadczenia.

Anil i Zuzanna tchnęli nowego ducha. Wprowadzili nowości w postaci sportu, konkursów, występów, czy choćby studniówki. Organizują uroczyste obchody różnych świąt, których jednocześnie są sponsorami. Na marginesie, rytm szkoły wyznaczają pory roku. Z racji upałów rok szkolny kończy się w marcu. Zdarza się, że z powodu monsunu zajęcia w szkołach są odwołane, a informację o tym fakcie Anil czerpie z porannej prasy.

Rodzice choć płacą za naukę symboliczne czesne, to i tak w ich domowym budżecie jest to duże obciążenie, które nie pozwala im na wyposażenie dzieci w podręczniki, książki, czy choćby zakup kredek, piórników. O telefonach komórkowych chyba nie trzeba pisać, bo dzieci te nie posiadają nawet zegarków. Dzieci, które mają mniej niż nic.

Szkoła nie przyjmuje wsparcia w postaci pieniędzy. Można pomóc dzieciom zakupując zarówno przybory szkolne jak i zabawki, czy też odzież, które bez problemu można zamówić na stronie AliExpres, przesyłając bezpośrednio do Indii z darmową przesyłką.

Po powrocie pozostała we mnie nuta żalu z powodu tak krótkiego spotkania z czystym pięknem ludzkiego gestu, która zapadła w sercu głębiej, niż tęsknota za doskonałością ludzkiej ręki mistrza Ustad Ahmad Lahori, uwieczniona w postaci Tadź Mahal. Wizyta o której na pozór łatwo zapomnieć, wracając do własnej codzienności i obowiązków, we mnie wybudziła pragnienie powrotu do Agry. Nie, by kolejny raz nacieszyć się widokiem wyjątkowej architektury mauzoleum Mumtaz Mahal, ale po to, by w jego cieniu móc dzielić okruszynę czasu z dziećmi ze szkoły im. dr. Subhash Gupta.

FOT. © ANIL GUPTA

Pomnik ku przestrodze

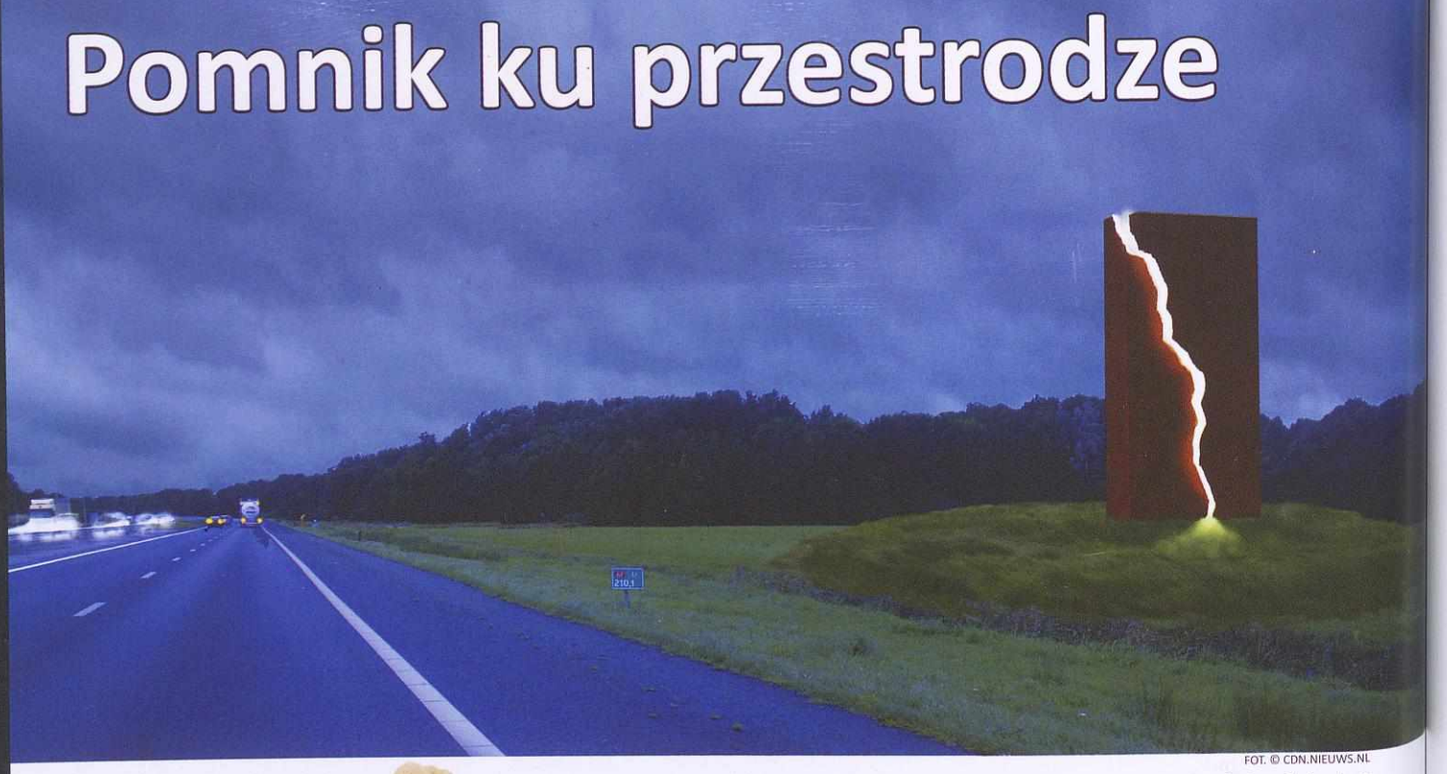

FOT. © CDN.NIEUWS.NL

JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS

Po wywiadzie zagadnęłam założyciela jednego z regionalnych stowarzyszeń, zamieszkałego o kilka kilometrów od Groningen, czy wstrząsy tektoniczne i jemu dały się we znaki. Odpowiedział tonem zniechęconym, depresyjnym, że dwukrotnie. Uszkodzenia w rodzinnym domu zajmowanym od trzech pokoleń zostały kosztem czterech tysięcy naprawione, dom sprzedany i – tuż po przeprowadzce do domu odpowiedniejszego dla osób starszych... trach, trach, trach, na trzech ścianach pokazały się rysy.

Wśród mieszkańców gmin, których wstrząsy dotknęły najwcześniej, narasta psychiczne zmęczenie; wyczerpuje się też cierpliwość lokalnych urzędników, konfrontowanych na co dzień z wielością technicznych, prawnych i ludzkich problemów. Opinia jednego z burmistrzów: „Nastroje radykalizują się; jesteśmy o krok od anarchizmu".

Pierwszy, trwający 50 sekund wstrząs tektoniczny na Północy Holandii odnotowano w 1986 roku. Nie stał się ostrzeżeniem dla Nederlandse Aardolie Maatschappij (NAM), przedsiębiorstwa należącego w połowie do Royal Dutch Shell, w połowie do amerykańskiego Exxon Mobil, które w 1963 roku rozpoczęło eksploatację największego w Europie, dziesiątego co do wielkości na świecie złoża gazu ziemnego.

Zagrożenie mieszkańców związane z sejsmicznością obszaru wydobycia zacznie być przez NAM oficjalnie brane pod uwagę prawie pięć dziesięcioleci później. Punkt zwrotny to 16 sierpnia 2012 roku, data najsilniejszego dotąd trzęsienia ziemi na Północy. W Huizinge, około 20. kilometrów od miasta, doszło do wstrząsu o nieprzewidywanej sile 3,6 w skali Richtera. Rok 2012 to również początek odchodzenia od niepohamowanej eksploatacji złoża i uznanie faktu, że nie ma pewnych analiz tego, co dzieje się pod powierzchnią ziemi (w Groningen blisko powierzchni), pod wpływem przemieszczania się warstw skalnych w pustych wnękach.

W 2018 roku dziennik „Trouw", jako pierwszy w Holandii, opublikował wyniki zleconych przez rząd niezależnych badań naukowych. Siła wstrząsów, których od 1986 roku było ponad tysiąc, nadal ma wzrastać; ryzyko niosą także małe złoża. Możliwość wystąpienia trzęsienia ziemi o wielkości 5 stopni w skali Richtera jest niewielka, ale o sile 4,1 – realna. Nie wyklucza się wypadków ze skutkiem śmiertelnym.

Obecne wstrząsy zagrażają głównie starszym budynkom z kamienia i cegły. W niebezpieczeństwie są więc zabytki; uszkodzeń doznało czterdzieści (70 proc. wszystkich) zabytkowych kościołów usytuowanych na obszarze wydobycia. Szkody powstają losowo... W Ten Boer na przykład, sytuacja oddalonych o pół kilometra dwóch domów z początku XX wieku jest nieporównywalna. Wskutek wstrząsu

z 2018 roku, w pierwszym, odrestaurowanym po wstrząsie z roku 2012, nie doszło do uszkodzeń. Co do drugiego, też poprzednio restaurowanego, po nowych zniszczeniach zapaść musi decyzja: dom zburzyć albo podłożyć pod niego 25-centymetrową warstwę betonu.

Wstrząs ze stycznia 2018 roku o sile 3,4 w skali Richtera, odczuwany w promieniu 10. kilometrów od epicentrum w Zeerijp, był najsilniejszy od 2012. Po upływie roku, główna gazeta prowincji „Dagblad van Het Noorden" rozpoczęła – zatytułowaną „Czekam!" – serię rozmów z mieszkańcami oczekującymi rozwiązania problemu doznanych szkód.

„Decydują o moim domu" – mówi w najnowszym odcinku 42-letni Marcel Smedes. W 2012 roku, po zniszczeniach spowodowanych wstrząsem w Huizinge, dowiedział się, że jego wolnostojący dom z roku 1917, który kupił cztery lata wcześniej, ma być zburzony. Jednak po pewnym czasie decyzja została cofnięta; rozpoczęły się naprawy, modernizowanie. Silny wstrząs w Zeerijp z 2018 roku spowodował odsunięcie domu od fundamentów. Pojawiły się pęknięcia, całość może runąć. Wzmocnienia ścian byłyby absurdalnie kosztowne, więc... „Znów burzyć! – irytuje się Marcel Smedes. – Mam teraz szukać architekta, który zaprojektowałby mi nowy dom. W tym, w którym wciąż mieszkam, choć powinno mnie tu już nie być i w którym ze sto razy dokonywano inspekcji, śpię pod strachem, niczego nie ulepszam i nie zmieniam".

W gminach szczególnie zagrożonych, stan świadomości mieszkańców polaryzuje się – z jednej strony psychiczne znużenie, z drugiej – chęć samodzielnego działania z pominięciem NAM i lokalnych urzędów. Dochodzi do samoorganizacji; formują się grupy broniące własnych interesów. Wspierają poszkodowanych głównie w zakresie postępowania prawnego i wykonawstwa napraw.

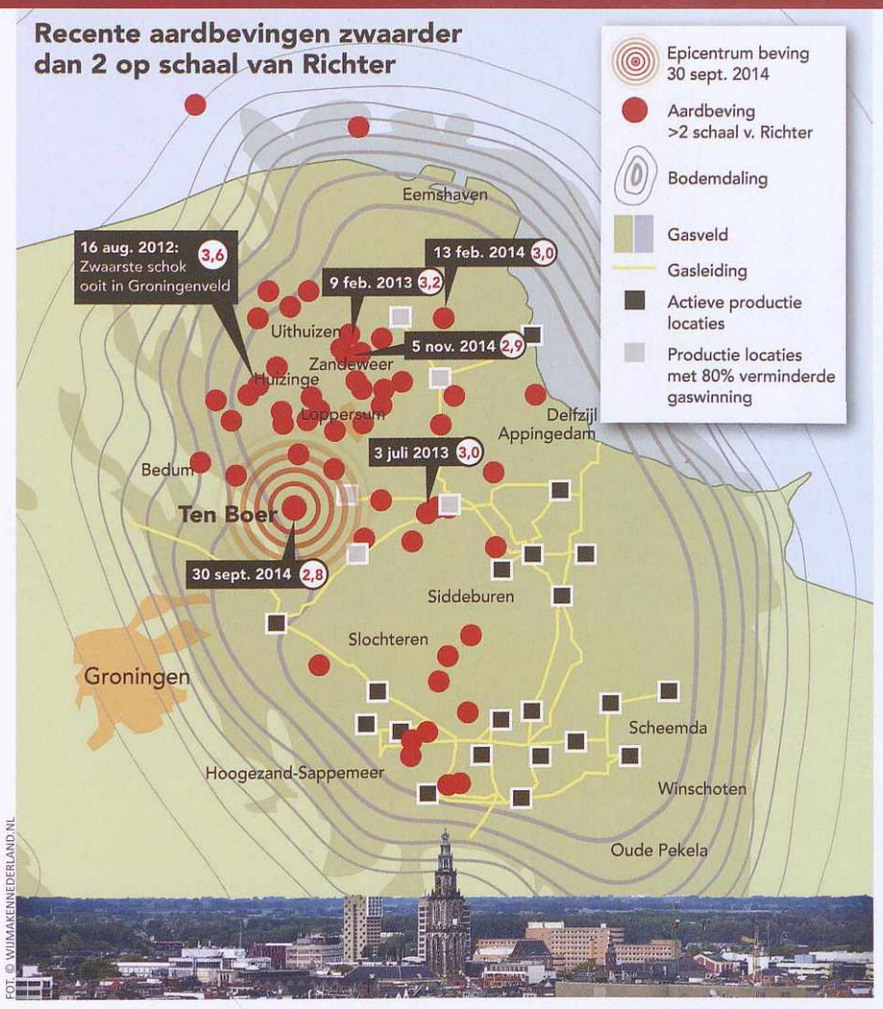

FOT. © WIJMAKENNEDERLAND.NL

Od kilku lat społeczne niezadowolenie poszerza się o kwestię utraty zdrowia psychicznego wskutek stałego przebywania na obszarze sejsmicznym (w skargach powtarzają się najczęściej apatia i napady lęku). Największe obciążenie dotyka 80 tys. osób; to ci, którzy ponieśli straty materialne. Problem ten pozostanie i po zakończeniu eksploatacji złoża, które według obecnych, uspokajających zapewnień, ma nastąpić do roku 2030.

Tutejszy poseł z ramienia Partii Socjalistycznej (SP), Eelco Eikenaar, który ma w swym portfelu kwestie jakości życia, więc i problem narastającego poczucia zagrożenia dla tysięcy rodzin, otworzył w lutym 2019 roku w galerii stowarzyszenia Pictura wystawę o tytule „Bevings" („Wstrząsy") i podtytule „Groningen jako obszar dotknięty trzęsieniami ziemi".

FOT. © MARTHE VAN DE GRIFT / KUNSTSPOT.NL

Wystawa objęła 120 prac osiemdziesięciu artystów i stała się rodzajem manifestacji. Posługując się intuicyjnym, wyostrzonym sposobem widzenia, artyści sugestywnie zobrazowali destruktywną siłę wstrząsów tektonicznych; akcentowali – każdy we własnym imieniu – głównie pozamaterialne szkody. Szkieletową, zwichrowaną instalację z lichych materiałów Ton de Vreede i Reinier van den Berg zatytułowali „*Home, Sweet Home*". Inicjatywą obu artystów była też instalacja na zewnątrz budynku pochodzącego z XIV wieku. Przymocowali do muru podpory z drewna, naśladując prawdziwe podpory wzmacniające.

W wyrafinowany sposób przemówił swym malarstwem wyczulony na problemy współczesności Theo van Egeraat. W 2014 roku, pod wrażeniem zreprodukowanego przez dziennik „NRC Handelsblad" zdjęcia zrujnowanego gospodarstwa, rozpoczął pracę nad obrazem o dużym formacie 160x180 cm. W 2018 roku, poruszony nonszalancją,

Ciąg dalszy na s. 54 →

FOT. © HANS KNIKMAN / THEGUARDIAN.COM

Leefomgeving lijdt door aanpak **bevingsgebied**

FOT. © FREDSCHOORL.NL

→ Ciąg dalszy ze s. 53

z jaką NAM traktuje ofiary kolejnych wstrząsów, zradykalizował swój obraz. Domalował na nim gazetowo uśmiechniętą twarz byłego ministra gospodarki oraz – na jednej ze spadających belek – figurkę ukrzyżowanego Chrystusa. Następnie pociął swój obraz wykonany na płycie z multipleksu na osiem ukośnych części, które spiął przewodem elektrycznym tak, że zaznaczyły się krzywizny. Komentując pocięty-spięty obraz w rozesłanym przez Internet komunikacie, napisał m.in: „Zachowujemy się tak, jakby Ziemia była naszą własnością. Działamy kierowani własną bezwzględną chciwością".

Żądanie radykalnego zmniejszenia wydobycia, wysuwane przez mieszkańców podczas pochodów i manifestacji, to punkt zapalny, mający wpływ na nastawienie wobec władz centralnych. Wrogie nastroje wzbudza fakt, że decyzje dotyczące poziomu wydobycia omijają prowincję i zapadają na szczeblu rządowym, „w Hadze", a dla „Hagi" zasadnicze są roczne miliardowe zyski; sytuację mieszkańców spycha na daleki plan.

Społeczne protesty znalazły obecnie sądowy wyraz. 1 marca br. odbyło się w Assen, gdzie mieści się dyrekcja NAM, pierwsze posiedzenie w mega-procesie przeciw temu przedsiębiorstwu. Skargi wniosło 5 025 osób, domagających się od NAM finansowej rekompensaty (aż do 30 tys. euro), za wyrządzone szkody niematerialne: utratę zdrowia psychicznego spowodowaną brakiem poczucia bezpieczeństwa, tam właśnie, gdzie powinno być stale obecne – we własnym domu. „Proces będzie trwał długo – ostrzega adwokat występujący w imieniu 5 tys. klientów. – Trzeba wybrać dwadzieścia najbardziej reprezentatywnych skarg, usystematyzować zawarte w nich wystąpienia i określić wysokość odszkodowań. A o tym może zadecydować jedynie sąd".

Kilka dni później miała miejsce demonstracja tych, którzy zbiorowo wnieśli skargi (pozew ma 20 tys. stron). Hasło na niesionym przez centrum Assen transparencie „GENOEG = GENOEG" („Dosyć już!") brzmiało jak ostrzeżenie tracących cierpliwość.

Latest Groningen earthquake triggers nearly 3000 insurance claims

Society January 15, 2018

A condemned and shored-up cafe in Zeerijp. Photo: Graham Dockery

Nearly 3,000 insurance claims have been lodged for damage to property in the week since last Monday's earthquake in Groningen.

The quake, measuring 3.4 on the Richter scale, was the largest in five years to hit the northern province, where decades of gas extraction have triggered an increase in seismic activity.

FOT. © DEV.DUTCHNEWS.NL

FOT. © THEO VAN EGERAAT

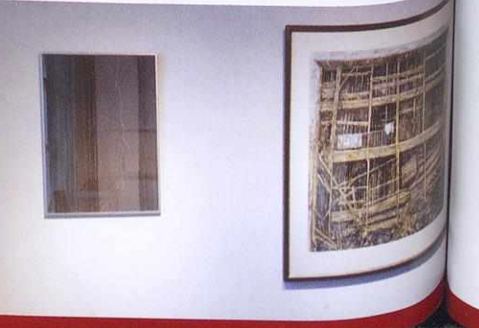

FOT. © ATELIER HORNEMAN, GRONINGEN

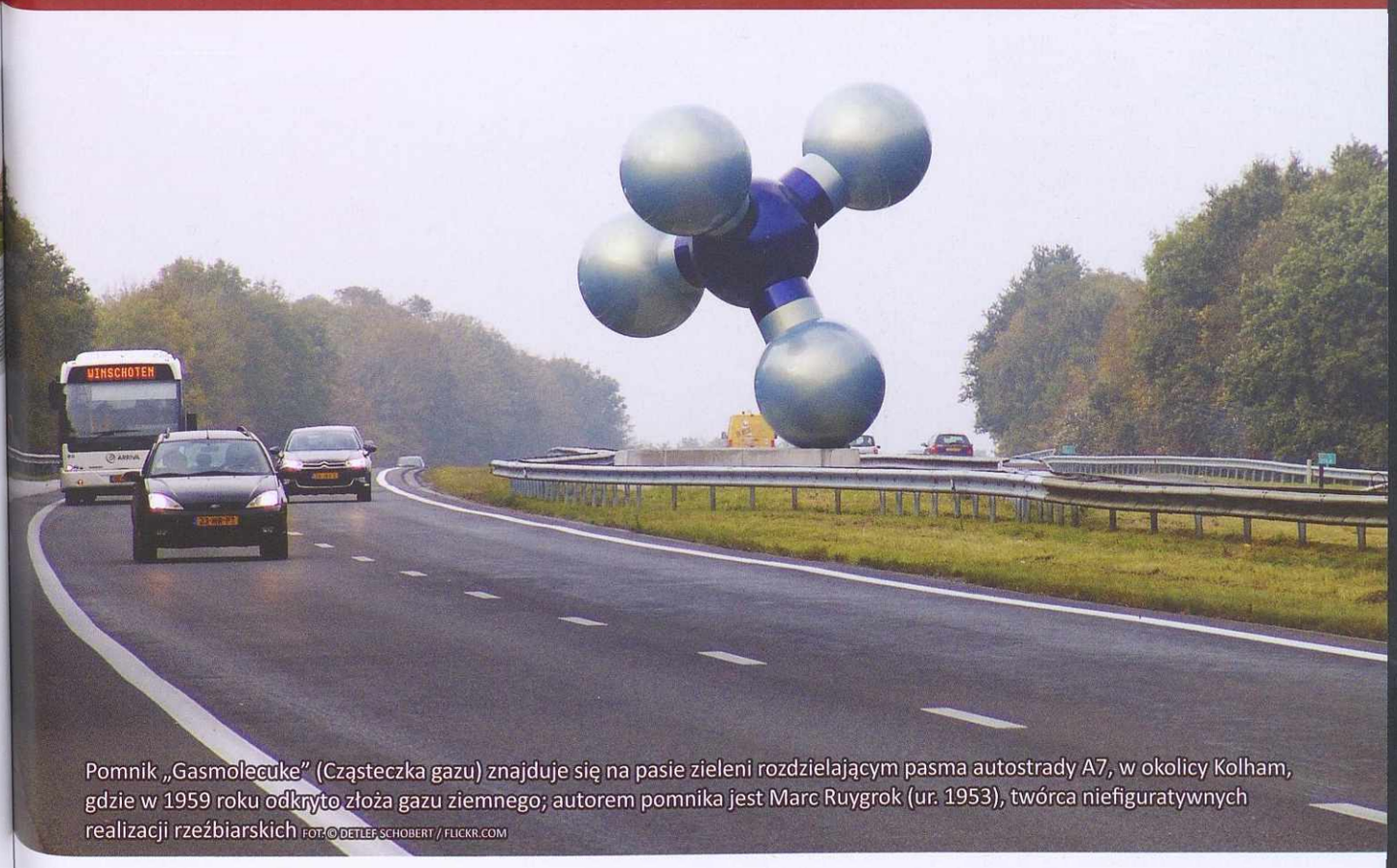

Pomnik „Gasmolecuke" (Cząsteczka gazu) znajduje się na pasie zieleni rozdzielającym pasma autostrady A7, w okolicy Kolham, gdzie w 1959 roku odkryto złoża gazu ziemnego; autorem pomnika jest Marc Ruygrok (ur. 1953), twórca niefiguratywnych realizacji rzeźbiarskich FOT. © DETLEF SCHOBERT / FLICKR.COM

W2015 roku w miejscowości Slochteren odbyła się konferencja prasowa, podczas której przedstawiciele stowarzyszenia Meent van der Sluis podali do wiadomości, że blisko wsi Kolham, gdzie w 1959 roku na prywatnych gruntach doszło do przypadkowego odkrycia wielkiego złoża gazu ziemnego, wzniesiony zostanie z funduszy publicznych „inny pomnik" i że zajmie on miejsce „prawie obok" pomnika już istniejącego, znanego jako Gasmolecule.

Ten ośmiometrowej wysokości pomnik stanowiący kolosalne wyobrażenie cząsteczki gazowej, którego autorem jest Marc Ruygrok, został wzniesiony w 2009 roku dla upamiętnienia pięćdziesięciolecia odkrycia w Kolham i odsłonięty przez królową Beatrix. Jego koszta wynoszące 300 tys. euro pokryły trzy przedsiębiorstwa: NAM, Gasunie i GasTerra. Pomnik molekuły gazu, którego autorem jest autor niefiguratywnych realizacji rzeźbiarskich Marc Ruygrok, znajduje się na pasie zieleni rozdzielającym pasma autostrady A7, najdłuższej holenderskiej autostrady dochodzącej do granicy z Niemcami. „Inny pomnik" zajmie ziemne wzniesienie poboczu tej autostrady.

Jeśli pomnik molekuły gazowej pomyślany był jako pomnik „Ku chwale", „inny pomnik" ma przemawiać „Ku przestrodze"; uświadamiać, że eksploatowanie złoża gazu pociąga materialne i niematerialne straty o nieodwracalnym charakterze.

Pomnik „Ku przestrodze" ma też być wyrazem hołdu, dla tego, który przed tym na próżno ostrzegał... dr Meent Wilhelm van der Sluis (1944-2000), geograf, zasiadający dwanaście lat w samorządowych władzach prowincji Drente z ramienia Partii Pracy (PvdA) był pierwszym, który w 2. połowie lat 80., na podstawie własnej teorii, publicznie wyrażał przekonanie, że konsekwencją wydobycia gazu staną się wstrząsy tektoniczne. Ani NAM, ani ministerstwo gospodarki nie przyjmowały jego ostrzeżeń do wiadomości, więcej nawet – jego starania były lekceważone i ośmieszane jako rozpowszechnianie nonsensu. Meent van der Sluis zmarł na atak serca w wieku 56 lat. Pośmiertne uznanie jego teorii przez obie odrzucające je w przeszłości instytucje nastąpiło w 2013 i 2015.

Nowy pomnik będzie miał tę sama wysokość co Gasmolecule – osiem metrów; jego koszta, obliczone początkowo również na 300 tys. euro będą niższe – 230 tysięcy. Warto dodać, że przedsiębiorstwo NAM jest jednym z fundatorów.

Zgodnie z postulatami stowarzyszenia pomnik ten, który jest rodzajem odpowiedzi na arogancję Gasmolecule, ma odznaczać się silną ekspresją. Na projektanta został wyznaczony Karel Buskes (1962), artysta z Groningen znany raczej jako malarz. Przedstawiony przez niego projekt przemawia z dużą siłą – użył symboliki bardzo klarownej: wyobrażenia cegły. Ośmiometrowej wysokości pionowo ustawiona „cegła" jest w rozpołowiona nierównomierną szczeliną. Wraz z nastaniem ciemności w wewnątrz tej szczeliny rozpali się światło. Wykonany ze stali obiekt mieć będzie brunatny kolor typowej dla Groningen gliny, a fakt umiejscowienia pomnika na ziemnym poboczu ma nasuwać skojarzenia z obiektem mieszkalnym. W kwietniu rozpoczęło się przygotowanie gruntu pod fundamenty.

Wśród członków siedemnastosobowego komitetu honorowego budowy pomnika są politycy, naukowcy, pisarze, artyści, jest aż trzech redaktorów naczelnych - rozgłośni RTV Noord, rozgłośni RTV Drente i dziennika „Dagblad van Het Noorden". Szczególne znaczenie ma w tym komitecie obecność Trijni van der Sluis, której mąż samotnie usiłował dojść do głosu mając przeciw sobie autorytety i instytucje. Wewnętrzne rozświetlenie olbrzymiej cegły nawiązuje do ostrzeżeń, opartych na jego dociekaniach.

Nie jest jeszcze znana data odsłonięcia pomnika „Ku przestrodze", zapowiadana pierwotnie na maj. Niewykluczone, że będą mu towarzyszyły spontaniczne, może i anarchistyczne manifestacje. Tak właśnie miała miejsce w 2018 roku. Nocą 27 sierpnia pomnik Gasmolecule splamiony został wielkimi chluśnięciami czerwonej farby przez GroenFront – grupę radykalnych aktywistów ekologicznych, działających od 1996 roku w Holandii i Belgii (Flandrii), wywodzącej się z założonej w 1980 roku w USA organizacji „Earth First". Wykonawcy ataku na Gasmolecule pozostawili komentarz: „Nie ma czego świętować w imieniu Shell i NAM – zostały tylko popękane mury i nadszarpnięte zaufanie". Do południa następnego dnia pomnik cząsteczki gazowej był już oczyszczony.

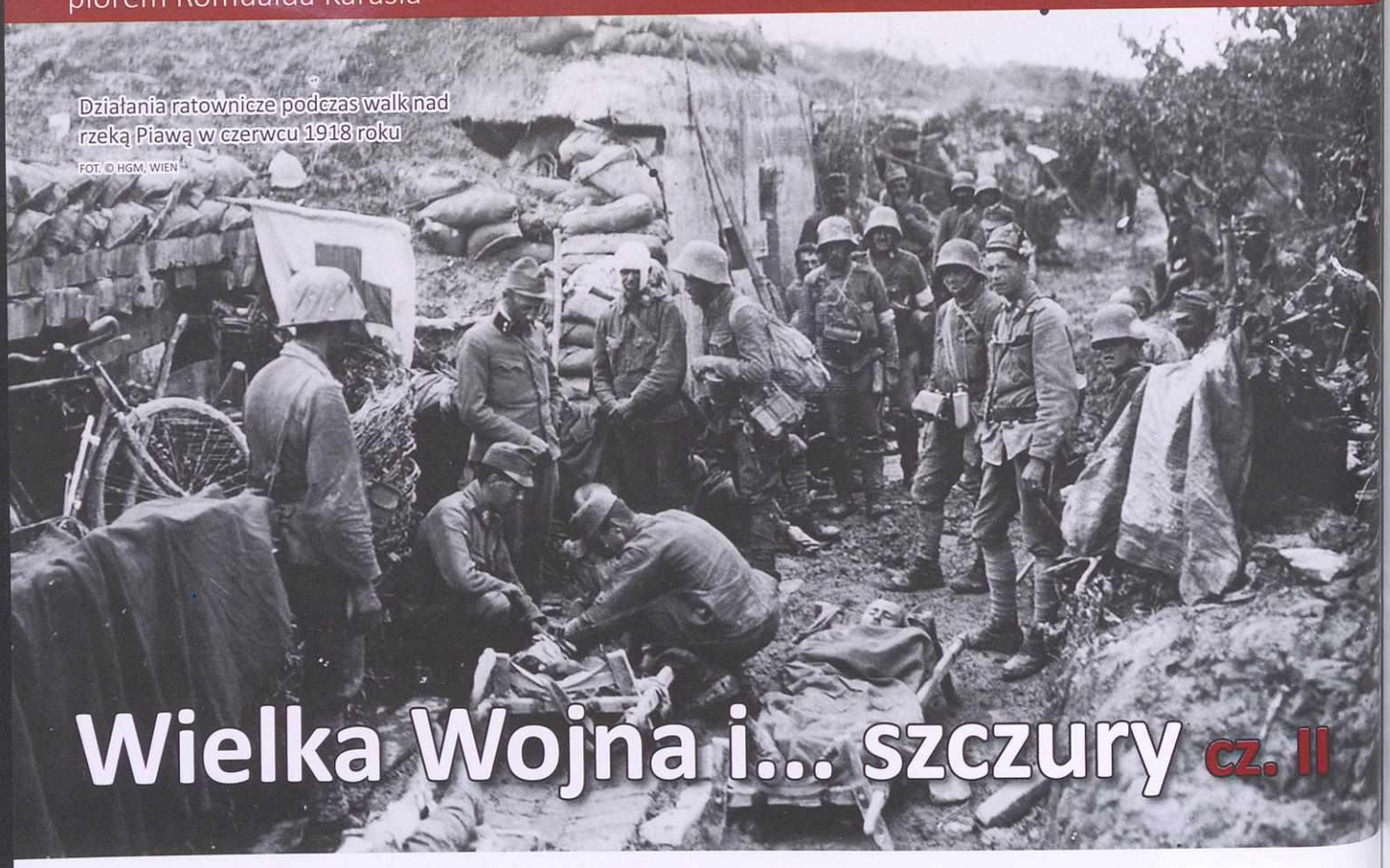

Działania ratownicze podczas walk nad rzeką Piawą w czerwcu 1918 roku

FOT. © HGM, WIEN

Wielka Wojna i... szczury cz. II

ROMUALD KARAŚ

Wybuch Wielkiej Wojny pobudził rozród szczurów. To był fakt. Rachuby na szybkie odnoszenie zwycięstw, prowadzących do rychłego zakończenia wojny, okazały się zawodne. Zmagania armii doprowadziły do powstania licznych frontów. Okopywano się dziesiątkami kilometrów. Na to tylko czekały szczury. Nic im tak nie odpowiada, jak wykopy. Mają ułatwione warunki do drążenia nor i korytarzy. Wojna pozycyjna stworzyła szczurzy raj. Szczury panowały na wszystkich frontach...

Ocalenie Wenecji

Wenecja leżała o jakieś osiemdziesiąt kilometrów od miejsca ich zakwaterowania. Miastem najbliżej położonym było San Stino di Livenza, odległe o kilkanaście kilometrów. Tam znajdował się szpital garnizonowy. San Stino wielkością przypominało Sucharskiemu trochę Tarnów. Przetransportował doń taborami ze swoją sekcją grupę chorych i rannych żołnierzy.

Wenecja, stolica rejonu była już bombardowana przez austriackie samoloty. Na szczęście bez szkody dla wspaniałych zabytków. Jak to się stało? Czemu to przypisać? Okaże się, że to dwa bratanki, słynny lotnik Węgier Hodas (strącił 26 samolotów) i towarzyszący mu w wyprawie Jerzy Alfred Tomasz Kossowski (ur. 18 VII 1889 we Lwowie, zm. 16 VI 1969 w Rio de Janeiro), prawnik i historyk sztuki z wykształcenia, a po pierwszej wojnie wzięty pisarz, biograf frontu włoskiego, autor wznawianej książki *Zielona kadra* (1927, ostatnie wyd. 1963) sprawili, że bomby padły w morze, daleko poza wyznaczonym celem, a nie w zabytkowe budowle obok Placu św. Marka.

Idea zagłady

Konwojent doprowadził frajtra Sucharskiego do wyznaczonego celu. Stali przed zamaskowanym bunkrem na linii okopów. Miał kształt niskiej kopuły. Na konstrukcji z bali opierał się dach z ziemi. Jej warstwa wynosiła co najmniej parę metrów grubości. Bunkier zbudowano z myślą, aby dawał schronienie podczas bombardowania.

Weszli do dużego pomieszczenia. Zalało ich jasne światło dwu lamp gazowych. Za stołem zbitym z desek, pochylony nad jakąś mapą, siedział wysokiego wzrostu kapitan. Na jego piersiach widniał Krzyż Żelazny. Konwojent zameldował się. Kapitan dał mu znak, żeby wyszedł. Coś zapiszczało w rogu wewnątrz ścian bunkra. Czyżby szczury i tutaj zagościły? Przy ścianach pomieszczenia piętrzyły się poustawiane różnego rodzaju pułapki na szczury. Wszystkie były puste. Najwidoczniej zmagazynowano je tu przed akcją zagazowania rejonu, który dzielił formacje austriackich oddziałów od niemieckich zgrupowań wojska. Kapitan polecił frajtrowi Sucharskiemu, aby zdjął maskę gazową i usiadł na ławie przed stołem. Popatrzył mu w twarz. Otaksował. Wyraził zadowolenie, że jako sekcyjny zwrócił się o pomoc w deratyzacji miejsc stacjonowania jego oddziału. To wyjątkowy taki przypadek. Zapanowało przekonanie, że ze szczurami nie da się walczyć. To hańba taka kapitulacja. Czyżby inteligencja człowieka była niższa niż szczura? Na nic by się zdały miliony lat ewolucji rodu ludzkiego? Znów coś zapiszczało w drugim miejscu bunkra. Frajter Sucharski obrócił głowę w tamtą stronę. Ruch ten nie uszedł uwagi kapitana. Skinął, aby frajter wstał z ławy. To samo i on uczynił. Podeszli do ściany zastawionej pułapkami. Zadziwiały pomysłowością rozwiązań konstrukcyjnych. Mówiły o wyższości inteligencji człowieka nad szczurem. Ale znów odezwały się piski. Sucharski spytał, jakie zwierzęta pan kapitan hoduje w bunkrze? Uśmiech „szczurologa", takim mianem określił go wtedy Sucharski, jak później wspominał, zagościł na jego twarzy. Podeszli do jednej z klatek. Uwijały się tam dwa dziwne zwierzątka. Henrykowi wydały się skądś znane. Zaczął sobie coś kojarzyć. Widniały na rysunku. Przed oczyma stanęło mu wydawnictwo Samuela Orgelbranda Encyklopedyja z ilustracjami i mapami. To było na plebanii w Otfinowie. Ksiądz Podolski go instruował, jak szukać poszczególnych haseł. Natknął się wówczas na rysunek przedstawiający zwierzątko przypominające łasicę. Podpis informował, że to ichneumon, z rodzaju ssących drapieżników. Miał i polską nazwę: szczurnik.

Kapitan podszedł do klatki i wyciągnął ichneumona. Spytał frajtra, czy słyszał o takim zwierzątku. Potwierdził. Podał mu też drugą nazwę: szczur faraona. I powiedział,

że Egipcjanie bardzo cenili ichneumony, nie tylko dlatego, że tępiły szczury, ale i zjadały jaja krokodyli.

Spytał, czy Sucharski studiuje któryś z kierunków przyrodniczych. Henryk odpowiedział, że dopiero zdał maturę wojenną, niemniej w przyszłości chciałby zająć się naukowo pszczelarstwem. Powiedział to jakby podświadomie. Może dlatego, że pewnym zjawiskiem z życia pszczół interesował się Benedykt Dybowski, zwany Białym Bogiem. Postać, która tak go zafrapowała. Oficer zagadnął, czy jest jakieś zagadnienie z życia pszczół, które chciałby w przyszłości zgłębić. Rzekł, myśląc o słynnym pszczelarzu księdzu Dzierżonie: partenogeneza. Kapitan uścisnął mu dłoń. Skąd nagle przyszło mu do głowy, aby konfabulować? Nie leżało to w jego prostej naturze. Sprawiły to okoliczności spotkania. W oczach „szczurologa" Niemca chciał się uwiarygodnić. Prowadził pierwszy raz w życiu tego typu grę.

Kapitan głaskał ichneumona. Podkreślał, że z łatwością dał się oswoić. Poluje nocą, jest łowny. Tu, w okolicy San Stino di Livenza, upolował wiele szczurów. Podobnie, jak i inne okazy, trzymane tutaj w klatkach.

Deratyzator prezentował Henrykowi kolejne typy pułapek na szczury. Kolekcja była imponująca. Przeważały konstrukcje niemieckie. Ale kapitan wskazywał też na pułapki holenderskie i szwajcarskie. Sucharski zorientował się, że ma do czynienia ze specjalistą wielkiej klasy w dziedzinie deratyzacji. Zerknął ukradkiem na twarz Niemca. Była to twarz szczurza. Może tym podobieństwem należało tłumaczyć jego biologiczną nienawiść do szczurów.

Oficer zagadnął Sucharskiego, skąd pochodzi. Usłyszał, że ze wsi Gręboszów koło miasta Tarnowa. Niczego mu to nie mówiło. Zwrócił się o wymienienie bardziej znanej miejscowości. Przemyśl od razu skojarzył z twierdzą i walkami o jej zdobycie. Nazwę Gorlice połączył z bitwą w dniach od 2 do 4 maja 1915 roku, natarciem X armii niemieckiej oraz IV armii austro-węgierskiej i przełamaniem pod dowództwem niemieckiego generała Augusta von Mackensena frontu rosyjskiego, co zapoczątkowało wielką letnią ofensywę państw centralnych na froncie wschodnim. Kapitan uważał bitwę gorlicką za wyraz siły i triumfu narodu niemieckiego.

Szczurnik (łac. *Ichneumon*)

FOT. © WIKIMEDIA.ORG

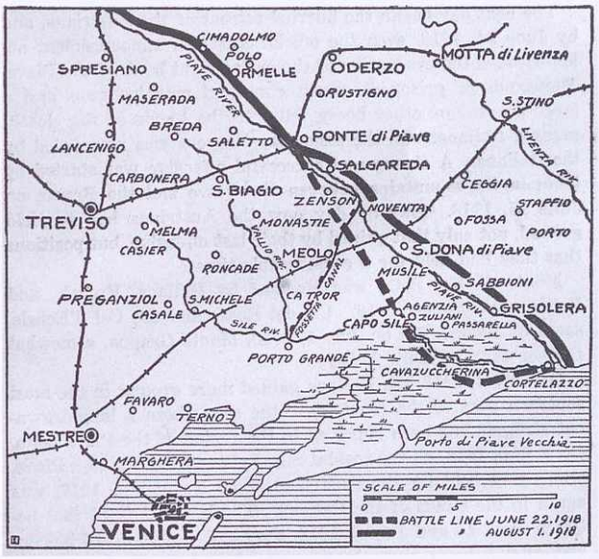

Frajter Sucharski zorientował się, że ma do czynienia nie tylko z dobrze wyszkolonym i świetnie zorientowanym w teatrze wojny oficerem. Biła z niego także buta niemiecka.

Od zagadnień militarno-strategicznych przeszedł kapitan do spraw swojej specjalizacji, którą była wojna ze szczurami. Nieoczekiwanie spytał Sucharskiego, czy zna opowieść o szczurołapie z Hameln w Saksonii. Frajter przytaknął i powiedział, że znał ją z bajki braci Grimm i wiersza Goethego. Na to szczurolog: czy wie, jaka jest różnica między szczurołapem i deratyzatorem. Gręboszowianin zawahał się, czy odpowiedzieć lub też czekać na wyjaśnienie kapitana. Po chwili jednak dowodził, że szczurołap wabi gryzonie, by wyprowadzić je z budynku, czy miejsc zasiedlenia. Deratyzator natomiast truje szczury, niszczy je różnymi sposobami.

Kapitan poczuł się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Poklepał po ramieniu Sucharskiego, a uśmiech pojawił się na jego chytrej twarzy. Tak to odebrał Sucharski.

Szczurniki w klatkach piszczały. Kapitan wyjaśnił, że chciałyby polować na szczury, ale teren jest skażony, więc trzeba trzymać je w zamknięciu. Niebawem ktoś zapukał do drzwi i usłyszeli przyjazne szczekanie. Jak się okazało psa-szczurołapa w masce przyprowadził opiekun w randze gefrajtra.

Rozmowa przybrała cieplejszy charakter. Kapitan ciekaw był spraw rodzinnych gościa. Sucharski niczego nie krył, mówiąc o ojcu i jego szewskim zawodzie. Zaznaczył, że nie tylko odbył zasadniczą służbę wojskową, ale też został zmobilizowany w toczącej się wojnie. To wyzwoliło w indagującym wyraz szacunku i uznania. Gręboszowianin nie miał już wątpliwości, że ma do czynienia z militarystą.

Kapitan znów ujawnił zainteresowania profesjonalne. Pytał Sucharskiego, czy w jego rodzinnej wsi pojawiła się plaga szczurów i jak z nią walczono? Henryk bił się z myślami, czy opowiedzieć mu o sposobie ich zwalczania przez Cyganów, których tabor zawędrował do Gręboszowa. Czy podawać mu szczegóły o sposobie wytrucia gryzoni przynętami w postaci nasion lulka czarnego? A może to dlań żadna tajemnica? Zdał sobie sprawę, że kapitan pogardza Romami. Nie wiadomo jak odbierze jego opowieść. Nie znając niemieckiej nazwy lulka, pyta czy oficerowi mówi coś nazwa *Hyoscyamus niger*. Dostrzegł błysk zainteresowania w oczach swojego rozmówcy. Zrelacjonował mu całą historię o wytruciu szczurów w Gręboszowie. „Szczurolog" potwierdził zabójcze działanie rośliny. Przyniósł ze swoich zbiorów zasuszony eksponat. Frajtrowi roślina skojarzyła się z mumią. Truciciel zaczął szeroko opowiadać o właściwościach lulka: trująca jest każda jego część. Najsilniejsze działanie mają nasiona zebrane w torebkach. Jedna roślina może mieć nawet 10 tys. nasionek. Podkreślił, że od czasów starożytnych lulek jest znany ze swoich właściwości trujących.

Sucharski zastanawiał się, jakie pytanie zadać kapitanowi, aby odsłonił swoje tajemnice. Musiało wiązać się z zagadnieniem walki ze szczurami w wielkiej skali. Czy by się dało wytępić w świecie ten gatunek zwierząt? I to jakimś nowym, nieznanym ludziom sposobem. Kapitan wahał się przez moment. Czy miał zwierzać się jakiemuś tam frajtrowi, którego ledwie poznał? W dodatku ten żołnierz był Polakiem, a Niemcy z Polakami wciąż nie potrafili dać sobie rady w prowincji poznańskiej i na Śląsku.

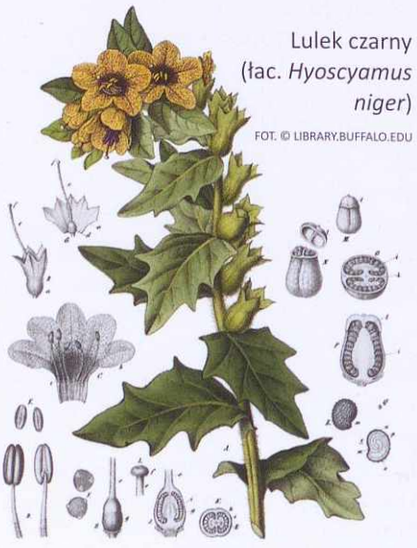

Lulek czarny (łac. *Hyoscyamus niger*)

FOT. © LIBRARY.BUFFALO.EDU

Ciąg dalszy na s. 58 →

Strzelcy włoskiej piechoty podczas działań nad rzeką Piawą, 1918

FOT. © ARCHIVIO STORICO DAL MOLIN

Francuska klatka chroniąca oficera przed szczurami podczas snu

FOT. © HGM, WIEN

→ Ciąg dalszy ze s. 57

Henryk postawił drugie pytanie. Czy badacz życia szczurów przeniknął jakąś wielką tajemnicę ich życia? „Tak" – potwierdził kapitan. Podeszli do jednej z półek przy ścianie bunkra. Kapitan wyjął grubą tekę z fotografiami. Ukazywały sceny z życia szczurów. Powtarzał się element z ich walk o przywództwo w stadzie. Ktoś stale do tego pretendował stawiając czoła aktualnemu władcy. Królowi stada. On przede wszystkim miał prawo pokrywania samic. Kapitan demonstrował te akty ujęte przez fotografa jakimś fortelem. Podkreślał, że samce nie mogąc zaspokoić instynktu seksualnego z samicami, uprawiają pederastię. Szczury, walcząc stale ze sobą o przywództwo w stadzie, ranią się. Kapitan wyjął z kieszeni lupę i pokazywał na fotografiach widoczne ślady na ich skórze. Wiedza o tym, to wielka sprawa. Wiemy też, ze szczury z uwagi na swój tryb życia przeciskają się przez różne szczeliny. Kaleczą się przy tych czynnościach. Dodatkowy to argument przy ich zwalczaniu.

Major odwołując się do tego spotkania przypomniał sobie, że ów „szczurolog" wahał się, czy ujawniać dalsze tajemnice swoich badań. Najwidoczniej z nikim dawno nie rozmawiał na podobne tematy, więc dzielił się z sekcyjnym swoją wiedzą. Tym bardziej, że miał w nim nader ciekawskiego słuchacza.

Spytał Henryka, czy wie na co był chory carewicz Aleksy, syn Mikołaja II, cesarza Rosji? Odpowiedział, że na hemofilię, krwawiączkę. Jeśli w przypadku chorego człowieka dążymy do znalezienia leków i sposobów na przeciwdziałanie tej chorobie, to w odniesieniu do szczurów mamy gotowy atut w ręku. Należy tylko wynaleźć jakiś preparat na niekrzepliwość krwi. Nad tym właśnie pracuje. To tylko kwestia czasu. Ale jeśli nie on, to nauka niemiecka z tym problemem się upora.

Pułapki na szczury

FOT. © HGM, WIEN

Kapitan pokazał Sucharskiemu pudła, specjalnie oznakowane, z suchą karmą dla szczurów. Nawet tutaj, w tak trudnych warunkach bada, co najbardziej smakuje szczurom. Tylko po to, aby później, już w najbliższej przyszłości dodać preparat na niekrzepliwość krwi. Dojdzie wówczas do wykrwawiania się szczurów i masowego ich ginięcia. Wierzy, iż Niemcy będą pierwszym krajem wolnym od szczurów.

Opowieść ta sprawiła, że Sucharski poczuł głęboki niesmak. Czy wolno byłoby tak postępować ze szczurami? Ten rodzaj walki z nimi wydał mu się niemoralny.

Podeszli do drucianej konstrukcji ponad wielkość człowieka. Wyjaśnił, że to trofeum zdobyte pod Verdun. Klatka konstrukcji francuskiej, chroniąca oficera podczas snu przed atakiem szczurów. Otworzył drzwiczki i rozkazał wsunąć się frajtrowi do wnętrza. Sucharski zawahał się. Co będzie, jeśli go zamknie, i to na stałe? Zdobył się na sprzeciw. Odpowiedział, że jest człowiekiem, a nie szczurem. A po chwili dodał, że to nie honor siedzieć w klatce. Czekał na jakąś piorunującą reakcję. Kapitan podał mu rękę. Sucharskiemu wydała się szczurza w uścisku. Gratulował jego postawy. Urągał Francuzom, żabojadom, zaprzedanym światowemu klanowi żydowskich kapitalistów. To oni sprawili, że Ameryka przystąpiła do Wielkiej Wojny. Ale Bóg czuwa nad narodem niemieckim i przechyli szalę zwycięstwa na jego stronę. W odwodzie jest jeszcze tajna broń, która zdoła unicestwić wrogów, wytępić ich do imentu, niczym szczurzą populację na Ziemi.

Sucharski zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. To był prawdziwy wróg. I to nie tylko jego. Szczury, walka z nimi zeszła na dalszy plan. Myślał z trwogą, co się stanie, jeśli spełniłyby się przepowiednie kapitana. Nieoczekiwanie stanęła mu przed oczyma wizja Dana, bohatera *Róży*, dramatu Żeromskiego. Czyżby jego tajemną broń, w istocie wynalazek Mieczysława Limanowskiego, przenoszenia niszczycielskiego ognia na odległość, dorwali w swoje łapy dowódcy sztabów niemieckich? Przecież by się nie zawahali przed posiewem śmierci na wszystkich frontach Wielkiej Wojny. Ataki gazowe, których stali się sprawcami, byłyby tylko zapowiedzią kataklizmu.

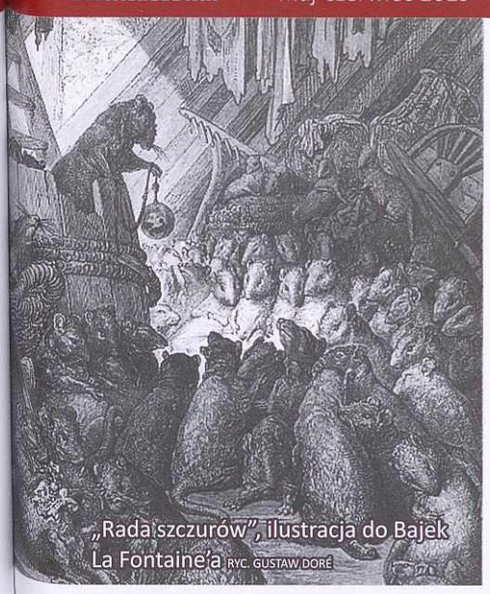

„Rada szczurów", ilustracja do Bajek La Fontaine'a RYC. GUSTAW DORÉ

Dobroczyńca Franiczka

Żołnierze z niepokojem czekają na pojawienie się nowego listonosza. Czy dotrze do nich z poczty polowej, odległej o kilka kilometrów? Jego poprzednik zginął od ostrzału artyleryjskiego w drodze powrotnej. Po nim i jego torbie nie zostało śladu. Teren został poryty pociskami, ciała żołnierzy poległych porozszarpywane wybuchami pocisków. Nie było co zbierać. Powstało kolejne cmentarzysko. Już bez krzyży i innych znaków pamięci. Tysiące szczurów pojawiły się na tym pobojowisku, aby pożreć resztki ciał. Zabrały się także do czaszek poległych żołnierzy. Ogołociły je z wszystkiego, co miękkie. Fama niesie, że najbardziej smakują im ludzkie mózgi.

Z torbą przewieszoną przez ramię, okrężną drogą z racji bezpieczeństwa, zjawia się długo oczekiwany listonosz. Wymienia swoje imię: Franiczek. Mówi, że pracował jako górnik w kopalniach Karwiny na Śląsku Cieszyńskim. Wszystkich zadziwia oswojony szczur, który trzyma się munduru na lewym ramieniu Franiczka, wolnym od pasa torby listonosza. Korespondencji jest niewiele. Listonosz tłumaczy, że to nie jego wina. Żołnierze winni poprosić swoje rodziny, aby pisały takie listy, których nie zarekwiruje cenzura wojskowa.

Dowódca plutonu zaprasza Franiczka do ziemianki. Czeka nań poczęstunek. Taki żołnierski zwyczaj. Dzielą się swoimi racjami, choć wiadomo, że są coraz mizerniejsze. Na froncie włoskim po stronie austro-węgierskiej panuje niemal głód.

Wieść o listonoszu z oswojonym szczurem roznosi się między żołnierzami. Do ziemianki sprowadza ich ciekawość, jak to się stało, że gryzoń zaprzyjaźnił się z człowiekiem.

Franiczek opowiada o demonstrowanym szczurze. To jest samiec. Nosi popularne wśród Ślązaków imię Hanys. Reaguje na nie, co zadziwia audytorium. W okresie swej młodości, kiedy był przyuczany do posłuszeństwa, wykazał się czujnością i piskiem ostrzegł górników o metanie wydobywającym się z fedrowanej ściany. Jeszcze dwukrotnie się to powtórzyło. Franiczek tłumaczył komisji poborowej, że jego szczur może okazać się przydatny na froncie włoskim, gdyby alianci zdecydowali się użyć gazów bojowych w rewanżu za wcześniejsze ataki zastosowane przez Niemców. Przymknięto oko na jego przyjaciela szczura i tak oto obaj zawędrowali aż pod San Stino di Livenza. Hanys ma już dwa lata i niebawem w sposób naturalny zakończy swój żywot. Oczywiście, jeśli obaj wcześniej nie zginą na tym włoskim froncie, który zbiera coraz obfitsze żniwo śmierci.

Przez chwilę powiało grozą wśród żołnierzy zgromadzonych w ziemiance. Franiczek to wyczuł i jął rozpraszać zły nastrój. Szczur Hanys przyszedł mu z pomocą, popisując się spełnianiem dziesięciu poleceń Franiczka. Ktoś zażartował, że jest lepiej wyszkolony niż niejeden austriacki żołnierz. Stawał na dwu nogach, kładł się na brzuchu. Jadł i pił na rozkaz. Swemu panu przynosił w zębach skórkę chleba wyłożoną na żołnierskim stole zbitym z dwu desek. W nagrodę Franiczek głaskał swego pupila, a na koniec go pocałował.

Sucharski odprowadza Franiczka kawał drogi w stronę miejsca zakwaterowania oddziału listonosza. Dzieli się z nim wrażeniami, jakie wyniósł ze spotkania z kapitanem, kierownikiem oddziału deratyzacji. Przedstawia jego plan walki ze szczurami przez zastosowanie preparatów na niekrzepliwość krwi gryzoni. Listonosz mówi, że to jest sposób z piekła rodem. Okrutny. Haniebny. Niegodny człowieka. I mówi, jaką groźbę ze sobą niesie. Szczury tępią robactwo w rodzaju karaluchów czy stonóg. Nastąpi wówczas ich niebywałe namnożenie. Nie wiadomo, co tu gorsze.

Henryk opowiada o rachubach kapitana na wykorzystanie niszczycielskiej broni. Listonosz potwierdza kursowanie takich wieści. Podobno jest to jakiś niesłychanie silny gaz, niszczący wszystko wokół. Czy nie obróci się przeciwko tym, którzy go użyją? To możliwe.

Na koniec Sucharski napomyka o samolocie włoskim, który zrzucał ulotki. Franiczek dodaje, że także rozeznawał linię zaplecza frontu. Dziś nocą jeszcze nastąpi ostrzał artyleryjski terenu. Radzi Sucharskiemu przesunąć swoich ludzi w stronę zniszczonego lasu. Tam będzie bezpieczniej. Pada uwaga sekcyjnego, że tam jest wielkie szczurowisko. Franiczek zapewnia, że z chwilą pierwszego wybuchu szczury pochowają się do głębokich nor.

Gdy zapada zmrok Sucharski zmienia stanowisko zakwaterowania swej sekcji. Niezadowolenie wśród żołnierzy. Szemranie. Próby sprzeciwu. Ledwie grupa dochodzi do lasku, rozpoczyna się kanonada artyleryjska. Padają pociski na linię świeżo wydrążonych okopów. Jakiś ogromny pocisk trafia w bok ziemianki i rozbija ją na strzępy. Słychać warkot nadlatujących samolotów. Bombardują stanowiska niemieckie.

Żołnierze dopytują się Sucharskiego, skąd dowiedział się o zamierzonym ataku artyleryjskim. Mówi im o samolocie, który dokonywał zwiadu. O Franiczku niczego nie wspomina, a to przecież on, swoją radą, przyczynił się do ocalenia oddziału.

W kilka dni później frajter Sucharski zmierza na stanowiska niemieckie. Nie ma po nich śladu. Tam, gdzie stał bunkier, widnieją wielkie leje po bombach. Nic nie ostało się. Kapitan zginął wraz ze swoimi wizjami, które takim lękiem napawały gręboszowianina. Tylko stada szczurów zjadają ludzkie szczątki, poczynając od walających się czaszek.

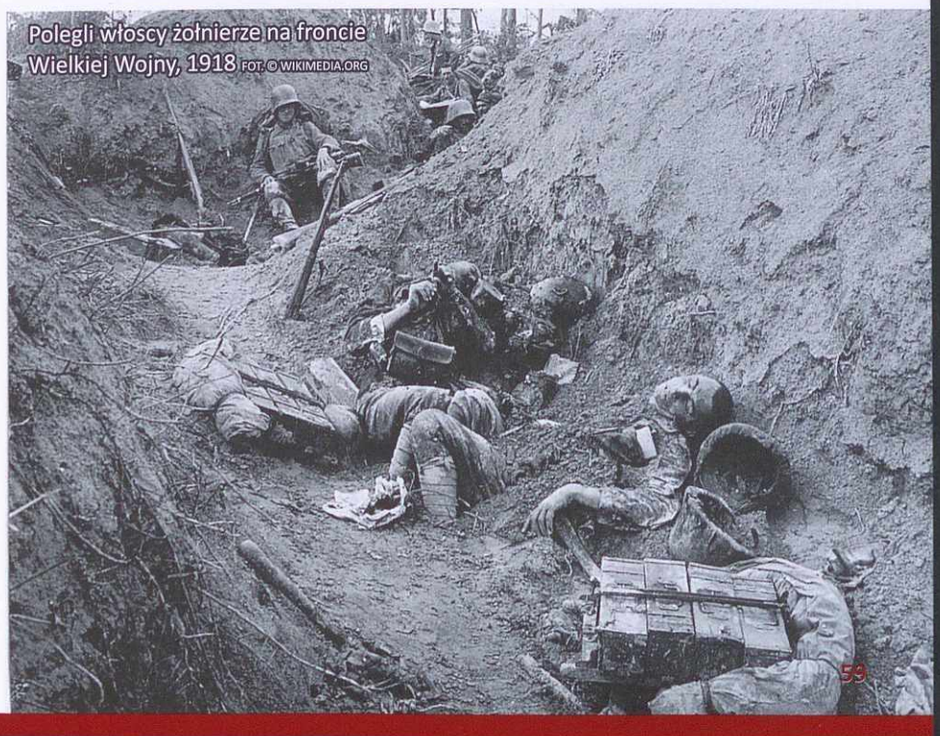

Polegli włoscy żołnierze na froncie Wielkiej Wojny, 1918 FOT. © WIKIMEDIA.ORG

„Dalej... będzie prawda”

JERZY BIERNACKI

Mamy kłopot z książką *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski* pod redakcją prof. Barbary Engelking i prof. Jana Grabowskiego z Żydowskiego Instytutu Historycznego, której autorzy głoszą tezę, że Polacy podczas niemieckiej okupacji 1939-1945 zamordowali około 200 tys. Żydów. Kłopot polega na tym, że poza przeświadczeniem, iż to nieprawda, my – przeciwnicy tej tezy nie mamy żadnych dowodów, które mogłyby posłużyć jej obaleniu.

Historycy polscy bowiem, wbrew postulatowi Marka Jana Chodakiewicza, wybitnego polskiego historyka i publicysty żyjącego (i wykształconego) w USA, jak dotąd nie przeprowadzili badań nad stosunkami polsko-żydowskimi w tym czasie, obejmującymi wszystkie, lub przynajmniej wybrane powiaty okupowanej Polski, z uwzględnieniem wszystkich towarzyszących ówczesnemu życiu okoliczności społeczno-politycznych i warunków bytowania pod niemieckim terrorem. Autorzy książki twierdzą, że takie badania w wybranych powiatach przeprowadzili, wyniki ich w niej przedstawiają i na tej podstawie głoszą powyższą uogólnioną tezę o liczbie Żydów wymordowanych przez Polaków. Sęk w tym, że jakość tych badań i wiarygodność ich wyników jest co najmniej wątpliwa.

Piotr Gontarczyk od kilku miesięcy publikuje w „Sieci” teksty dotyczące wspomnianej książki, przede wszystkim poświęcone rozlicznym manipulacjom, dokonywanym przez autorów w cytowanych dokumentach, które „badali”, znaczącym skrótom w przytoczeniach lub równie znaczącym dopiskom, a także różnego rodzaju – najłagodniej mówiąc – innym ich nierzetelnościom. Z szacunku dla konkretu posłużę się pierwszym z tego cyklu artykułem z nr 41 (366) z 8-14 października 2018 roku, pt. „Mord Żydów pod Dziadkowicami, czyli o naukowej twórczości prof. Barbary Engelking” (bo to ona autorsko odpowiada za ten temat w wymienionej książce). Autor użył bardzo prostego, oczywistego zabiegu. Opierając się na źródłach (zeznaniach świadków, dokumentach procesu sądowego z 1950 roku itp.) przedstawił przebieg tej zbrodni dokonanej w pełni przez Niemców, dowiódł, że oskarżany o współudział w niej (przez autorkę tej części książki) sołtys wsi Malinowo, Edward Malinowski (uniewinniony zresztą w owym procesie z 1950 roku) nie tylko nie miał z nią nic wspólnego, ale zajmował się przechowywaniem i ratowaniem Żydów, *notabene* nie mających żadnych pieniędzy ani kosztowności, a więc będących w zupełności na jego utrzymaniu (wikt i opierunek, a nawet wymiana zużytej odzieży). Jedyne, co (przymuszony przez Niemców) musiał zrobić i zrobił Malinowski, wraz z chłopami, którym przewodził, to dokonał wraz z nimi pochówku zamordowanych (przez Niemców) nieszczęśników.

Piotr Gontarczyk podkreślił jeszcze, że w owym procesie w 1950 roku sprawa niewinności podsądnego była tak oczywista, że prokurator nie złożył nawet apelacji.

„Tymczasem – pisze dalej autor artykułu – Barbara Engelking, autorka tej części wspomnianej książki, która tyczy się powiatu bielskiego, przeczytała akta sprawy Edwarda Malinowskiego i w książce zacytowała [...] zeznania Marii Wiśniewskiej [ukrywającej się Żydówki – przyp. J.B.]. W treści relacji dokonała jednak znaczącej zmiany. Zdanie «on mnie karmił, pomimo że byłam bez grosza» przycięła tak, że zostały tylko pierwsze trzy słowa. Potem dopisała, że Malinowski Wiśniewską «ograbił» (s. 140). Źródła tej «informacji» nie podano” – dopowiada autor. I pisze dalej:

„Jeszcze ciekawszy jest dalszy fragment książki, w którym o zeznaniach Wiśniewskiej na temat Malinowskiego Engelking napisała: «zdawała sobie sprawę, że jest on współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom, mimo to na jego procesie po wojnie złożyła fałszywe zeznania w jego obronie» (s. 150). Jakie fałszywe zeznania? – pyta autor? Jakie «kilkadziesiąt» ofiar? Nie wiadomo”. Pytania uzasadnione, choćby dlatego, że dokładnie wiadomo, iż w Dziadkowicach Niemcy zamordowali piętnaścioro Żydów.

Gontarczyk w dalszej części tekstu ostrzega autorkę, że jeśli nie pokaże źródeł, na podstawie których zrobiła z ratującego Żydów złodzieja i mordercę, może doczekać się procesu o zniesławienie. Tego rodzaju procesów – pisze autor – prof. Barbara Engelking może doczekać się więcej, na przykład ze strony rodziny Antoniego Szulca. Po wojnie oskarżono go o to, że był tzw. szucmanem w niemieckiej policji na posterunku w Bielsku Podlaskim i o współudział w mordowaniu Żydów. Na procesie w 1950 roku dowiedziono, że chodziło o kogoś innego o tym samym nazwisku. „Pani Engelking – pisze dalej Gontarczyk – przeczytała akta sprawy Antoniego Szulca. A potem w książce napisała: «Wolf Kremberg i Jakub Rajbert, którzy uciekli z getta 2 listopada, zostali złapani przez szucmana Antoniego Szulca i zaprowadzeni na posterunek żandarmerii, gdzie ich rozstrzelano» (s. 126). Zarówno «polskich morderców», jak i ich rzekome ofiary autorka pomnaża, jak się tylko da” – konkluduje autor tę część artykułu i przechodzi do dalszych przykładów grubej nierzetelności autorki.

Nie jest wszakże moim zadaniem relacjonowanie całości tekstu Gontarczyka. Idźmy zatem do konkluzji. Bo będzie ważna konkluzja.

Otóż artykuły Piotra Gontarczyka, choć bezcenne, w oczywisty sposób są jedynie tekstami przyczynkarskimi w stosunku do omawianej książki Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Jakkolwiek pokazują one metodę manipulacji źródłami i faktami stosowaną nie tylko przez tę autorkę, bynajmniej nie tylko we wskazanych dwóch przypadkach (Gontarczyk

Pozew przeciwko Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu

Autorzy publikacji *Dalej jest noc* zaprezentowali fałszywe informacje na temat jednego z polskich bohaterów – Edwarda Malinowskiego, który ukrywał Żydów. Barbara Engelking i Jan Grabowski w swojej książce nazwali go współwinnym śmierci Żydów. Reduta broni dobrego imienia Edwarda Malinowskiego wspierając jego bratanicę w procesie przeciwko autorom i zapewniając pomoc prawną.

Edward Malinowski, stryj Filomeny Leszczyńskiej, został przedstawiony we fragmentach publikacji *Dalej jest noc* jako „współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom". Publikacja Grabowskiego i Engelking zaprezentowała fałszywą wersję, a takie działania godzą w dobra osobiste nie tylko samej bratanicy, ale każdego Polaka.

Podczas II wojny światowej opisywany w publikacji pozwanych Edward Malinowski ukrywał Żydów. W 1943 roku został sołtysem Malinowa. Pewnego dnia w 1943 roku do jego wsi przyszli Niemcy w celu poszukiwania Żydów w schronach w pobliskim lesie. Kazali przyprowadzić gajowego z Czernej (miejscowości obok), po jego zaś przybyciu poszli z sołtysem Malinowskim oraz paroma innymi ludźmi ze wsi do lasu, a towarzyszącym im chłopom kazali wziąć łopaty. W lesie Niemcy, za pomocą informacji uzyskanych od gajowego, odnaleźli schron i pozabijali ukrywających się w nim Żydów. Po II wojnie światowej Edward Malinowski został na skutek donosu sąsiedzkiego aresztowany przez UB i oskarżony o zabójstwo Żydów. Po procesie, w którym zeznawali m.in. ukrywani przez niego Żydzi, został uniewinniony.

W publikacji *Dalej jest noc* Barbara Engelking opisując losy jednej z Żydówek ukrywanych przez Edwarda Malinowskiego napisała, że „jest on współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom". Równocześnie w danych źródłowych w przypisie do tego fragmentu książki autorka podała cytat akt procesu Malinowskiego z 1950 roku w taki sposób, żeby czytelnik nie wiedział, że Malinowski ukrywał Żydówkę i żywił całkowicie za darmo.

Należy wskazać, że publiczne i państwowe materiały, wskazywane przez pozwanych jako źródło informacji, są przez nich cytowane wybiórczo. Resztę relacji dotyczącej Edwarda Malinowskiego zbudowano za pomocą fałszywych i w rzeczywistości nie mających miejsca wydarzeń. W szczególności pozwana napisała nieprawdę, że Żydówka Maria Wiśniewska (wówczas Estera Drogicka) została ograbiona przez Edwarda Malinowskiego, że wiedziała iż był współwinny śmierci 18 Żydów. Nieprawdą jest także, że świadek Wiśniewska podczas procesu złożyła fałszywe zeznania, by doprowadziło to do uniewinnienia Malinowskiego.

Zdaniem ówczesnych mieszkańców wsi Edward Malinowski był dobrym sołtysem, nigdy nie współpracował z niemieckimi żołnierzami i bronił mieszkańców wsi.

„Pozew ma na celu obronę kultu pamięci o zmarłym Edwardzie Malinowskim, który chronił Żydów w trakcie wojny. I który był bohaterem, i jako bohater powinien być zapamiętany i postrzegany tak przez swoją bratanicę, jak i przez swoich przyjaciół, znajomych czy współczesnych Polaków. Treści, które znalazły się w publikacji *Dalej jest noc* zostały – w mojej ocenie – wręcz wymyślone. To skandaliczne zachowanie autorów publikacji ma na celu potwierdzenie tez o zabijaniu Żydów przez Polaków. Nazwisko Edwarda Malinowskiego, w publikacji Grabowskiego i Engelking, poprzez nazwanie go *de facto* złodziejem i mordercą zostało zbrukane. Malinowski niewątpliwie był bohaterem i udowodnimy to w sądzie" – mówi Maciej Świrski, prezes Reduty Dobrego Imienia.

Filomena Leszczyńska, przy wsparciu RDI domaga się usunięcia skutków naruszenia dobra osobistego poprzez publiczne złożenie oświadczeń, dodruku zgodnie z prawdą zeznań Marii Wiśniewskiej i zadośćuczynienie w wysokości 100 tys. złotych. Reduta Dobrego Imienia ponosi koszty tej sprawy (adwokackie i sądowe, administracyjne, koszty opinii biegłych i historyków).

RDI

Fragmenty pozwu, zarówno w wersji w języku polskim, jak i języku angielskim, na stronie: rdi.org.pl

w całym cyklu pokazuje dziesiątki tego rodzaju „skręceń"). Metodę, która – jak można zasadnie podejrzewać – jest stosowana w odniesieniu do wszystkich „badanych" powiatów. Wielekroć na przykład podmienia się w tej książce policję żydowską – policją polską, granatową, o której wiadomo, że wolno jej było jedynie ochraniać getto od zewnątrz, a do środka nigdy nie wchodziła. O tym że policja granatowa w okresie okupacji była pod kierownictwem niemieckim, w ogóle się w książce *Dalej jest noc* nie wspomina. Wiadomo zaś również, że policja żydowska w gettach kierowana była przez Judenraty, służyła Niemcom, lecz im bezpośrednio nie podlegała.

Dlatego też – jak sądzę – stanowczo niezbędną rzeczą staje się, by zarówno IPN, jak i inne instytuty historyczne wytypowały historyków najnowszych dziejów Polski, wyspecjalizowanych w tej tematyce, którzy idąc śladem autorów książki, podobnie jak dr Gontarczyk, ponownie przebadają – tym razem całościowo, rzetelnie, zgodnie ze standardami naukowymi – te same powiaty i te same wydarzenia, o których mowa jest w książce, w istotny sposób, wzorem tego historyka, prostując zawarte w książce *Dalej jest noc* kłamstwa, przekłamania i manipulacje i ukazując, w jaki sposób tego dokonano. Naturalnie w ministerstwie kultury czy ministerstwie nauki (albo w obydwu razem) powinny znaleźć się na to natychmiast pieniądze, przecież w końcu nie takie wielkie. Zresztą to się z pewnością opłaci, gdyż wtedy powstanie książka, praca zbiorowa, być może pod tytułem „Dalej... będzie prawda" lub podobnym, a owi „badacze" z Żydowskiego Instytutu Historycznego nigdy już i nigdzie nie będą mogli publikować swoich „badań", ponieważ będą doszczętnie skompromitowani.

Nie ma na co czekać, trzeba to zrobić jak najszybciej, a nie bezradnie rozkładać ręce i biadolić nad szkodami, wyrządzanymi Polsce przez żydowskich pseudohistoryków.

Kontrkultura w czasach zarazy

Bunt? Dobrze – ale jaki? Wykoncypowany w ciszy nocnych lektur czy poryw wiatru rozpaczy... Rzetelna analiza, krok po kroku prowadząca do zrzucenia skóry przeżuwacza i przybrania roli drapieżcy-selekcjonera... Albo błysk prawdy, nakazujący odkopać ukryty skrzętnie pod koniec dzieciństwa topór wojny ze złem.

Lech L. Przychodzki, *Liście ze świata żywych, listy z Krainy Jaszczurek*

JAKUB PAŃKÓW

Temat rozległy. Może uda się dotknąć problemu, zarysować kontur, zasiać wątpliwości – o wyczerpaniu mowy nie ma. Pojęcie wydaje się być młode. To tak naprawdę kwestia ostatnich kilku dekad. Niezgoda na konwenanse, społeczną hipokryzję i drobnomieszczańską moralność. Przekonanie, a raczej silna wiara, że Świat można zmienić, uratować.

Inaczej było u nas, w PRL-u – szare ulice, telefony na podsłuchu i „socjalizm z ludzką twarzą"... Inaczej tam, za „żelazną kurtyną", gdzie często dzieciaki z dobrych domów buntowały się przeciwko kulturze dobrobytu, budowanej pieczołowicie przez pokolenie swoich rodziców, niosąc na sztandarach Mao Zedonga czy czerwony sztandar z młotem i sierpem; a nierzadko jedno i drugie. „Za oceanem" paliwem kontrkultury były pozostałości po segregacji rasowej, fascynacja lewicową utopią, niechęć wobec tradycyjnego modelu rodziny, bunt przeciwko wojnie w Wietnamie, ale też zachłyśnięcie się psychodelią, narkotykami, filozofią Wschodu, wolną miłością, nowymi nurtami w psychologii czy szeroko pojętą awangardą w muzyce i sztuce. Inaczej sprawy się miały pod koniec lat 60., a inaczej na przełomie 70. i 80.

Wydaje się, że odkąd pojawiło się to pojęcie, jest ono wręcz nierozerwalnie związane z kultem Matki Ziemi, szamańskimi rytuałami, życiem w komunach, synkretyzmem religijnym, weganizmem, prawami mniejszości oraz zwierząt. Tak większość ludzi kojarzy oraz wyobraża sobie istotę kontestacji kontrkulturowej. Jest to jednak obraz powielany i utrwalany przez kulturę masową – pop kulturę. Obraz schematyczny i powierzchowny, pod którym kryją się bardziej złożone, a często wewnętrznie sprzeczne, wielowątkowe dynamizmy tego zjawiska. Nierzadko też bardzo ciężko wytyczyć granice, gdzie dane przedsięwzięcie kulturowe czy artystyczne przestaje mieć znamiona kontrkulturowe, stając się elementem kultury oficjalnie aprobowanej; a może – co jeszcze bardziej przewrotne – częścią show biznesu i wyrachowanej inżynierii społecznej na usługach elit finansowych.

Jak zauważył Leszek Przychodzki, im bardziej próbuje się opisać czy usystematyzować zjawiska kontrkulturowe, tym bardziej zamyka się je w ciasnych ramach – tracąc z oczu pierwotny sens i znaczenie tego pojęcia. Idąc tym tropem, można zaryzykować twierdzenie, że kontrkultura szczególnie podlega „teorii nieoznaczoności"; im bardziej chcemy poukładać nasze wyobrażenie na ten temat, tym bardziej otrzymujemy usztywniony i schematyczny obraz, tym bardziej się nam to zjawisko wymyka.

Kontrkultury nie można definiować poprzez samą estetykę, poprzez utarte schematy. Kontestacja kontrkulturowa to nie przeciwsłoneczne okulary w rogowej oprawie, gitanesy bez filtra, psychodeliczne bohomazy czy ekstrawagancka fryzura. Definicji trzeba szukać inaczej. A może nie szukać, tylko słuchać intuicji; może to brak ufności – lub raczej ciągła nieufność – wobec mechanizmów kreujących rzeczywistość polityczną, gospodarczą czy społeczną – a co za tym idzie – obyczajową. Ludzie tworzący zjawiska kontrkulturowe pozostają w ciągłej „gotowości krytycznej" – żadne układy ani koterie nie usypiają ich czujności. To buntownicy, outsiderzy i często samotnicy, naznaczeni piętnem środowiskowego ostracyzmu. Paliwem jest często (choć oczywiście nie zawsze) egzystencjalny niepokój i poszukiwanie autentycznej wspólnoty.

Z drugiej strony, tak ważną cechą „identyfikacji kontrkulturowej" pozostaje pewien atawistyczny zew przestrzeni, pierwotna tęsknota za nieskrępowaną ekspresją, za szczerością wypowiedzi, niechęć wobec masek. Wiara, że pewnych jednostek nie da się zagłaskać – wytresować ani kupić – wsadzić w ramki czy poupychać w szufladkach. Kontrkultura jest uwspółcześnioną tęsknotą za mitologicznym bohaterem, za kimś, kto zdradza plemię w imię wyższych wartości, ideałów – składając się na ołtarzu konwenansu. Kontrkultura to niejako wewnętrzny nurt życia społecznego, zjawisko, którego nie można jednak wyekstrahować z rzeczywistości i postawić w sterylnej gablocie nauk społecznych z artefaktami.

Nie istnieje zatem schemat, wedle którego można segregować twórców czy też samą twórczość. Jak lubił powtarzać rzeźbiarz Tadeusz Ostaszewski: „Śmieci latają po wierzchu, a ciężkie idzie dołem". Często ci, których reklamuje się jako niepokornych kontestatorów, są w rzeczywistości zwykłymi karierowiczami i pożytecznymi idiotami, a paradoksalnie – największymi oraz autentycznymi wywrotowcami są twórcy, w polu zainteresowani których nie znajduje się kontrowersja ani „bunt" jako taki. Zwłaszcza, że po kolejnych fazach kontrkulturowych oraz subkulturowych rewolucji nastał czas totalnego przesilenia. Dla większości artystów estetyka tzw. buntu od dawna jest li wyłącznie trampoliną dla komercyjnego sukcesu. To nie początek lat 80. i szare ulice robotniczych dzielnic Manchesteru czy fabrycznej Łodzi, gdzie kolorowe włosy, kolczyk w nosie lub zbyt kuse spodnie były formą manifestu światopoglądowego – a też nierzadko wyrazem dużej odwagi cywilnej. Obecna kultura to gigantyczny hipermarket, wypełniony po brzegi mieniącą się pstrokacizną, a tatuaże, irokezy, piercing

czy wyćwiekowane „skóry" już dawno trafiły pod polskie strzechy. Wszystko stało się produktem!

Nastały czasy, gdzie przełamywanie obyczajowego tabu straciło swój termin ważności; rozwiązłość seksualna jest niemal towarem a zarazem obowiązującą oficjalnie doktryną światopoglądową. Perwersja i wyuzdanie krzyczą na każdym kroku z wielkoformatowej reklamy lub stręczą w mediach. Ciężko jest też uwierzyć w „buntowników", głoszących postulaty praw „mniejszości" w sytuacji, gdzie homoseksualista i aktywista LGBT Robert Biedroń był prezydentem Słupska, homoseksualista – pan Rabiej – jest obecnie wiceprezydentem Warszawy, a transseksualista posłował na Sejm Rzeczypospolitej. Dzisiaj, w obronie „mniejszości", parakomunistyczny twór biurokratycznej hegemonii – Unia Europejska – narzuca nam prawne standardy „mowy nienawiści", będące *de facto* kagańcem cenzury.

Równie śmiesznym paliwem dla „wywrotowców" jest dzisiaj feminizm, gdzie kobiety mają pełnię praw i dostęp do wszystkich możliwych stanowisk; a jeżeli nie korzystają z tych przywilejów, to nie ma to żadnego związku z dyskryminacją – po prostu, kobiety w pewnych aspektach są naprawdę inne od mężczyzn (między innymi mężczyźni nie rodzą dzieci). Dzisiaj przekleństwo nie jest już zastrzeżone dla outsiderów czy niepokornych intelektualistów. Mięsem rzuca każdy – od ministrów przez dobrze „sprzedających się" pisarzy aż po panią w warzywniaku. Marihuana jest znana trzynastolatkom, a według statystyk, spory odsetek licealistów miał kontakt z „twardszymi" narkotykami. Wojna natomiast stała się skomplikowanym i wielopoziomowym zjawiskiem; tak skomplikowanym, że często ci, którzy świadomie „walczą" o pokój – nieświadomie dolewają oliwy do ognia.

Czy w takiej rzeczywistości jest jeszcze miejsce na autentyczną kontrkulturę?

Myślę, że tak. Natomiast czas, kiedy niemal każdy zabiega o potwierdzenie swojego indywidualizmu i oryginalności, nie jest czasem, gdzie kontestacja oficjalnej kultury powinna bazować na mizdrzeniu się w mediach społecznościowych. I może dobrze, bo każde czasy mają swoich prawdziwych outsiderów i buntowników – i w każdych czasach możliwa jest kontestacja kultury oficjalnej. Fakt faktem, kiedyś można było dostać pałą za antywojenne protesty albo zostać wykluczonym z oficjalnego obiegu przez cenzurę. Strach oraz odwaga miały bardziej wyraziste kontury, a granica pomiędzy „nimi" a „nami" wydawała się oczywista. Przekładało się to na pewną integrację środowisk kontestujących. Dzisiaj jest to dużo trudniejsze. Atomizacja społeczeństwa postępuje lawinowo.

Nadszedł czas, w którym atrybuty zewnętrzne kontrkultury, sama estetyka buntu, będą mało znaczące – lub nie znaczące niczego – wobec bardziej „personalistycznego", bardziej świadomego podejścia poszczególnych jednostek. Być może prawdziwy opór wobec Systemu musi wyrazić się na płaszczyźnie kontemplacji, głębszej zadumy nad własną kondycją egzystencjalną i duchową, nad najbliższym otoczeniem. W przeszłości wielką pułapką (a może nieuniknioną konsekwencją) dla zjawisk kontrkulturowych okazało się przejęcie przez show biznes powierzchownych atrybutów tzw. undergroundu i uczynienie z nich produktu. Z drugiej strony, różnej maści koncesjonowani kontestatorzy nadal pozostają pod wpływem – parafrazując Miłosza – „marksistowskiego ukąszenia", bagatelizując lub świadomie odrzucając zagrożenia, związane z tą niebezpieczną, kolektywistyczną ideologią oraz jej pochodnymi.

Jeżeli kontrkulturę definiuje się poprzez „kulturę oficjalną" – w opozycji do mechanizmów, kreujących tę drugą – to można śmiało zaryzykować twierdzenie, że najlepszym sposobem definiowania kontrkultury jest właśnie obraz kultury aprobowanej, promowanej, kształtującej zachowania masowe. Czy chrześcijanie w okresie Cesarstwa Rzymskiego stanowili coś na kształt „kontrkultury"? Nie da się oczywiście sformułować prostej i jednoznacznej odpowiedzi na takie pytanie. Dlatego chociażby, iż chrześcijaństwo z swego założenia nie było ruchem o charakterze społecznym czy kulturowym. Pewne jest natomiast, że pojęcie etyki i moralności, jakie niosło ze sobą, musiało stać w opozycji do norm, panujących w Imperium.

Współcześnie, miłościwie nam panująca kultura oficjalna, kultura masowa, to ciążenie w stronę mroku, przemocy i perwersji. To bezkrytyczna fascynacja propagandą technokratów, to naiwna ekologia pod polityczne dyktando oraz „seks edukacja" (seksualizacja dzieci i młodzieży) w wykonaniu „kawiorowej lewicy". To tyrania materializmu, konsumpcji i niemal religijny kult technologii; wcielanie w życie mrocznych dystopii, rodem z 1984, Radia Wolne Albemuth czy Nowego wspaniałego świata. Wyuzdanie, brud czy upodlenie stały się tematami pożądanymi, ciekawymi – nadzieja jest dla frajerów i naiwniaków, podobnie jak tradycyjne wartości. Ofiarami Systemu nie są dzisiaj kobiety, „kolorowi", „mniejszości" czy proletariusze – ale umysły dzieci. „Poprawność polityczna" przyjęła formę podstępnej cenzury, obowiązującej w mediach, na ulicy i uniwersytetach. Etatowy artysta „oficjalnej kultury" to często kabotyn i prostak, schlebiający oczekiwaniom niewyrobionego intelektualnie czy też niedojrzałego umysłowo odbiorcy. Komercyjne media z obcym kapitałem, podobnie jak promowane przez nie autorytety, starają się nas przekonać, że przywiązanie do narodu czy Ojczyzny to przeżytek, że ten rodzaj identyfikacji jest *passé*.

Fundacje, wspierane przez ponadnarodowych finansowych oligarchów, którzy dorobili się fortun na biedzie i krzywdzie milionów istnień ludzkich, przekonują nas – pod lufą intelektualnego szantażu – że multikulturalizm jest jedyną alternatywą dla Europy, a z drugiej strony zanik różnic kulturowych i tradycyjnych form współżycia społecznego – nieuniknioną koniecznością. Równie łatwo można być dzisiaj posądzonym o „antysemityzm", jak zostawało się „wrogiem socjalizmu" w stalinowskiej Rosji. W coraz większej ilości polskiej produkcji filmowej (i to też tej, gdzie współscenarzystami są podobno literaci – cokolwiek to znaczy) dialogi składają się nade wszystko z rzucania mięsem. I nie ma to żadnego związku z rzekomym realizmem. Literatura to głównie kryminały, ideologiczna propaganda, opakowana w prozę lub reportaż, czy wynurzenia celebrytów (Wybaw nas Panie!). Tak jest prościej, takie są wytyczne „kultury oficjalnej". Z jednej promuje się naiwną „butikową filozofię" dla pseudointelektualistów, a z drugiej strony, establishment kultury ma twarz cynika, śledzącego wszędzie pokraczne relacje międzyludzkie i wszechobecną hipokryzję; to zadufany w sobie infantylny chłystek-fircyk w modnych fatałaszkach czy egzaltowana pensjonarka – pozująca na intelektualistkę (obydwoje mianowani przez media z niemieckim kapitałem – autorytetami dla Polaków), mantrujący do porzygania o „polskiej, ciemnej masie", która jest tak bardzo NIE-europejska...

Kiedyś Tomek Lipiński śpiewał: „Nie wierzę politykom", a punkowy zespół B.G.K nawoływał: „*Bite the hand that feeds you shit*" („Ugryź rękę, która karmi cię gównem"). Ja zapytam wprost, gdzie dzisiaj jesteście, buntownicy – gdzie wasze pazury, kły – gdzie wasz krytycyzm, wasze wątpliwości, gdzie bezkompromisowość? No cóż, z pewnych rzeczy człowiek wyrasta, ale nie powinien porzucać umiejętności zadawania trudnych pytań – sobie i otoczeniu. Zwłaszcza sobie...

Festiwal Kultury Mazurskiej

Bo liczy się tradycja...

FOT. © MARIAN MODZELEWSKI

Mrągowo zostało okrzyknięte Miastem Festiwali. W całym kraju słynny jest Piknik Country oraz Festiwal Kultury Kresowej, który w tym roku ponownie honorowym patronatem objął Prezydent RP Andrzej Duda.

Mrągowo jednak to nie tylko cowboye i sękacze przecież, to coś więcej. Oczywiście Piknik Country i Festiwal Kultury Kresowej to bardzo ważne wydarzenia, z wieloletnią tradycją. Gdy mówimy o Mrągowie mamy na myśli – Mazury, piękną krainę, która regularnie staje się oazą zmęczonych otoczeniem betonu turystów z dużych miast. Mazury to także Mazurzy, rdzenni mieszkańcy Mrągowa oraz innych mazurskich miast i wsi. To właśnie im i kultywowaniu dawnej tradycji dedykowany jest Festiwal Kultury Mazurskiej.

Pomysł zorganizowania festiwalu narodził się w Towarzystwie Miłośników Ziemi Mrągowskiej a mówiąc ściślej w głowie Andrzeja Badurka – ówczesnego prezesa Stowarzyszenia.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Mrągowskiej popularyzuje wiedzę o regionie, organizuje konkursy, wystawy, sesje popularno-naukowe itp. Członkowie tej organizacji zaaprobowali pomysł stworzenia w powiecie mrągowskim dużej, stałej imprezy promującej kulturę mazurską.

Pierwszy Festiwal Kultury Mazurskiej odbył się w sierpniu 2011 roku w Pieckach. Wydarzenie nie mogłoby się oczywiście odbyć bez zaangażowania lokalnych władz oraz Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji „Pegaz".

Festiwal Kultury Mazurskiej to nie tylko występy artystyczne, to także wystawy, prelekcje, konferencje naukowe oraz rozmowy o tradycjach, dawnych obrzędach i historii Mazurów. Jedną z atrakcji imprezy były rejsy łodziami po słynnej rzece Krutyni.

Pierwszy Festiwal poprowadzili aktorzy rodem z Mrągowa, Sebastian Badurek i Jarosław Rosiński. Wydarzeniu towarzyszyły: kiermasz wyrobów rzemieślniczych, rzeźba, ceramika, mała gastronomia oraz kącik malucha. Gwiazdą Festiwalu był – urodzony w Węgorzewie na Mazurach – Cezary Makiewicz autor piosenki „Wszystkie drogi prowadzą do Mrągowa", która stała się hymnem Pikniku Country. Piosenka ta utorowała artyście drogę do honorowego obywatelstwa miasta Mrągowo.

Wśród uczestników pierwszego i kolejnych Festiwali Kultury Mazurskiej znaleźli się również: Irena Telesz-Burczyk – znana aktorka teatralna i filmowa z Olsztyna, Sławomir Szymankiewicz – kierownik Muzeum im. Michała Kajki w Ogródku, Katarzyna Enerlich – pisarka mrągowska, dr hab. Jan Gancewski – historyk prof. UWM w Olsztynie. Nie zabrakło także chóru żeńskiego „Masuren Klang" i zespołu „Iskierka Nadziei" z Piecek.

Rok później festiwal przeniósł się dwadzieścia kilometrów dalej... do Sorkwit. Zorganizowano go w sierpniu 2012 roku. Przez dwa dni uczestnicy mogli wysłuchać wykładów o historii Mazur, obejrzeć wystawy, porozmawiać z gośćmi, a także skosztować tradycyjnego mazurskiego jadła. Podczas II Festiwalu Kultury Mazurskiej wójt Józef Maciejewski wyraził chęć zatrzymania imprezy w tej miejscowości na dłużej. Członkowie TMZM odnieśli się do pomysłu przychylnie w związku z czym gmina Sorkwity jest gospodarzem Festiwalu do dzisiaj.

W ubiegłym roku, w dniach 18-19 sierpnia, odbyła się ósma edycja Festiwalu Kultury Mazurskiej. Jak zwykle, nie zabrakło wykładów dotyczących mazurskiej ziemi. Dodatkową atrakcją był tradycyjny mazurski obiad oraz warsztaty kulinarne: „Zapomniane potrawy z ryb mazurskich jezior".

Podczas tego typu wydarzeń widać jak ważnym elementem kultury mazurskiej jest kuchnia. Oczywiście na Mazurach najbardziej popularne są ryby oraz dary lasu. Mówiąc o rybach warto spróbować zupy rybnej. A jeśli już mowa o produktach leśnych to jedną z potraw kuchni mazurskiej są grzyby ze śmietaną.

Tak więc Festiwal Kultury Mazurskiej to popularyzacja wiedzy o Mazurach. Jest to też możliwość wyeksponowania dobrodziejstw – jakich mogą pozazdrościć nam mieszkańcy innych regionów Polski – lasów, jezior, czystego powietrza oraz znakomitej tradycyjnej kuchni. Kultura Mazurska to jednak przede wszystkim ludzie, którzy mieszkają na Mazurach od pokoleń oraz ci, którzy wyjeżdżają, ale wciąż powracają do miejsca, w którym się wychowali i które mają w swoich sercach.

Kolejne spotkanie z mazurską kulturą i historią – w ramach dziewiątego już Festiwalu Kultury Mazurskiej – odbędzie się 17 i 18 sierpnia w Sorkwitach.

Serdecznie zapraszamy!

JM

Miałem Wielkie Szczęście

Życiorys Andrzeja Wajdy jest zrośnięty z naszą historią. Nie ma drugiego reżysera, który by z taką pasją opowiadał o Polsce.

Monodram zatytułowany „Miałem Wielkie Szczęście – Andrzej Wajda", wystawiony 10 maja w Piwnicy pod Baranami, ma formę spotkania Andrzeja Wajdy z publicznością. Reżyser opowiada o trzech filmach. Zadanie jest trudne, skoro w życiu zrobiło się ich ponad pięćdziesiąt.

Wajda opowiada o trzech filmach i nie byłby sobą, gdyby nie opowiedział wiele, wiele więcej. Trzeba sprostać oczekiwaniom władzy, ale ją też przechytrzyć. Raz jest to „Kanał", „Popiół i diament" i „Pokolenie". Innym razem „Człowiek z marmuru", „Wałęsa – człowiek z nadziei" i „Powidoki" o malarzu Strzemińskim w czasach stalinowskich. A między filmami prawdziwe historie z życia.

Gdy wiosną w 1946 roku znalazł się w Krakowie aby zapisać się na ASP wpadł w „kocioł" i trafił do piwnicy UB przy Placu Wolności. Nocą był przesłuchiwany. Jakże miał odpowiadać na pytania oficera śledczego? Chciał malować. Nie po to złożył przysięgę przed por. Poredą, aby wyjawiać swoją przeszłość okupacyjną i udział w AK. Przez całe życie pragnął poznać historię swojego ojca, z którym widział się po raz ostatni we wrześniu 1939, gdy ten wyruszył z Radomia. W rowie przeciwlotniczym zakopał jego szablę, a matka odpruła guziki z orzełkiem z ojcowskiego munduru. By Andrzej miał w czym chodzić.

Wraz z opowieścią o kręceniu filmów płynie historia Polski. W tym samym budynku bezpieki, tylko po drugiej stronie podwórca, w biurze Filmu Polskiego, 8 maja 1945 roku Czesław Miłosz z Jerzym Andrzejewskim pisali scenariusz filmowy. Naprzeciw w zakratowanych oknach widzieli chłopców z lasu. Niektórzy łapali słońce by się opalić. Wielu z nich nie wyszło stamtąd żywych. Któryś z nich to prototyp Maćka Chełmickiego (Zbyszek Cybulski) w filmie „Popiół i diament". Film powstał po „odwilży". Wtedy dopiero żołnierz wyklęty i „Czerwone maki" mogły pojawić się na ekranie. Ale czy Wajda mógł opowiedzieć skomplikowaną prawdę? Czy Maciek faktycznie miał wybór? Czy zamiast mordować komunistę Szczukę mógł pójść na politechnikę i ożenić się z Krystyną?

Wojciech Gałziński mówi głosem Andrzeja Wajdy. Lecz niekiedy odzywa się głos drugi. Ktoś z drugiego planu. To Franciszek Słowiński. Nie zawsze zgadza się z reżyserem i chce coś dopowiedzieć. „Zaraz... Czy dowództwo Powstania Warszawskiego nie znalazło się znowu w tym momencie znanym z historii Polski, gdy jest wybór, lecz z niego się nie korzysta? I niemal bezbronną młodzież wysyła do walki z uzbrojoną po zęby armią, straceńczo, beznadziejnie jak «kamienie przez Boga rzucone na szaniec»?".

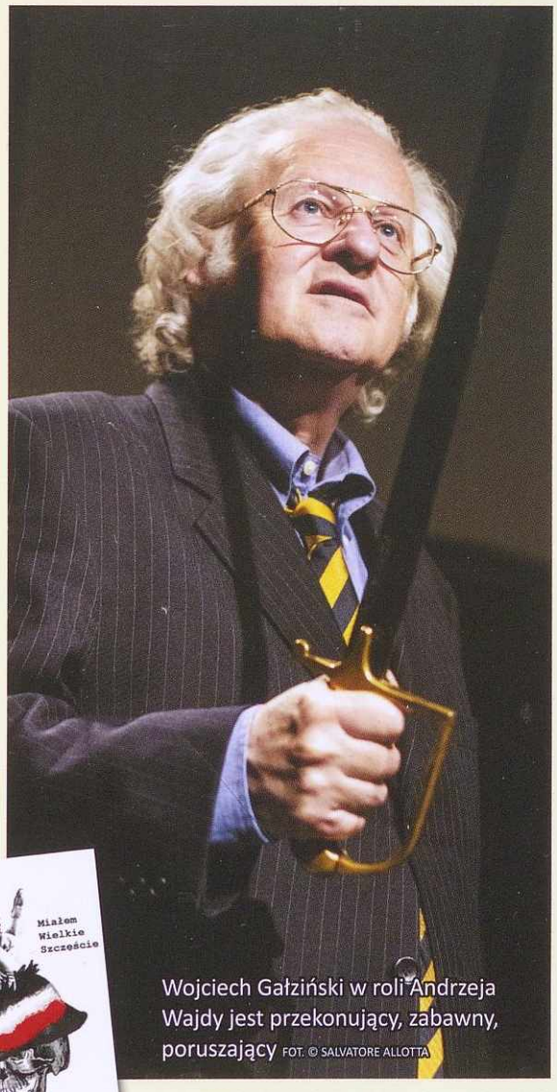
Wojciech Gałziński w roli Andrzeja Wajdy jest przekonujący, zabawny, poruszający FOT. © SALVATORE ALLOTTA

Wielu z młodych powstańców wierzyło, że za parę dni przyjdzie pomoc z Zachodu. Nie nadeszła. Słowiński dopytuje o właścicieli takich stolarni jak ta na Woli, przedstawiona w filmie „Pokolenie". W niej znalazł robotę Stachu (Tadeusz Łomnicki), młody PPR-owiec. Właścicieli takich sklepów, sklepików, warsztatów, piekarni, fabryk, dworów. O ich złamane życiorysy po wojnie, gdy władza odebrała im to co mieli. O trudną drogę ich dzieci na studia, do zawodowych karier. Biedni robotnicy ze stolarni marzyli o sprawiedliwej Polsce. Lecz droga do niej okazała się bardzo długa. Wiodła przez bunty: ten w 1956 roku, w 1968, w 1970 na Wybrzeżu, w 1976. Przez „Solidarność" w 1980 i przez całe lata 80. „Szli więc solidarnie do demokracji i wolności". Wajda szedł z kamerą. A z nim wielu wspaniałych ludzi.

Wojciech Gałziński w roli Wajdy jest przekonujący, zabawny, poruszający. Ceniony epizodysta i aktor drugiego planu jest pierwszą osobą, która wzięła na siebie ogrom osobowości Wajdy. Sądząc po reakcji widowni wywiązuje się z tego znakomicie. Włoski operator Salvatore Allotta wnosi estetykę, która przypomina, że Wajda był szczególnie wrażliwy na plastykę obrazu.

Wielki reżyser miał „wielkie szczęście". Spektakl ze scenariuszem, w reżyserii i z muzyką Pawła Bitki Zapendowskiego chce rozszyfrować, co składa się na tytułowe szczęście. Tę tajemnicę chciałby niejeden poznać. Otóż szczęście to nie tylko splot korzystnych okoliczności. Jak ta, gdy pod biurem gdzie pracuje młody Wajda żona porucznika Poredy ostrzega go przed gestapo. Ani ta, gdy pewnego dnia pada deszcz i student ASP jedzie zapisać się do Filmówki. Andrzej Wajda miał umiejętność, jaka pozwoliła mu nakręcić wiele filmów, zdobyć Oscara i powiedzieć z ekranu – za Jarosławem Iwaszkiewiczem – że tatarak pachnie podwójnie. Jak młodość i pierwsza miłość. A od spodu, od korzenia mułem i początkiem śmierci. Wajda znajdował dla swoich przeżyć wyraz, kręcąc o trudnych, gorzkich sprawach filmy. Szczerze wyrażał swoją bezsilność, rozpacz, bunt, pragnienie wolności i sprawiedliwości. Również zachwyt, pasję, miłość. Wiarę w coś lepszego, co musi nadejść.

JERZY SULIK

„Miałem Wielkie Szczęście – Andrzej Wajda". Monodram o wielkim reżyserze. Premiera w Piwnicy pod Baranami, 10 maja 2019; występuje: Wojciech Gałziński; scenariusz, reżyseria i muzyka: Paweł Bitka Zapendowski; zdjęcia i wideo: Salvatore Allotta

Midrasz o postępie

MARZENA BURCZYCKA-WOŹNIAK

Zło nigdy nie zostanie unicestwione, tyle, że u końca czasów ustanie jego działanie...

bp prof. Jan Bernard Szlaga

Przestrzeń i czas pomiędzy początkiem a końcem – na różne sposoby rozumianą alfą i nie wiedzieć jaką omegą – człowiek wypełnia sobie snując opowieści. O czym była pierwsza – tego nikt nie wie. Co do drugiej – mogła ona dotyczyć zwierząt: podglądanych z ukrycia sprytnych, milkliwych siłaczy, zawsze o krok szybszych w ucieczce. Trzecia opowieść, znacząco świeższa w czasie, niemal na pewno była o bogach (w miejsce czegoś, czego się nie pojmuje). Dopiero po niej, na szarym końcu człowiek zaczął mówić o sobie.

Nomada

Kiedy życie na ziemi odkwitało po ostatnim potopie, kiedy ślady tragedii przykryły trzcina, turzyca i dzikie zboża; kiedy Eufrat wraz z Tygrysem zawróciły do swoich łożysk, a stepy i pół-pustynie mezopotamskie ponownie zaroiły się od stworzeń, osiadł tam także wędrujący człowiek. Odświeżona, nagrzana słońcem, użyźniona namułami ziemia przyjęła go i nakarmiła, przy tym – chcąc nie chcąc – musiała osłabić w nim gen wędrowania, wszak nie tak już niezbędny do przeżycia.

Do wczoraj jeszcze nomada z kijem pasterskim, wpatrzony w oddal, szukający tam zielonych pastwisk dla swych stad – kimże on był teraz, mając na miejscu wszystko, co człowiekowi potrzebne: uciszone po potopie, słodkie wody Eufratu i bujne trawy do wypasu owiec (?). Mógł na tę chwilę (przelotną, jak wszystkie inne w ciągle mutującym życiu) naiwnie zapragnąć, by tak już zostało na zawsze. Mógł też pomyśleć, że oto bogowie przekierowali go wraz z owcami do jakiegoś miejsca o cudacznej nazwie „raj" (skąd wzięła się taka w jego głowie – tego nie wiedział).

Cywilizacja

Przybyły zza gór Kaukazu i osiadły nad Eufratem lud pasterski wkrótce zamienił swoje namioty na domy z suszonych w słońcu glinianych cegieł, łąki na pola uprawne (z własnym, niezależnym od potopów, systemem nawadniającym); obok zwierząt skubiących niegdyś trawę na górskich stokach, pojawiły się te nizinne, osiadłe, hodowlane. Garncarze nauczyli się trudnić swoim rzemiosłem, wytapiacze miedzi, cyny i srebra – swoim; pierwszy raz posłużono się kołem, a w handlu zastosowano sprytny wynalazek do pilnowania towarów: matematykę.

Pod bokiem bogów zamieszkujących planety i szczyty górskie, a zajmujących się prowadzeniem wojen między sobą, nisko usytuowane mrowiska ludzkie tworzyły coraz bardziej cywilizowane, otwarte na zmiany, nowoczesne, miejskie organizmy. W każdym z nich z czasem pojawiał się tuż obok pałacu dla króla-kapłana świątynny ziggurat – kontrowersyjna wieża obrzucona wypaloną w ogniu cegłą, wycelowana przez budowniczych prosto w planety lub szczyty gór...

Wcześniej

Na niektóre z ważkich wynalazków, jak choćby obrazkowy zaczyn pisma (wraz z towarzyszącą mu magią) zanosiło się znacznie wcześniej, jeszcze przed ostatnim (lepiej o nim mówić: najnowszy) potopem. Wtedy to pomiędzy ludzkim okiem, ewoluującym mózgiem i posłuszną im ręką, zawiązać się musiała brzemienna w skutki umowa: „Zróbmyż tak, by człowiek, jedyny stworzony jako mówiący, bardziej zapanował na Ziemi".

Inni natomiast – zarówno ci stukający kopytami po skalnych uskokach, czołgający się na brzuchach w trawie, jak i pływający jako ryby w wodach obu rzek, nie chcieli niczego więcej prócz tego, co już mieli. A kiedy tak milczkiem, z wolna przeżuwali i wydalali przeżute, zdawali się być mniej ważnym ogniwem w łańcuchu stworzeń, choć wszak bardziej jeszcze poślednie musiały być wszelkie istoty zielone, bez słowa skargi znikające w ich wątpiach...

Takim oto, z góry niegdyś założonym trybem, toczyło się życie na Ziemi aż dopóty, dopóki człowiek (roślinożerca, jak wszyscy dookoła niego) nie zapolował pierwszy raz i nie zjadł mięsa. Odtąd jego mózg, karmiony pożywną treścią cudzego życia, przybierał na wadze i stawał się mu coraz to bardziej przychylny. Polujący z wdzięcznością pozyskiwali: a to dobrze naostrzony nóż z kamienia, a to (również kamienny) tłuczek do rozbijania kości, a to nowy sposób niecenia ognia, czy wreszcie łuk z szybko-lotną strzałą...

Pytanie: czy przy człowieku, kiedy miał on już w ręku nóż, tłuczek, ogień, łuk z naciągniętą sznurkową cięciwą i śmiertelnie raniącą strzałę – czy stanęło wtedy przy nim Zło w substancjalnej postaci, zwabione jakże miłym dla swojego oka widokiem? Domniemywać można, że tak, a już na pewno – bardziej tak aniżeli nie...

Z czasem (Księżyc odmienił się po wielekroć) człowiek wybrał spośród siebie takiego, który wywrócił oczami do własnego wewnętrza i stamtąd odezwał się nie swoim głosem, już jako szaman praktykujący magię. Wtedy to ze ścian jaskiń wypadły nań z furią dzieła jego ręki: bizony, tury, jelenie, byki i konie; w stadach lub pojedynczo. Byłyby go stratowały w impecie, gdyby nie zawczasu dorysowane malowidłu (z użyciem głównie ochry i kawałków zwęglonego drewna) narzędzia, mające moc przebijania i zabijania pędzącego na łeb na szyję zwierzęcego życia.

Wieża

Umocniwszy się w ambitnym trudzie panowania na Ziemi, można też zapragnąć panowania na Niebie... W jednym z miast mezopotamskich co bieglejsi w postępowym myśleniu skrzyknęli się i rzekli: „Umiemy budować, wymierzać i grodzić działki zrównywane z ziemią po każdym potopie, umiemy liczyć liczby nie tylko z użyciem kostek i palców obu rąk, ale także z użyciem przecinka. Zero nazwaliśmy zerem. Umiemy być mądrymi i zaprzestać prymitywnej magii; mamy pismo, które za nas pamięta... Wszystko to mamy, więc czas mieć więcej. Hej!".

Co powiedziawszy, zbudowali wieżę dla Ey (stwórca człowieka), wyższą od innych, bardzo wygodną, zwieńczoną łóżkiem z dziewicą dla przelotnie przysiadających bogów. Obliczyli też przyszłe oderwanie się ziggurata od Ziemi, który jako techniczny zwiadowca zawiśnie na Niebie i tak długo powisi tam sobie z planetami, jak długo zechce. Hej!

78. rocznica śmierci Witolda Hulewicza

12 czerwca 1941 roku rozstrzelany przez Niemców w Palmirach. Witold Hulewicz, pseudonim literacki Olwid, brat Jerzego – dramaturga, prozaika, malarza, grafika i Bohdana – pułkownika dyplomowanego, jednego z trzech dowódców Powstania Wielkopolskiego.

Pochodził z rodziny ziemiańskiej o tradycjach patriotycznych. Urodził się 26 listopada 1895 roku w Kościankach koło Wrześni. W wieku osiemnastu lat został wcielony do armii pruskiej i walczył na froncie zachodnim I wojny światowej we Francji i w Belgii. W okopach tłumaczył na język polski przemycane wiersze pacyfistów niemieckich. Współredagował z braćmi dwutygodnik „Zdrój", pismo literacko-artystyczne o nowatorskim w Polsce ekspresjonizmie. Brał udział w Powstaniu Wielkopolskim. W 1921 roku debiutował tomem poezji *Płomień w garści*. Należał do organizatorów wydawnictwa Ostoja w Poznaniu, promującego pisarzy polskich i zagranicznych.

Niesłychanie twórczy okres przypada na pobyt Witolda Hulewicza w Wilnie w latach 1925-1935. Redaguje wówczas „Tygodnik Wileński" pismo o ogólnopolskim charakterze. Sprawia, że Juliusz Osterwa przenosi z Warszawy do Wilna swój słynny teatr Reduta. Zakłada Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie. W klasztorze Bazylianów odnajduje Celę Konrada, w której był więziony Adam Mickiewicz. Miejsce to służy cotygodniowym spotkaniom –„Środy Literackie". Impreza ma charakter ogólnopolski a nawet międzynarodowy.

Witold Hulewicz jest organizatorem rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia. Zatrudnia dwu świetnie zapowiadających się poetów: Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Czesława Miłosza. W 1928 roku rozgłośnia wileńska nadaje pierwsze polskie słuchowisko autorstwa Hulewicza „Pogrzeb Kiejstuta". Jako tłumacz głównie literatury niemieckojęzycznej zasłużył się szczególnie przekładami twórczości Rainera Marii Rilkego, jednego z największych mistrzów słowa. Brał czynny udział w organizacji koncertów Beethovenowskich na Kresach.

Po przeniesieniu się do Warszawy kierował działem literackim w Polskim Radiu. Jego zasługą było stworzenie Teatru Wyobraźni jakim był Teatr Polskiego Radia. Słuchowiska pisali wybitni twórcy na czele z Jarosławem Iwaszkiewiczem i Jerzym Szaniawskim. W 1939 roku przemawiał przez radio do żołnierzy niemieckich oblegających Warszawę apelując do ich sumień. Stał u boku prezydenta Stefana Starzyńskiego w trakcie obrony stolicy. 10 października 1939 roku rozpoczął redagowanie i wydawanie tygodnika „Polska żyje". Aresztowany i więziony na Pawiaku przeszedł tortury w katowni Gestapo na Szucha. Nikogo nie zdradził. 12 czerwca 1941 został rozstrzelany w Palmirach.

Grób Witolda Hulewicza w Palmirach

FOT. © MAREKWU / WIKIMEDIA COMMONS

Twórczość Witolda Hulewicza jest bardzo różnorodna. W Wilnie wydał tom wierszy *Miasto pod chmurami*, tom szkiców kresowych *Gniazdo żelaznego wilka*. Efektem fascynacji dźwiękiem był tom *Sonety instrumentalne*. Beethovenowi poświęcił piękną opowieść *Przybłęda Boży*. Dziedzina tłumaczeń to duża biblioteka.

ROMUALD KARAŚ

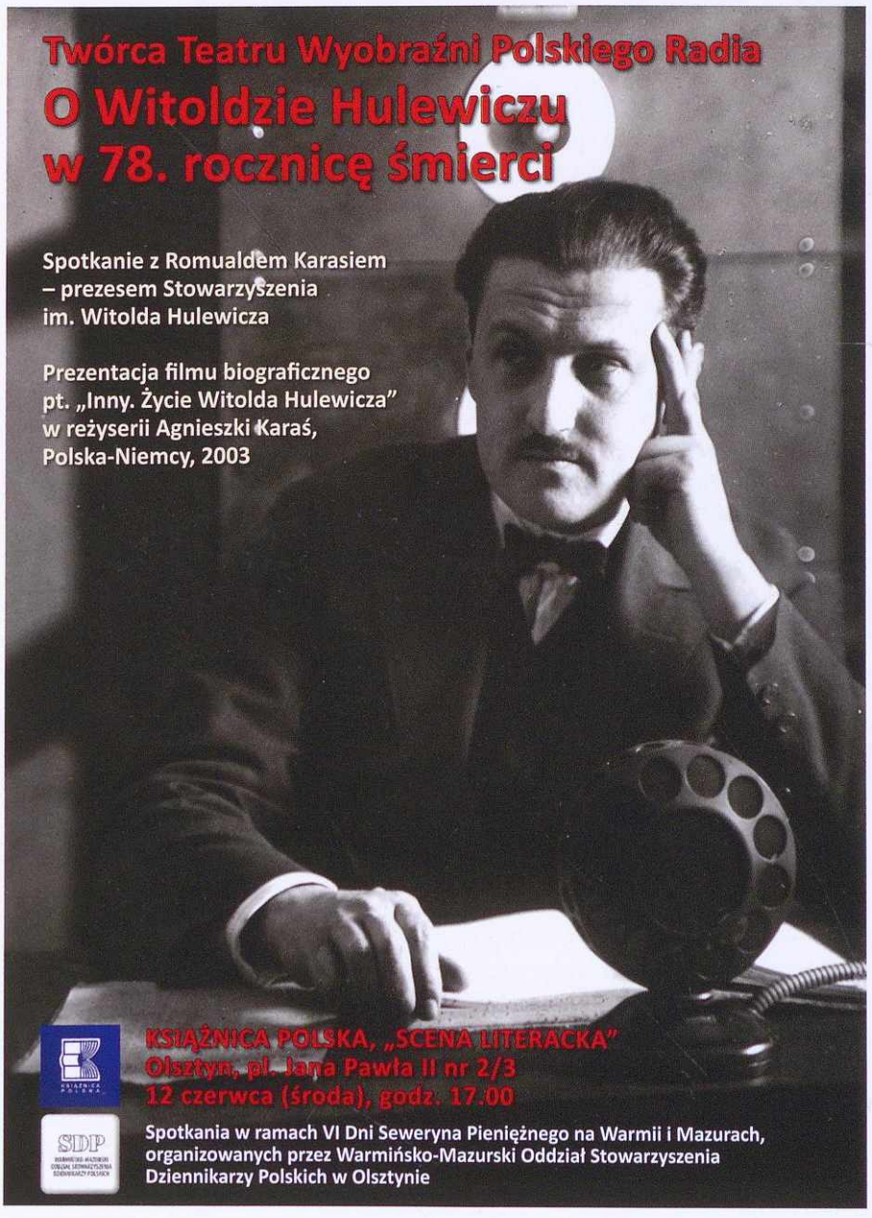

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

FOT. © ANNA DOMAŃSKA-MAKSYMOWICZ

FOT. © HANNA OKOŃSKA / WWBP

Malarstwo Wojciecha Maksymowicza

W słoneczne popołudnie, 4 kwietnia, licznie zgromadzona publiczność uczestniczyła w wernisażu malarstwa prof. Wojciecha Maksymowicza, który odbył się w Galerii Bakałarz Warmińsko-Mazurskiej Biblioteki Pedagogicznej w Olsztynie.

Profesor Wojciech Maksymowicz to znany w Olsztynie, w Polsce i na świecie neurochirurg, profesor zwyczajny w dziedzinie nauk medycznych, minister zdrowia w rządzie Jerzego Buzka, twórca i prorektor Collegium Medicum Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, kierownik Kliniki Neurochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego, autor ponad 120. publikacji i doniesień naukowych. W Galerii poznaliśmy inną odsłonę życia profesora, artysty malarza, pasjonata tworzenia sztuki pięknej. Podczas komentarza autorskiego przy prezentacji medialnej dowiedzieliśmy się o różnych kontekstach powstawania prac, inspiracji rodzinnych oraz paralelnych dróg twórczych profesora, sztuki medycznej i malarskiej.

Na wystawie obejrzeliśmy kilkadziesiąt prac z różnych okresów twórczości profesora, o tematyce religijnej, egzystencjalnej, krajobrazy i architekturę, akwarele i oleje. Wśród nich „Droga Krzyżowa" (kilka prac, wszystkie zdobią dziś kaplicę Szpitala Uniwersyteckiego w Olsztynie), tajemniczy krajobraz z trollem czy młodzieńczy „Autoportret". Charakterystyczną pracą zwracającą szczególną uwagę jest obraz olejny nawiązujący do mandali „Koło życia", który jest malarską autobiografią profesora.

W pięknie wydanym katalogu syn profesora – Stanisław napisał: „Malarstwo profesora Maksymowicza to na pewno bardzo intymna forma wyrażenia siebie. [...] Jego «bycie» malarzem zaskakuje. Bo czyż tata nie jest człowiekiem kojarzonym przede wszystkim z Gmachem Medycyny, w którym czuje się najlepiej... Oddanie chorym ludziom pochłonęło całe jego życie... Sztuka zaś to jego podróż w rzeczywistość alternatywną, której albo nigdy nie było, albo która istnieje tylko chwilę, aż ostatnie krople akwareli wsiąkną na zawsze w gruby papier. Ciekawie układają się ścieżki życia".

Wystawa i katalog jej towarzyszący powstały z inicjatywy Stowarzyszenia Przyjaciół Olsztyńskiego Collegium Medicum ACMO. Podczas wernisażu wystąpił mistrzowski duet olsztyńskich muzyków: saksofonista Zbigniew Siwek i gitarzysta Jarosław Śpiewankiewicz.

ELŻBIETA FABISIAK

FOT. © HANNA OKOŃSKA / WWBP

Małgorzata Chomicz z nagrodą główną w Tuluzie

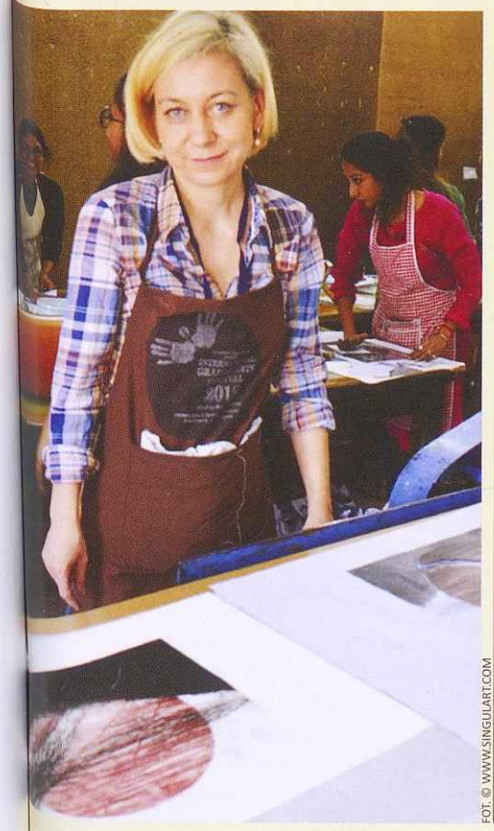

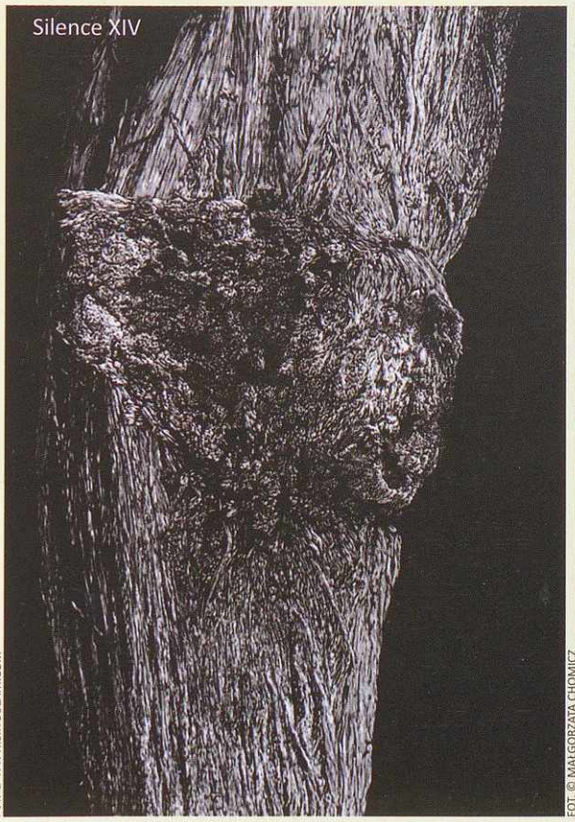

FOT. © WWW.SINGULART.COM

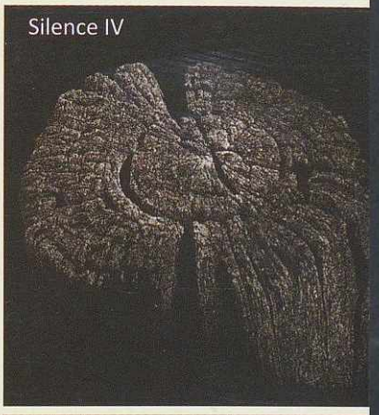

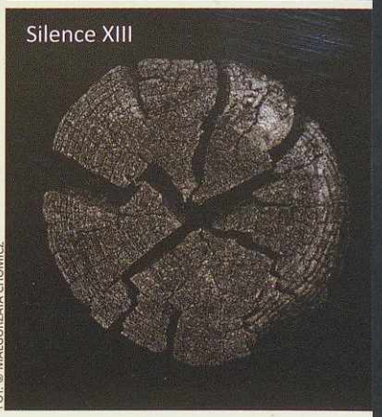

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

Linoryty z cyklu „Silence" prof. dr hab. Małgorzaty Chomicz z Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego zdobyły nagrodę główną Europejskiego Triennale Grafiki Współczesnej zorganizowanego przez Stowarzyszenie ESTAMPADURA w Tuluzie.

Triennale prezentuje współczesną grafikę. Służy też promocji oraz jest miejscem spotkań europejskich artystów, uprawiających grafikę artystyczną. Do konkursu zostali zaproszeni artyści graficy z Portugalii, Belgii, Niemiec, Hiszpanii, Włoch i Francji. Prof. Małgorzata Chomicz, artystka wykładowca w Instytucie Sztuk Pięknych Wydziału Sztuki UWM posiadając podwójne obywatelstwo (polskie i włoskie) wzięła udział w konkursie jako członek Stowarzyszenia Współczesnych Grafików Włoskich. Jury konkursu przyznało nagrodę główną jej grafikom wykonanym w technice linorytu w cyklu „Silence".

Nagroda przyznana profesor Chomicz obejmuje indywidualną, retrospektywną wystawę w Galerii Miejskiej „Le Majorat" w Villeneuve-Tolosane oraz pokrywa wszystkie koszty z tym związane. Wystawa we Francji odbędzie się w czerwcu 2020 roku.

To kolejny sukces naszej artystki. W 2018 roku grafiki prof. Małgorzaty Chomicz zostały wybrane do cyklu wystaw współczesnej grafiki włoskiej „Italian-Irish connection". Jej prace znajdują się m.in. w zbiorach: Muzeum Grafiki – Acqui Terme, Włochy, Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczki" w Kielcach, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Biblioteki Aleksandryjskiej w Egipcie, Graver Maintenant – Dreux we Francji oraz prywatnych (Chiny, USA, Niemcy, Włochy, Polska, Kanada, Słowenia, Węgry, Szwajcaria, Indie, Nepal). Współpracuje na stałe z prestiżowymi galeriami graficznymi: „PG Printmaker Gallery" w Australii oraz „PrintSolo" w Anglii.

Małgorzata Hołubowska / UWM

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Wiwat Maj!

Z okazji Święta Narodowego Trzeciego Maja, Dnia Polonii i Polaków za Granicą oraz Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej odbył się cykl spotkań „Wiwat Maj", których organizatorami była Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", Fundacja Polonia Union, Muzeum Niepodległości w Warszawie i Stowarzyszenie Współpracy Polska – Wschód.

Podczas uroczystości Stanisław Kowalski, prezes Zarządu Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", otrzymał dyplom „Za aktywną działalność na rzecz wsparcia Polonii i Polaków poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej", a także statuetkę Fundacji Polonia Semper Fidelis za ufundowanie Pomnika Polonii.

Podczas spotkań rys historyczny uchwalenia Konstytucji 3 Maja przybliżył historyk Jan Engelgard z Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Uroczystość 24 kwietnia w Centralnej Bibliotece Rolniczej im. Michała Oczapowskiego uświetnił koncert polskiej muzyki klasycznej w wykonaniu instrumentalistów: pianistki Moniki Polaczek-Przestrzelskiej oraz skrzypka Macieja Przestrzelskiego. W koncercie wziął udział także utalentowany uczeń muzyków, dwunastoletni skrzypek Leon Marut. Wydarzeniu towarzyszyła wystawa obrazów Anety Skarżyński „Opowieści brzozowe".

Natomiast 8 maja, w Bibliotece im. ks. Jana Twardowskiego na warszawskiej Pradze, wystąpiła śpiewaczka operowa Aneta Skarżyński przy akompaniamencie pianistki Marii Skurjat-Silvy.

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Współpraca z FaniMani

Wspieraj działania Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" podczas codziennych zakupów w Internecie.

Pomaganie jest proste. Jak to działa? Wejdź na www.fanimani.pl, zarejestruj się lub zaloguj, wskaż Fundację Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" jako organizację, którą wspierasz. Następnie wybierz sklep internetowy, w którym chcesz zrobić zakupy i kliknij jego logo; po przekierowaniu na stronę sklepu robisz zakupy, jak zwykle. Płacisz tyle, co zawsze i ani grosza więcej. Średnio 2,5 proc. wartości zakupów wspiera naszą działalność.

Dziękujemy za wsparcie!

Fundacja na Warszawskich Targach Książki

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Maj jest miesiącem książki i czytelnictwa. Miłośnicy literatury tłumnie uczestniczą w Warszawskich Targach Książki, które tradycyjnie odbywają się na Stadionie Narodowym w Warszawie. Są okazją do spotkań z autorami, zdobycia autografu, kupna nowości wydawniczych. Co roku Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" bierze udział w tym „święcie książek", prezentując swoje wydawnictwa i promując działalność charytatywną.

Ideę pomagania wspierają aktorzy, gwiazdy muzyki i Internetu, które na Kanapie Literackiej czytają bajki i wiersze z książek wydanych przez Fundację, promując w ten sposób czytelnictwo i dobroczynność. W tym roku z dziećmi spotkali się: Lucyna Malec, Joanna Moro, Antek Smykiewicz i Janek Dąbrowski. Na zakończenie goście chętnie rozdawali uśmiechy, autografy i rozmawiali z dziećmi.

Spotkanie prowadziła Małgorzata Karolina Piekarska – dziennikarka i pisarka, autorka popularnych książek dla dzieci i młodzieży.

Podczas Targów Fundacja zaprezentowała wydawnictwa zarówno dla najmłodszych, jak i starszych czytelników. Książki można było zakupić w atrakcyjnych cenach. Wśród autorów publikacji dziecięcych wydawanych przez Fundację Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" znajduje się wielu znanych i cenionych autorów, m.in. Agnieszka Frączek, Michał Zaremba czy zmarła rok temu Urszula Kozłowska.

W ofercie dla dorosłych czytelników znalazły się m.in. bogato ilustrowane albumy *Ogrody świata*, wszystkie części *Trylogii Platonium* (*Atrybuty życia*, *Arkana ducha i materii*, *Afirmacja miłości i radości życia*), *Anatomia życia: Sukces* oraz nowość wydawnicza *Twórcy wizerunku Polonii* – kolejna, po Twórcach wizerunku Polski, część serii patriotycznej Wspólnoty „Zdążyć z Pomocą".

MS

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Jak badać wizualność?

MAREK SOKOŁOWSKI

Czy możliwa jest „krytyczna metodologia badań nad wizualnością"? Niektórzy badacze społeczni przekonują, iż widzenie jest najbardziej podstawowym sposobem postrzegania zmysłowego, widzenie poprzedza słowa, skądinąd wiadomo, że dziecko patrzy i rozpoznaje, zanim nauczy się mówić. Nasycenie przedstawieniami wizualnymi osiągnęło dziś, w epoce mediów cyfrowych, niespotykany nigdy wcześniej poziom. Czy jednak jako odbiorcy i konsumenci „wizualności" jesteśmy właściwie odczytać obrazy, które ze zdwojoną siłą atakują nas nieprzerwanie każdego dnia? To trudna sztuka, ale nie niemożliwa, o czym przekonuje w swojej książce *Interpretacja materiałów wizualnych. Krytyczna metodologia badań nad wizualnością* Gillian Rose (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, ss. 335).

Gillian Rose jest profesorem geografii kulturowej (tak, tak, istnieją takie kierunki studiów i specjalności badawcze, nieznane w Polsce), pracuje na brytyjskim Open University, wcześniej była związana z uniwersytetami w Londynie i Edynburgu. Jej właściwą specjalnością badawczą jest kultura wizualna, w tym wykorzystanie materiałów wizualnych w badaniach socjologicznych i kulturowych. Co to oznacza w praktyce?

Zarówno antropologia, jak i geografia humanistyczna używają przedstawień wizualnych jako narzędzi badawczych od początku swego istnienia tych dyscyplin akademickich; są to głównie fotografie, diagramy i filmy w wypadku antropologii oraz zdjęcia, mapy, szkice sytuacyjne w wypadku fotografii. Inną subdyscyplinę stanowi młodsza od nich socjologia wizualna, wykorzystująca jako „materiały zastane" fotografie, filmy, reklamy, seriale telewizyjne, strony internetowe, plakaty i komiksy.

Krytyczna metodologia badań nad wizualnością, którą proponuje Rose, w wielkim skrócie składa się z trzech istotnych elementów.

Po pierwsze **poważnie podchodzi do obrazu** gdyż, jak stwierdza socjolog „Historycy sztuki bardzo różnych orientacji nadal skarżą się – często słusznie – że badacze społeczni nie patrzą na obrazy z wystarczającą uwagą. Uważne patrzenie na przedstawienia wizualne jest niezwykle istotnie i konieczne, ponieważ nie można ich w całości zredukować do kontekstu".

Po drugie **rozważa uwarunkowania społeczne i oddziaływania obiektów wizualnych**, albowiem „oddziaływanie praktyk kulturowych odgrywa kluczową rolę w procesie wyrażania znaczeń odnoszących się do świata, negocjowania konfliktów społecznych oraz wytwarzania podmiotów społecznego działania".

Po trzecie **bierze pod uwagę sposób patrzenia na obrazy**, jednak, jak uświadamiają inne, liczne prace badawcze na ten temat, „sposoby widzenia są zmienne historycznie, geograficznie, kulturowo i społecznie" (s. 32).

Książka, będąc pracą naukową, posiada również swój walor praktyczny, rozpisany w dwunastu rozdziałach. Już samo zacytowanie ich tytułów, powinno dać Czytelnikom „Bez Wierszówki" przedsmak tego, z czym mogą obcować w trakcie lektury. Rozdział 3 to „Dobre oko. Analiza obrazów przy zastosowaniu interpretacji kompozycyjnej", rozdział 4 nosi tytuł „Analiza treści. Opowiadanie o tym, co (sądzisz, że) widzisz", 5 zaś to „Semiologia. Obnażanie przesądów pod gładką powierzchnią piękna". Prawda, że brzmi intrygująco?

Zaświadczam, iż lektura dostarcza wielu przyjemności, w tym wizualnej, gdyż polecana monografia zaopatrzona jest w liczne fotografie, tabele, ilustracje, mające lepiej uzmysłowić czytelnikowi przedstawiany i opisywany obszar.

Jako konkluzję przytoczmy na koniec jedną z refleksji autorki *Interpretacji materiałów wizualnych*, która uważa, że przedstawienia wizualne nigdy nie są niewinne, zawsze konstruuje się je za pomocą rozmaitych praktyk, technologii i wiedzy, które będą oddziaływać na odbiorcę. Potrzeba zatem krytycznego podejścia do przedstawień wizualnych, które uwzględniłoby działanie obrazu, zarazem analizowało praktyki społeczne związane z patrzeniem na obraz oraz ich oddziaływanie. Dlatego też – to już moja propozycja – wybierając się do kina na dany seans filmowy, przygotowując się do oglądania w telewizji swojego ulubionego serialu, sięgając po konkretną gazetę, tygodnik, miesięcznik, przeglądając czyjś profil w mediach społecznościowych, miejmy świadomość, iż oglądane obrazy działają nie tylko w swoich reżimach wytwarzania, ale też, co ważniejsze – reżimach odbioru. I nigdy nie są „niewinne", co starała się wykazać Gillian Rose.

Okiem satyryka

Kwestia interpretacji

Europosłów Polska cała,
Po raz czwarty wybierała.
Wybór jest powszechnie znany,
Każdy czuje się wygrany,
To strategia doskonała.

Powyborcze refleksje

Już jesteśmy po wyborach,
Więc na relaks przyszła pora.
Potem będzie czas rozliczeń,
Za wyborcze obietnice.
Trudno. Trzeba się uporać.

ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Grzech zaniechania

TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI

Tak w sprawie lustracji, jak i w obecnej sytuacji, władze kościelne wciąż dokonują grzechu zaniechania, czyli latami nie reagują na negatywne zjawiska i nie oczyszczają szeregów kapłańskich. Dochodzę do tego wniosku po emisji filmu Tomasza Sekielskiego.

Jeden z nieżyjący już dziś arcybiskupów powiedział mi po wydaniu książki *Księża wobec bezpieki*, że sprawa akt duchownych współpracujących z komunistyczną bezpieką, została zaniedbana przez księży biskupów na początku lat 90. Wtedy bowiem polski episkopat, gdyby chciał mógł dostać wszystkie akta do wglądu. Ale nie chciał. Arcybiskup mówił też, że na posiedzeniu episkopatu abp Bronisław Dąbrowski, ówczesny sekretarz Konferencji, przyniósł gruby notes, w którym wynotowane były z tych akt nazwiska tajnych współpracowników SB, po piętnaście z każdej diecezji. Zeszyt krążył po sali, niektórzy z tych, co go czytali, czerwienieli na twarzy, ale ostatecznie zadecydowali, że nic z tym dalej nie zrobią. Co więcej, niektórzy z tajnych współpracowników jak np. TW o ps. „Dąbrowski" (ks. Wiktor Skworc), TW o ps. „Filozof" (ks. Józef Życiński) czy TW o ps. „Fermo" (ks. Juliusz Paetz) zostało arcybiskupami. Jednak nie dało się tego całkiem zatuszować i wszystkie te problemy wybuchły ze zdwojoną siłą po kilkunastu latach.

Przypominam ten fakt dlatego, że brak reakcji w sprawie lustracji, nazywany często „grzechem zaniechania", żywcem przypomina brak reakcji w sprawie pedofilii niektórych duchownych. Dochodzę do tego wniosku po emisji filmu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu".

W filmie tym wstrząsnęły mną przede wszystkim relacja ofiar i konfrontacje z krzywdzicielami. Także zaniechania i niekonsekwencje władz kościelnych. Gdyby pod koniec ubiegłego wieku, gdy ten problem wybuchł z całą siłą w Stanach Zjednoczonych, polscy księża biskupi podjęli odpowiednie kroki, to opracowane zostałyby odpowiednie procedury, a pedofile zostaliby wydaleni ze stanu kapłańskiego. Zapobieżono by w ten sposób kolejnym tragediom, jakie ma na swoim sumieniu np. ukazany w filmie ks. Andrzej Srebrzyński. Pierwszych molestowań nieletnich chłopców dopuścił on się ponad 25 lat temu jako wikary. Pomimo tego dalej funkcjonował jako duchowny, a jego przełożony, biskup toruński Andrzej Suski przenosił go z parafii na parafię. Było to sprzeczne tak z wszelkimi normami zalecanymi przez Watykan, jak i zwykłą chrześcijańską moralnością. Czemu przewodniczący Episkopatu i Ksiądz Prymas nie reagowali na takie postępowania swego brata w biskupstwie?

Zaniedbania widać także w sprawie nieżyjącego już ks. Franciszka Cybuli, byłego kapelana prezydenta Lecha Wałęsy, któremu parę miesięcy temu abp Sławoj Leszek Głódź urządził okazały pogrzeb. Ta sprawa ma podwójne dno. Przede wszystkim stosunki homoseksualne z dzieckiem. Po drugie, tajna współpraca z SB pod pseudonimem „Franko". Kto jak kto, ale osoba mająca dostęp do głowy państwa polskiego powinna być prześwietlona „na dziesiątą stronę", tak przez władze kościelne, ale i państwowe. Co zrobił więc Urząd Ochrony Państwa? Czy pan prezydent zdawał sobie w ogóle sprawę z tego, kim jest jego zaufany współpracownik? Dla dobra państwa polskiego te pytania nie powinny pozostać bez odpowiedzi.

Najbardziej jednak zaskoczyła mnie sprawa ks. Eugeniusza ze zgromadzenia zakonnego Księży Marianów, kustosza i budowniczego sanktuarium maryjnego w Licheniu. Po pierwsze dlatego, że ofiarą jego molestowań pedofilskich był jeden z księży, który doznał tego w dzieciństwie. I to dopiero zeznania tej ofiary uruchomiły procedurę kanoniczną w Rzymie. Po drugie, zgromadzenia zakonne są wspólnotami o więzach bardzo rodzinnych, w których „wszyscy o wszystkim wiedzą". Nie było więc możliwe, aby o skłonnościach i czynach ks. Eugeniusza nie wiedzieli inni jego współbracia, zwłaszcza że ze względu na swoją rolę w sanktuarium był on osobą „na świeczniku". Po trzecie, w latach 90. najwyższym przełożonym Księży Marianów, czyli generałem, był ks. Adam Boniecki, który choćby z racji swoich funkcji w piśmie watykańskim „L'Ossevatore Romano", a później w krakowskim „Tygodniku Powszechnym", miał nadzwyczaj liczne kontakty w Kościele powszechnym i doskonale orientował się w problemie księży-pedofili. Oczywiście nie podejrzewam go, że cokolwiek tuszował, ale rodzą się liczne pytania. Czy znając od dziesiątek lat owego współbrata wiedział o jego skłonnościach. Czy jako generał opracował odpowiednie procedury, które wydalałyby pedofilów w szeregów zakonnych?

Nie chcę oceniać filmu Sekielskiego od strony warsztatu, bo nie jestem krytykiem filmowym. Niektóre sceny mnie raziły jak np. obalenie pomnika ks. Henryka Jankowskiego, bez odpowiedniego wyjaśnienia widzom, o co chodziło, i czy ów duchowny był winny czy nie. Także pokazanie przewożenia do karetki zwłok dopiero co zmarłego ks. Cybuli. Jednak film jest ważny. Czy coś zmieni? Obawiam się, że niewiele.

Innym bowiem bardzo ważnym problemem, wciąż zatajanym (i niepokazanym ani w tym filmie, ani w filmie „Kler"), jest działalność tzw. homo-lobby, w tym molestowanie kleryków i młodych księży przez swych przełożonych. A to jest praprzyczyna wielu pęknięć w Kościele. To nie tylko wciąż niewyjaśnione skandale ze wspomnianym abp. Paetzem i ich tuszowanie przez nuncjusza papieskiego, późniejszego prymasa, abp. Józefa Kowalczyka, ale i wiele innych spraw. Jeżeli i tutaj dojdzie do „grzechu zaniechania", to kryzys będzie coraz większy.

12 maja 2019

Uderz w Kościół pedofilem

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS

Jako korespondentka w Londynie wiele się napatrzyłam na bezpardonową wojnę z Kościołem, zwłaszcza katolickim – Labour Party, Liberalni Demokraci, lewicowe media, establishment teatralny i filmowy. Na filmy: „Ksiądz" Antonii Bird, „Liam" i „Tajemnica Filomeny" Stephena Frearsa, „Siostry magdalenki" Petera Mullana – obawiając się, że ta fala antychrześcijańskiego hejtu kiedyś dotrze i do nas. I dotarła.

Liczne profanacje kościołów i cmentarzy, paszkwilancki film „Kler", wystąpienie Leszka Jażdżewskiego, plakaty i banery z Matką Boską w gejowskiej aureoli, „Chryja pod Radiem Maryja", a teraz dokument Tomasza i Marka Sekielskich „Tylko nie mów nikomu". Jest takim samym dokumentem jak lewackie, biorące tylko jedną stronę sporu, „dokumenty" znanego amerykańskiego skandalisty Michaela Moore'a.

Wojna z Kościołem, zwłaszcza katolickim, trwa przynajmniej od 30-40 lat – że przypomnę tylko sprawy ks. Billa Carneya czy o. Jima Grennana w Irlandii, bp. Roberta Finna w Stanach Zjednoczonych czy serię afer w Australii. Mechanizm jest zwykle podobny: lewicowe media „wpadają na ślad afery pedofilskiej", trop przejmują lewicowi politycy i artyści, wybucha skandal. Trafiony, Kościół w kolejnym państwie zatopiony. Oczywiście, przykłady pedofilii zdarzają się pośród księży, podobnie zresztą jak w innych grupach zawodowych – patrz: niedawna afera pedofilska w BBC, gdzie na karę bezwzględnego więzienia zostało skazanych 5 znanych dziennikarzy – i muszą być wymiecione żelazną miotłą. Ale zasada stosowania zbiorowej odpowiedzialności, ukrywanie wielu argumentów sporu, pokazuje, że jest to akcja celowa, zorganizowana wedle tych samych zasad i przez te same środowiska. Dowodem niechaj będzie jeden z rozdziałów mojej książki *Róg Piccadilly i Nowego Świata* z 2014 roku, gdzie w rozdziale „Chłopcy do bicia brytyjskiego kina" opisuję falę filmów antykatolickich na Wyspach, zrealizowanych – jak dokument braci Sekielskich w Polsce – przez liberalne środowisko filmowe. To tytułem wstępu.

Premiera na YouTube prawie tydzień temu, jak dotąd 14 mln wyświetleń. Temat nr 1 debaty publicznej na ostatnim wirażu kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. I proszę mi nie wmawiać, dziennikarzowi z wieloletnim stażem, że ten termin jest przypadkowy, bo nie jest. Takich przypadków w mediach nie ma. Czy należało ten pożal się Boże dokument oglądać? Jak w przypadku „Kleru", wedle woli i ochoty, tyle że recenzent musi. Więc powtórzę, jest to propaganda udająca dokument – dokładnie wedle receptury „Fahrenheit 11.9" Michaela Moore'a.

Nagłośniono kilka przypadków jednostkowych, uogólniono je i zastosowano metodę zbiorowej odpowiedzialności, zero kontekstu – np. że księża stanowią jedynie 3 proc. znanych przypadków, odcięto zjawisko pedofilii od homoseksualizmu – choć statystyki twierdzą, że ponad 90 proc. pedofilii, to geje. Chodziło oczywiście o to, aby nie zrobić krzywdy środowiskom LGBT, ale jak bardzo takie postawienie sprawy deformuje całe zjawisko!

Nie było mowy o „lawendowej mafii", która blokuje samooczyszczenie się Kościoła, ani o celebrytach-pedofilach ze środowisk artystycznych jak Roman Polański, którego część środowiska filmowego broniła z uporem wartym lepszej sprawy. O dyrygencie Poznańskich Słowików, o znanym psychoterapeucie Andrzeju Samsonie, o nauczycielu tańca ze Słupska, rządzonego wtedy przez Roberta Biedronia, o katechecie z poznańskiego gimnazjum, związanym z Platformą Obywatelską, wielkiej aferze pod kryptonimem „Dworzec Centralny", w która uwikłani byli znany reżyser, trzech polityków, kilku aktorów, wiceszef jednej z krajowych gazet i dwóch bardzo znanych dziennikarzy. Na skutek śledztwa dziennikarskiego „Wprost", a potem dokumentu Sylwestra Latkowskiego „Pedofile", doszło do procesów, kiedy to okazało się, że „gangu pedofilskiego nie było", za to odnotowano „pornografię dziecięcą" i ostatecznie skazano kilka płotek.

Cały ogień w filmie Sekielskich został skierowany na Kościół – czy to Państwu nic nie mówi? Mnie, byłemu krytykowi filmowemu, który choćby na festiwalu w Lipsku naoglądał się twardej propagandy – i owszem. No i *last but not least* przez cały czas trwania długiego filmu Sekielscy nie znaleźli czasu, aby poinformować, że większość przypadków, to księża zarejestrowani przez Służbę Bezpieczeństwa jako TW. I ksiądz Dariusz Olejniczak, i ksiądz Cybula, i ksiądz Eugeniusz ze Zgromadzenia Księży Marianów. Czy naprawdę jest to informacja mało znacząca? A ja myślę, że bardzo ważna, bo przecież to renegaci, donoszący na swoje środowisko, a w przypadku księdza Cybuli – jakimi informacjami mógł służyć SB będąc spowiednikiem prezydenta Rzeczypospolitej, w dodatku znanego ze swego długiego języka? Czy ta informacja nie zasłużyła sobie na uwagę autorów filmu czy też umyślnie ją zataili. Głosuję za drugą opcją.

Co robi w odpowiedzi Kościół? Watykan opracował właśnie nowe „zasady pracy z dziećmi i z młodzieżą", papież Franciszek znów przeprasza, Prymas Polski Wojciech Polak przeprasza, arcybiskup Stanisław Gądecki zarządza posiedzenie Konferencji Episkopatu, pełna mobilizacja. I dobrze. A czy środowiska LGBT także zastanawiają się nad nowymi zasadami pracy swoich kolegów z dziećmi i z młodzieżą? Jakoś moderować międzynarodowe lobby homoseksualne, „lawendową mafię"? Nie widać, nie słychać. Natomiast rząd w ciągu zaledwie kilku dni od pojawienia się „Tylko nie mów nikomu" przygotował nowelizację, zaostrzającą prawo karne dla pedofili. Od 5 lat do dożywocia w szczególnie drastycznych przypadkach, a jeśli zachodzi przypadek powierzenia dziecka dorosłemu – nauczyciel, trener sportowy, harcmistrz, ksiądz – od 8 lat wzwyż. Likwiduje się zapis o przedawnieniu podobnych przypadków oraz „zawiasy".

Ale fakty sobie, a opozycja sobie. Już przystąpiła do totalnego ataku na rząd. Że za szybko reaguje, przez co może powstać ustawa wadliwa, że dotąd nie zrobił nic, żeby „bronić polskich dzieci przed pedofilami". Zapominając, że PO ostro protestowała przeciw ujawnieniu rejestru pedofili – co PiS, korzystając ze swojej większości w Sejmie, szczęśliwie przeprowadził. Argumenty Platformy były typowo lewicowe – naruszenie dóbr osobistych, w tym kryminalisty, „stygmatyzowanie ofiar" i twierdzenie, że „zaostrzenie kary nie zmniejsza zjawiska" – co jak mówią przykłady z pięciu kontynentów nie jest prawdą. Na koniec premier Ewa Kopacz jasno wyraziła opinię PO: „Nie rekomenduje się projektu do dalszych prac legislacyjnych". Najciekawsze jest to, że oto szef Grzegorz Schetyna zapowiada, że „Koalicja Europejska obroni polskie dzieci przed pedofilami", a były minister sprawiedliwości tej partii Zbigniew Ćwiąkalski już protestuje „przeciw zbyt wysokim karom nowej ustawy", podobnie koalicjantka Katarzyna Lubnauer, która jest za utrzymaniem „zawiasów", zawieszenia kary dla kryminalisty, „bo co robić, jeśli 15-latka

prześpi się z 16-latkiem" – jakby podobne marginalia stanowiły sedno problemu. Naturalnie, i Platforma, i Nowoczesna ostatecznie zbojkotowały głosowanie.

Czy to znaczy, że Kościół nie ma przed sobą ciężkiej pracy w misji samooczyszczenia? Ma. Choćby etap kwalifikacji kandydatów na kleryków. Dziś odpada około 20 proc., więc może należy w przyszłości uważniej eliminować jednostki niedojrzałe emocjonalnie, mające kłopoty z seksualnością? A potem reagować szybciej i energiczniej. Ale to samo zadanie stoi przed innymi grupami zawodowymi: nauczycielami, coachami sportowymi, harcerstwem, środowiskami artystycznymi. Przecież Roman Polański nadal jest honorowym obywatelem Krakowa i ma swoją gwiazdę na deptaku w Łodzi. W istocie tylko Kościół zareagował na wezwanie i czekamy na reakcję kolejnych grup zawodowych. No i jeśli żądamy lustracji od naszego Kościoła, co powinno nastąpić, to kiedy nastąpi lustracja środowiska sędziowskiego i dziennikarzy? Czy nie ma stacji telewizyjnych, założonych nie bez pomocy służb specjalnych? Czy telewizja, z którą Sekielski był wiele lat związany, do tej grupy przypadkiem nie należy? A politycy? A aktorzy? Jak wielu z tych, którzy dziś wskazują na księży palcem jeszcze się nie rozliczyło ze współpracy z SB, z oskarżeń m.in. o pedofilię czy obu zarzutów?

Kiedy więc film braci Sekielskich byłby dokumentem? Gdyby zrobili rzecz o zjawisku pedofilii, i o tym, że natura ludzka, czy w garniturze, czy w sutannie może być paskudna. Obiektywizm, statystyki, sytuacja w Polsce, na świecie. Tego nie ma ani na lekarstwo. Różne kraje na swój sposób radzą sobie z tym rodzajem przestępczości. W Wielkiej Brytanii od 1977 roku funkcjonuje Sex Offenders Register. W 2002 roku po brutalnym zabójstwie na tle seksualnym dwóch dziewczynek, „News of the World" zaczął publikować nazwiska i fotografie przestępców seksualnych. Na przykład w Stanach Zjednoczonych informuje się sąsiadów o zamieszkaniu w okolicy pedofila. A skazani na karę powyżej 30 miesięcy, muszą do końca życia informować policję o miejscu swego pobytu.

Na koniec apel do Parlamentu o jak najszybsze przyjęcie i implementację noweli, zaostrzającej kary dla pedofili. Apel do Kościoła o odwagę i rozwagę, a do społeczeństwa – aby dobrze zrozumiało intencje „dokumentu" Sekielskich, jego rolę w przedwyborczej walce politycznej liberałów z konserwatyzmem, a w istocie o przyszły kształt Polski i Europy. I, potępiając samą patologię, w Kościele i poza nim, nie pozwolili odebrać sobie ani zaufania, ani wiary.

17 maja 2019

Pedofilizacja debaty publicznej

KRZYSZTOF PRENDECKI

Kampania do Europarlamentu w toku. Najważniejsze tematy medialno-polityczne skupiają się na: przyjęciu waluty Euro, wspólnej polityce fiskalnej i stanowisku UE w wojnie handlowej USA – Chiny.

Że co, że nie? W sumie to po jakiego grzyba jadalnego debaty o tematach mało istotnych. Najważniejsze jest przecież troska, o zapewnienie blisko 100 tys. złotych miesięcznie – 52 szczęśliwcom. Górnolotnie zwanych wybrańcami narodu, którzy zasiądą w centrum europejskiej idylli czy też brukselskiego nihilizmu/zgnilizmu. Podrzucone paliwo światopoglądowe w zupełności wystarczy, abyśmy się „pięknie" poróżnili w temacie Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli, czy też skłonnościom seksualnych co poniektórych „czarnych". W tym pierwszym przypadku, prawie wszyscy skupili się na kolorach, a mało kto zauważył, coś co powinno bardziej wierzącego zdenerwować. Galerią dla plakatowej artystki stały się przenośne plastikowe sławojki i osiedlowe śmietniki.

Podziały są takie jak zwykle. Przewidywalne. Nudzące. Co prawda, zdarzają się głosy ludzi Kościoła, którzy temat próbują potraktować niezwykle poważnie (ks. Isakowicz-Zaleski, red. Terlikowski, ks. Prusak). Ale główny nurt przekazu pozostaje w swoim stałym, za przeproszeniem, korycie. Od lat.

Mam przed sobą wybór tekstów prasowych pt. *Spór o Polskę 1989-99* zebranych i ułożonych przez socjologa Pawła Śpiewaka. Tak, tak wiem, można już piszącego te słowa zdzielić po łbie, przecież to były poseł PO i dyrektor „obcego" Instytutu Historycznego. Ale wybór tekstów od prawa do lewa, niezwykle obiektywny. Mamy tam „Rozdział V" o Kościele i ponad sto stron tekstów od abp. Michalika po red. Michnika. Od „Nie" do „Gazety Polskiej". W skrócie: dla każdego coś przerażającego. Teksty ponadczasowe, aktualne, można w zasadzie nie podawać dat publikacji.

Abp Adam Lepa pisze dwadzieścia pięć lat temu w „Niedzieli": „«Pięć lat zdrowej krytyki» oblężonej twierdzy": „Propaganda antykościelna z takimi jej skutkami, jak antagonizm prowadzący do agresji czy skuteczne odwracanie uwagi od spraw istotnych dla narodu, przestaje być jedynie prywatnym problemem Kościoła. Niech niepokoi szerokie kręgi społeczeństwa".

Budzi niepokój nadal, gdyż sprawy Kościoła interesują bez mała wszystkich. Tych co do niego tylko „chodzą", tych którzy w nim rzeczywiście doznają przeżyć duchowych, tych co na niego złorzeczą i życzą jak najgorzej. Różne narracje są jasne jak słońce, a promienie ideologii padają niezwykle równomiernie. Młodym ludziom, którzy coraz częściej oddalają się od kościelnej instytucji, ikoną rozbawienia i pierwszym skojarzeniem pozostaje ojciec doktor dyrektor z Torunia. Dla części starszych, twierdza jest niezwykle potrzebna nadal. Przed złowrogim oblężeniem „Gazety Wyborczej" i TVN-u.

Tematem przewodnim w tym tygodniu, stali się bezapelacyjnie bracia Sekielscy. Zachodzi pytanie, czy choć na chwilę da się spokojnie porozmawiać, o niewątpliwym problemie gorszenia, molestowania i krzywdzenia. Bez przyklejania łatki katola czy ateusza, sugerowania wrogiej czy przychylnej opcji. Do tej pory obyło się jeszcze przed atakiem *ad personam* nad Tomaszem Sekielskim. A można byłoby przecież wyciągnąć „aferę taśmową" sprzed lat i partyjną ustawkę obalającą rząd. Jednak programy głośnego redaktora, były emitowane jeszcze niedawno w TVP. Na przykład w dokumencie o tym gdzie zmierza Szwecja, mamy kawał dobrej dziennikarskiej roboty. Jest i ksiądz, i rabin. Pojawia się muzułmanin walczący z antysemityzmem i dziennikarka walcząca z polityczną poprawnością. Nie ma się do czego doczepić.

Temat o pedofili, ciężko jest atakować. Są poszkodowani i sprawcy. Są duchowni, psycholog i prawnik. Są prawdziwe przeżycia i odmowy udziału w filmie. Nade wszystko przewija się z jednej strony troska, że coś pęknie i się zmieni. Albo będzie tak jak zawsze. Wywołane zostały emocje, pojedyncze przeprosiny, zlew gdańskiego hierarchy i rzyganie Hołowni. A ponieważ do wyborów pozostało dwa tygodnie, jedni będą zmieniać tor i dyskutować o skłonnościach seksualnych murarzy. Drudzy będą bić w skłonność zamiatania pod dywan spraw niewygodnych. Zagadką pozostanie, czy potencjalna reakcja zwierzchnika, Papieża Franciszka z Watykanu, nie przysłoni składu Parlamentu Europejskiego. A temat: Kościół – polityka – dialog, pozostanie w starych szatach nowego kroju.

15 maja 2019

Piórem Małgorzaty Todd Adekwatna odpowiedź

Do czego zobowiązuje Ustawa 447? Administracja amerykańska ma zadbać o to, by mienie bezspadkowe, pozostawione w Europie przez zmarłych bezpotomnie Żydów, zostało przekazane organizacji żydowskiej, walczącej z antysemityzmem na całym świecie.

Problem w tym, że trzeba w krajach, z których mają pochodzić pieniądze, zmienić prawo. Nie ma bowiem żadnego cywilizowanego kraju, gdzie majątek po obywatelu zmarłym bezpotomnie i bez testamentu wskazującego spadkobiercę nie przechodziłby na rzecz skarbu państwa.

Jak zatem tego dokonać?

Jeśli Kongres Amerykański zna rozwiązanie, to i my z niego skorzystajmy. Załóżmy Fundację Zwalczającą Antypolonizm, zasilaną środkami pochodzącymi po zmarłych bezpotomnie Polakach na całym świecie, a w USA szczególnie.

Przy czym warto zauważyć, że nie chodzi tu o przynależność państwową, a narodową. Zamordowani przez Niemców Żydzi na terenie Polski podczas jej okupacji byli obywatelami polskimi. A zatem obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia są tą właśnie grupą, po której majątek mógłby przechodzić na rzecz Fundacji Zwalczającej Antypolonizm.

Normalność

Tusk tak się przejął swoimi niemieckimi korzeniami, że doszedł do wniosku, iż polskość, to nienormalność. Konsekwentnie działał na rzecz przywracania „normalności" w naszym biednym kraju, poprzez uzależnianie go od Niemiec na każdym dostępnym polu, zwłaszcza gospodarczym i medialnym. Oddał Niemcom, co tylko mógł, za wątpliwe zaszczyty i niewątpliwe apanaże dla siebie. Ale czy niemieckość, to aby na pewno normalność? Czy naród, który wywołał dwie wojny światowe ma powody do dumy? A może właśnie leczy swoje kompleksy, wykorzystując i upokarzając kogo się da?

Merkel nie przejęła się swoimi polskimi korzeniami i skłonna jest zrobić wszystko, żeby Polskę wcielić do Rzeszy, w czym wierny piesek gorliwie jej pomagał. Niemieckie marzenie o zmuszaniu innych do pracy niewolniczej próbowała zrealizować zapraszając hordę dzikusów, którzy okazali się nieprzydatni do roli, jaką im przeznaczyła.

Jak zatem mają się do siebie te dwie normalności, czy nienormalności? Czy „Bóg, Honor, Ojczyzna" to nienormalność, a niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz w Oświęcimiu z cynicznym napisem na bramie: *„Arbeit macht frei"*, to normalność?

Churchill podobno był się wyraził o Polakach jako o „wspaniałym narodzie, najdzielniejszym pośród dzielnych, prowadzonym przez najpodlejszych spośród podłych". Warto może mieć to na uwadze.

Dyktatura

Właściciel sklepu przyłapał złodzieja na gorącym uczynku. Złodziej okazał się recydywistą, który bezczelnie oskarżył sklepikarza, że ten go uwięził. Żadne dowody nie potwierdzały zeznań złodzieja, a mimo to „niezawisły sąd" mu uwierzył i skazał właściciela sklepu „prawomocnym wyrokiem w imieniu RP" za znęcanie się nad „biednym" złodziejem. Nie jest to niestety historyjka wymyślona na potrzeby kabaretu, a oczywisty dowód na istnienie dyktatury w naszym nieszczęśliwym kraju.

Cóż to za dyktatura? „Proletariacka" odeszła przecież do lamusa. Czyżby to ta osławiona „dyktatura kobiet", z którą tak dzielnie walczy jedna z posłanek na sejm? Można by tak założyć, gdyby „nadzwyczajna kasta" sędziowska składała się z samych kobiet, ale tak nie jest. Wydaje się, że po prostu prawo kaduka jest nadrzędne nad każdym innym prawem, może z wyłączeniem jedynie praw fizyki.

Kto zatem ma przywilej kierowania się logiką? Wydaje się, że każdy, a urzędnicy państwowi powinni mieć nawet taki obowiązek. Niestety, w dyktaturze obowiązują procedury. Za ich złamanie można ponosić odpowiedzialność, za brak logiki raczej nie. Ale „niezawisłego sądu" nawet procedury nie obowiązują, a jedynie lojalność mafijna. Kto zrozumie lepiej złodzieja niż inny złodziej? A wszystko to zawdzięczamy Okrągłemu Stołowi, przy którym komuniści podzielili się władzą ze swoimi agentami.

Bomba

Na czym polega szantaż doskonały? Na tym, żeby szantażowanego pozbawić alternatywy i dostać to, co się chce. Dobrym przykładem może być zażądanie od Polski przez Izrael 400 mln złotych rocznie na walkę z antysemityzmem. Żydzi stawiają sprawę jasno: jak nie dacie, to widomy znak, że jesteście antysemitami; jak dacie, to znaczy, że poczuwacie się do antysemityzmu! Inaczej byście przecież pieniędzy nie dawali. Czysty majstersztyk z przedwojennego Kercelaka!

Naiwnością jest wskazywanie na narastającą falę antysemityzmu we Francji czy Niemczech i porównywanie z sytuacją u nas. Wszyscy, a zwłaszcza Żydzi, wiedzą o tym doskonale. Nie chodzi przecież o jakieś tam fakty, a o pretekst! Mamy zostać oskubani do czysta, bez szans na obronę. No, chyba... chyba, że schronimy się, nie daj Boże, pod szeroko rozpostarte skrzydła kremlowskiego czarnego dwugłowego orła. Układ rosyjsko-niemiecki będzie już wiedział, jak nam dogodzić. Poplecznicy Putina zacierają zapewne ręce. Bomba z opóźnionym zapłonem już tyka. Nie wiadomo tylko, kiedy i czy wybuchnie.

To jest jubileuszowy, czterechsetny odcinek, mam nadzieję, że nie ostatni i że dotrze do wszystkich... Trzeba się cieszyć, że felietony jeszcze docierają mimo niepoprawnych politycznie treści w nich zawieranych.

Nowość

Odbiorcę na pewno zafrapuje, a może wręcz przestraszy ów „schyłek III RP" użyty w tytule książki. Niechby te uczucia skłoniły go do dociekania na przykład, jakie prawo intelektualne mają autorki do wyrażania sugestii o powolnym kończeniu się formacji politycznej przypisywanej obecnej Rzeczypospolitej.

Osobliwe jest w tej książce to, że im większe w niej natężenie krytyki, tym więcej emanuje z niej wiary w lepsze jutro.

Przyszłość należy do kultury

Ukazało się kolejne wydanie – wychodzącego w Łodzi – Magazynu Kulturalno-Społecznego „Kultura i Biznes" Wojciecha Stanisława Grochowalskiego.

W najnowszym wydaniu, dostępnym również w Internecie, przeczytamy m.in. o prof. Marku Drewnowskim – wybitnym polskim pianiście, dyrygencie i pedagogu; łódzkiej Nagrodzie „Złotego Pióra" im. Jerzego Katarasińskiego, przyznawanej już od dwóch dekad, oraz 23. edycji Nagród im. Witolda Hulewicza. Janusz Janyst przybliża postać tenora Romana Werlińskiego, byłego solisty Teatru Wielkiego w Łodzi, który przez lata prowadził na Wydziale Muzycznym Uniwersytetu w Mersin (Turcja) warsztaty wokalne i za które w podziękowaniu uczelnia „na wieczną rzeczy pamiątkę" nadała w ubiegłym roku jego imię sali wykładowej, w której uczył studentów (zob. także s. 4-5).

W ramach wywiadów „Kultury i Biznesu" z Iriną Rumiancewą-Dabrowski rozmawia Adam Rozlach („W Polsce spędzam moje złote lata..."), a red. Jerzy Biernacki przybliża postać konserwatywnego rewolucjonisty – Marcina Dybowskiego, wydawcy podziemia solidarnościowego („Między kłamstwem a prawdą nie ma porozumienia"). Nie zabrakło również wspomnień o niezwykłych postaciach ludzi kultury i sztuki, którzy odeszli od nas. Twórca magazynu i jego redaktor naczelny pisze o Barbarze Wachowicz (1937-2018), Romualdzie Tesarowiczu (1952-2017) i Walerii Chrościelewskiej (1932-2018).

Ponadto Witold Paprocki prezentuje Ogólnokształcącą Szkołę Muzyczną I i II stopnia im. Henryka Wieniawskiego w Łodzi, w przeddzień przypadającej w 2020 roku – 70. rocznicy jej powstania. To jedna z kilku takich placówek muzycznych w Polsce, a jedyna w województwie łódzkim, która kształci w pełnym dwunastoletnim cyklu, od klasy pierwszej podstawówki aż do matury, zarówno w zakresie przedmiotów artystycznych, jak i ogólnych („Szkoła Muzyczna na Sosnowej").

Na łamach Magazynu znajdziemy także informacje o wydarzeniach kulturalnych, m.in. wystawie czasowej „W drodze do niepodległości. Kanadyjski przystanek – obóz Kościuszko w Niagara-on-the-Lake, 1917-1919", która w maju br. jest prezentowana w Piotrkowie Trybunalskim, a w czerwcu w Kielcach, na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego; projekcie artystyczno-patriotycznym „Paderewski, Wieniawa, Rubinstein – dla Polski wszystko" oraz wystawie w łódzkiej Galerii ELart pt. „Krzysztof Wawrzyniak. Malarstwo". Obok prawdziwego bogactwa poruszonych tematów, nie sposób pominąć ważnego tekstu wydawcy o intrygach wokół Fundacji i Festiwalu im. Artura Rubinsteina, której V edycja odbyła się w październiku 2017 roku w Łodzi.

Czasopismo „Kultura i Biznes" ukazuje się od 2002 roku, początkowo jako dwumiesięcznik, a od 2014 roku nieregularnie ale z nadzieją na powrót do regularnego wydawania jako miesięcznik. Czasopismo, ukazujące się w nakładzie 10 tys. egzemplarzy, jest bezpłatne, dostępne m.in. w księgarniach, miejscach kultury, w tym w bibliotekach, wielu uczelniach i szkołach, ma także stałych swoich prenumeratorów. Mottem czasopisma jest przesłanie św. Jana Pawła II: „Przyszłość należy do kultury, nie do polityki". – Może z powodu umieszczenia tego motta nie otrzymujemy dotacji na wydawanie czasopisma? – pyta retorycznie twórca i redaktor Magazynu Wojciech Stanisław Grochowalski i dodaje: „Mimo wszystko udaje się jakoś utrzymać ciągłość – czekając na jakieś większe środki".

Rozumiem aż nadto dobrze, z własnego podwórka, ten próżny trud starań o zdobycie pieniędzy na druk czasopisma, tym bardziej życzę redaktorowi naczelnemu i wydawcy „Kultury i Biznesu" powodzenia w tej walce dla dobra polskiej kultury, a Czytelników zapraszam do lektury najnowszej edycji Magazynu.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Wersję elektroniczną Magazynu Kulturalno-Społecznego „Kultura i Biznes" można pobrać ze strony internetowej: kulturaibiznes.pl.

Reportaż radiowy – ginący gatunek?

OLGA MICKIEWICZ-ADAMOWICZ

Zanim kilka lat temu zaczęłam pracować w Studiu Reportażu i Dokumentu, w jednym z programów Polskiego Radia prowadziłam różne audycje. Już wtedy mogłam decydować o doborze tematów i gości, rozmawiać z nimi o tym, co mnie interesowało. Dla młodej dziennikarki – szczyt marzeń. A jednak miałam poczucie pewnego męczącego niedosytu.

Goście przychodzili i w 10-15 minutowej rozmowie opowiadali o jakimś wycinku rzeczywistości. A potem wychodzili ze studia radiowego i zostawiali mnie, a zapewne także wielu słuchaczy, z kolejnymi pytaniami. Zdawało mi się, że te krótkie rozmowy nie pozwalają mi w pełni poznać i zrozumieć świata moich rozmówców. Z radością więc przyjęłam propozycję, którą dostałam wtedy ze Studia Reportażu i Dokumentu, aby dołączyć do zespołu reportażystów i zacząć pracować nad dłuższymi formami.

Trudne początki

Chociaż reportaże zdarzało mi się robić już wcześniej, szybko okazało się, że tak naprawdę niewiele umiem. Wcześniej przez kilka lat pracowałam jako reporterka. Umiałam nagrywać i montować. Pracowałam szybko – często na przygotowanie materiału mieliśmy zaledwie kilka-kilkanaście godzin. W tym czasie trzeba było wymyślić temat, przygotować się do nagrań, znaleźć rozmówców, odwiedzić kilka miejsc w Warszawie i okolicach, nagrać rozmowy, zmontować kilkuminutowy materiał. Po paru latach takiej pracy wydawało mi się, że jestem szybka i skuteczna. Okazało się, że chociaż sprawność i dobra organizacja zawsze się przydają, przyzwyczajenie do pośpiesznego trybu pracy może być przeszkodą.

Początkowo robiłam reportaże, których dziś nawet nie nazwałabym tym mianem. Szybkie, przegadane, byle jakie. Rozciągnięte w czasie materiały reporterskie, w których zamieszczałam po prostu to, co wydawało mi się najciekawsze i najważniejsze. Na szczęście Studio Reportażu to wyjątkowa redakcja, w której początkujący pracownik nie jest tylko trybikiem w maszynie, ale przede wszystkim człowiekiem, któremu inni poświęcają czas, szczerze próbując go czegoś nauczyć.

Moje radiowe mentorki, Irena Piłatowska i Hanna Bogoryja-Zakrzewska cierpliwie powtarzały: „Nie śpiesz się". Przekonywały, że reportaż musi być przemyślany, oddziaływać za pomocą obrazów i emocji, mieć swoją dramaturgię. Do znudzenia poprawiałam swoje reportaże. Starałam się też dużo słuchać, czytać i oglądać – nie tylko audycje innych radiowców, ale też filmy dokumentalne czy książki reporterskie. Analizowałam, jak reportażyści opowiadają historie, jakie tematy ich interesują, jak przedstawiają losy swoich bohaterów, jak używają muzyki, metafory itd. Jednocześnie sztuka tworzenia reportaży radiowych coraz bardziej mnie pociągała.

Reportaż – czyli co?

Chociaż ten proces nauki jeszcze się dla mnie nie zakończył (i mam nadzieję, że ciągle będzie trwał), to dziś, kiedy opowiadam o tym, czym jest reportaż, przychodzą mi do głowy dwie zwięzłe i eleganckie definicje.

Janusz Roszko, reporter który publikował przede wszystkim w prasie lat 60., powiedział kiedyś: „Reportaż to dramaturgia faktów". Dramaturgia – czyli sposób opowiadania jakiejś historii, napięcie w przebiegu wydarzeń. Jako reportażyści poznajemy najróżniejsze ludzkie historie, które jak to w życiu – łączą się z innymi, sięgają daleko w przeszłość i rzadko kiedy kończą się wyraźnym cięciem. To my, jako autorzy reportażu, musimy zdecydować, jaki wycinek rzeczywistości naszego bohatera pokazujemy i dlaczego, a jednocześnie dbać o rzetelność przekazu, tak aby nasz wybór nie okazał się przeinaczeniem, wypaczeniem faktów. To my musimy zobaczyć w otaczającej nas, płynącej wartko rzeczywistości, historię. Zdecydować, gdzie jest jej początek i koniec. Nadać strumieniowi zdarzeń strukturę.

Druga definicja urzeka mnie swoją trafnością i bezpretensjonalnością. Mariusz Szczygieł powtarza często: „Reportaż jest o tym, o czym jest i o czymś jeszcze". To dlatego, jako reportażyści, szukamy w ludzkich historiach drugiego dna, uniwersalnych prawd o świecie, metafor. Reportaż, który coś takiego pokaże, nie zestarzeje się. Nawet po latach, chociaż zmieniają się techniki nagrywania i montowania, taki reportaż poruszy, zostawi w odbiorcy ślad, skłoni do refleksji.

W radiu przecież nie widać

Po niecałych dwóch latach pracy w Studiu Reportażu zakwalifikowałam się do międzynarodowego programu mentorskiego dla młodych twórców radiowych. Edwin Brys, słynny belgijki reportażysta, mówił wtedy mnie i dwóm pozostałym uczestnikom: „Musicie być pewni, o czym jest wasz reportaż i musicie umieć to określić jednym słowem. O miłości, o stracie, o władzy, o tęsknocie... Jeżeli na pytanie o temat reportażu zaczynacie się plątać i streszczać historię bohaterów – to znaczy, że sami nie wiecie, o czym chcecie mówić".

W ramach tego programu moim bezpośrednim mentorem został brytyjski dziennikarz Simon Elmes – przez wiele lat związany z BBC, dziś pracuje jako wykładowca na uczelni. Simon zna i lubi polską kulturę. Oglądał większość filmów Andrzeja

Michał Krajski w swojej książce pokazuje proces niszczenia rodziny, oraz przedstawia plan pozytywny, w jaki sposób walczyć z kryzysem.

Wydawnictwo Capital

RODZINA
OSTATNI BASTION
Najnowsza książka Michała Krajskiego

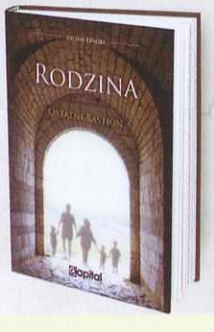

Wajdy, uwielbia piosenki Ewy Demarczyk. Zna i szanuje tradycję polskiego reportażu radiowego, ale umie też wskazać jego słabe strony. Pod jego opieką przez prawie rok robiłam reportaż o Ukrainkach pracujących w Polsce. Nagrywałam i montowałam w Polsce, po czym przygotowywałam skrypt dla Simona z tłumaczeniem na angielski i przesyłałam jemu. Simon jako mentor mało rzeczy mi nakazywał lub zlecał, za to zadawał mnóstwo pytań. Musiałam umieć wytłumaczyć, dlaczego wybrałam tę konkretną bohaterkę? Dlaczego zamieściłam akurat te fragmenty jej wypowiedzi? Dlaczego zrezygnowałam z pewnych nagrań, na przykład z pracodawcami mojej bohaterki? To nauczyło mnie pewności i świadomości przy podejmowaniu decyzji.

Simon dbał jednak także o odpowiednie tempo, w jakim historia ma być opowiadana. W polskiej tradycji dopuszcza się dosyć długie fragmenty opowieści jednego bohatera. W zachodniej tradycji jest to rzadko spotykane. Częściej słychać narratora, muzykę, efekty dźwiękowe, sceny. Simon namawiał mnie, abym opowieść, która wydawała się spójna, łatwa do przekazania „jednym ciągiem", podzielić na kilka części. Dawkować napięcie. Smutne fragmenty opowieści połączyć z nagraniami, w których nastrój się zmienia, słychać śmiech lub żarty, tak aby poprzez kontrast wzbudzić na nowo gasnące zainteresowanie odbiorcy. I przede wszystkim – jak najmniej mówić, jak najwięcej pokazywać.

Czasem, kiedy spotykam się z bohaterami reportaży, proszę ich, aby pokazali mi różne rzeczy. Poczynając od zdjęć i rodzinnych pamiątek, przez tatuaże, które zrobili sobie w ważnych momentach życia, po miejsca dla nich znaczące. Staram się uczestniczyć w sytuacjach dla nich istotnych. Czasami ludzie, których nagrywam, dziwią się, po co to wszystko? Przecież w radiu i tak nie widać?

Otóż widać, a to za sprawą wyobraźni. Dobry reportaż pobudza emocje i daje pożywkę wyobraźni, kreuje obrazy w głowach odbiorców. Głos naszego bohatera to nie tylko słowa, które wypowiada. To także jego intonacja, chwile zawahania, śmiech, płacz. Reportaż to nie tylko opowieści, to także dźwięk, muzyka, zróżnicowanie planów.

W reportażu o Ukrainkach pojawił się wątek wykorzystywania kobiet, które tu przyjeżdżają, przez nieuczciwych pracodawców oraz polskich i ukraińskich pośredników. Opowiadała mi o tym moja bohaterka, pani Lesia oraz pracowniczka organizacji La Strada. Pewnego dnia umówiłam się na nagrania z moją bohaterką na Dworcu Zachodnim w Warszawie. Dla niej to ważne miejsce – stąd przez wiele lat przekazywała paczki do domu, kiedy nie mogła wrócić na Ukrainę (przez pewien czas przebywała w Polsce nielegalnie). Traf chciał, że spotkałyśmy kierowcę, który był pośrednikiem pomiędzy panią Lesią a jej dziećmi na Ukrainie, co wyzwoliło wspomnienia i emocje ich obojga. Potem pani Lesia przekonywała mnie, że ona od razu widzi, kto jest z Polski, kto z Ukrainy. Dla mnie wcale nie było to oczywiste. Postanowiła mi udowodnić, że trafia bez pudła. Podeszła do przypadkowych kobiet, które rzeczywiście okazały się być Ukrainkami. Obie przyjechały do Polski z nadzieją na znalezienie tu pracy. Nie mówiły po polsku. Polegały na pomocy ukraińskich pośredników, którym zapłaciły prawie sto dolarów za pomoc w zorganizowaniu transportu i znalezieniu pracy. Pośrednicy oszukali je, pracy w Polsce nie było. Zrozpaczone kobiety uznały, że za ostatnie pieniądze muszą wrócić do swojego kraju. Spotkałyśmy je tuż przed wyjazdem, a spontaniczna rozmowa pomiędzy nimi a panią Lesią i mną stała się jednym z najważniejszych punktów reportażu, znacznie ważniejszym niż suche fakty podawane podczas poprzednich nagrań.

Śpiesz się powoli

Po latach wreszcie nauczyłam się też, że pośpiech w reportażu nie popłaca. Owszem, zdarzają się tematy nagrywane krótko i szybko, ale te najważniejsze powstają powoli. Prawie trzy lata temu poznałam kobietę, która postanowiła zdobyć Koronę Ziemi – najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. Nagrałam o niej krótki reportaż. Skupiłam się na tym, jak Miłka łączyła pracę i życie rodzinne z wielkim marzeniem (do skompletowania Korony zostało jej wtedy jeszcze kilka szczytów, a nie jest profesjonalnym sportowcem).

Z Miłką nie straciłyśmy kontaktu po nagraniach. Obserwowałyśmy swoje poczynania dzięki mediom społecznościowym. Po jakimś czasie zobaczyłam, że wybiera się na Antarktydę. Ja dorzuciłam jej drobną kwotę do zbiórki, którą organizowała na wyprawę, ona odwdzięczyła mi się pięknym zdjęciem zrobionym ze szczytu Mount Vinson – przedostatnim w Koronie Ziemi. Co pewien czas spotykałyśmy się na kolejne nagrania. Zarejestrowałam to, jak Miłka we własnym mieszkaniu ćwiczy formę przed wejściem na Mount Everest, jej wylot z lotniska do Katmandu, żeby wejść na najwyższą górę świata. Poznałam bliskie jej osoby. Polubiłyśmy się. Miłka u podnóża Everestu nagrywała krótkie filmiki, które zgodziła mi się udostępnić. Dzięki temu w reportażu, który powstał po ponad dwóch latach spotkań i rozmów, znalazło się nawet nagranie ze szczytu Everestu. Reportaż „Korona" spodobał się na tyle, że jako jedna z dwóch polskich audycji reprezentował Polskę w międzynarodowym konkursie Premios Ondas w Barcelonie. Jego siła polegała między innymi na tym, że zawierał nie tylko opowieści nagrane *post factum*, ale też emocje rejestrowane na bieżąco, w ciągu dwóch lat żmudnych przygotowań Miłki do realizacji jej marzenia.

Ginący gatunek?

Co pewien czas zdarza mi się słyszeć, że reportaż radiowy to ginący gatunek. Trudno mi się z tym zgodzić. Owszem, reportaż istnieje już prawie wyłącznie w Polskim Radiu, większość komercyjnych rozgłośni zrezygnowała z niego. Jego przygotowanie jest żmudne, trudne i pracochłonne, czasami kosztowne. Odbiorca musi mieć czas, aby go wysłuchać.

A jednak ciągle zdarza nam się odbierać telefony czy wiadomości o podobnej treści: „Słuchałem tego reportażu w samochodzie. Dojechałem na miejsce, ale nie wysiadłem, chciałem wiedzieć, jak skończy się ta historia". Na międzynarodowych konferencjach i festiwalach pojawiają się ciągle nowe twarze młodych ludzi, którzy chcą się uczyć, jak robić reportaże radiowe, chcą ich słuchać. Od lat popularnością cieszą się audiobooki. Może więc sztuka opowiadania historii za pomocą słów i dźwięku nie zginie?

Ta książka to podróż przez kilka wieków polskiej kultury i polskiej historii, widzianych przez pryzmat wielkich, znanych i mniej znanych, polskich twórców.

Piórem Jarosława Warzechy O językowych błędach w audycjach radiowych

Być może oszczędności sprawiły, że nikt już nie czuwa nad polszczyzną, która ukazuje się na antenie Polskiego Radia.

Program I Polskiego Radia, jeszcze przed nowym rokiem. Audycja na temat drugiego wydania książki Joanny Siedleckiej *Pan od poezji*. Autorka ciekawie opowiada o nowych wątkach w książce. W pewnej chwili włącza się prowadząca rozmowę redaktorka: „A w roku dwutysięcznym drugim...".

Otóż nie było roku dwutysięcznego drugiego, droga pani redaktor Polskiego Radia. Nie istnieje w języku polskim taki rok i nigdy nie istniał, o czym powinna pani wiedzieć, ale nie wie.

Polskie Radio24 już po nowym roku. Godziny przedpołudniowe. Redaktor prowadzący „dołancza" do czegoś tam. Nie wiem czy „dołanczył" czy nie, ale z pewnością nie dołączył do mówiących po polsku.

I tak dzień po dniu płynie w Polskim Radiu publicznym potok owych „som", „majom", „znajom", „dołancza", „rozłancza" i tak dalej, i to bynajmniej nie tylko ze strony zaproszonych gości, ale samych dziennikarzy.

Prawdziwą zmorą jest powtarzane na okrągło określenie „unikalny". Prymitywna gwara autorów reklamowych stała się wzorcem językowym dla dziennikarzy Polskiego Radia. Coś oczywiście może być unikatowe, czyli oryginalne, jedyne w swoim rodzaju, stanowić unikat. Unikat, a nie „unikal". Litości!

Piszę o Polskim Radiu, tym z wielką tradycją, które było niegdyś wzorcem poprawnej polszczyzny. Być może oszczędności sprawiły, że nikt już nie czuwa nad polszczyzną, która ukazuje się na antenie. Nie ma kto poprawiać językowych błędów, skorygować. Ale jest i inne pytanie – kto został, czy zostaje dziennikarzem Polskiego Radia? Tego Polskiego Radia. Skąd przybywa i po jakich to szkołach? Wyższych, niższych czy całkiem średnich? Może poniżej średniej? Jakie kryteria decydują dziś o dopuszczeniu do anteny pani redaktor od „roku dwutysięcznego drugiego" czy pana redaktora od „dołanczania"?

Piórem Stefana Truszczyńskiego Dziennikarz to nie papuga

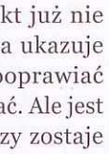

Za odmowę, walkę o własne zdanie płaci się czasem boleśnie. Utrata pracy, stanowiska w redakcji – to się zdarza. Ale gorsza jest utrata szacunku dla samego siebie.

Nawet, gdyby to byli święci wysłani na padół ziemski z nieba, to oni również po krótkim okresie „świętości" przepoczwarzą się w chciwe, pazerne i nienasycone gadziny. Gdy dorobią się mieszkanka, będą chcieli mieć willę, a potem rezydencję. Najpierw na Mazurach, a następnie na Lazurowym Wybrzeżu. Bo władza – tak długo jak się da – to nieokiełznana żądza. Najpierw chcą „być", potem „być i mieć", wreszcie już tylko „mieć".

Co jest dziś najważniejsze dla nowych „onych"? Najważniejsze jest dostać się do parlamentu Unii Europejskiej. Nic to, że podjęta w kraju robota nieskończona. Nic to, że jeszcze przed chwilą miód z gęby płynął, a plany, obiecanki były ważne, odważne, z przysięgą zgłaszane. Jak można teraz z zadowoloną gębą łasić się do wyborcy?

To, na kogo zagłosują rodacy zależy trochę i od nas – żurnalistów. Będziecie, będziemy gadać, przedstawiać różnych typów i typki kandydujących z partyjnych list wyborczych do parlamentu UE.

Niestety będzie tak jak zwykle. Zostanie przydzielony czas i limity. Gotowce wyemitują media. Proste. Ale nie do końca. Bo i tak wokół wybrańców rozpocznie się cyrk medialny. On już się rozpoczął. Media są niezależne. Ponoć. Niestety z kandydatami na 80-100 tys. złotych miesięcznie nie będą rozmawiać dziennikarze mający do swoich interlokutorów stosunek krytyczny. Na przykład z PiS-owcem nie będzie rozmawiał – w żadnej z telewizji, ani przy żadnej „przypadkowej" akcji – zdecydowany sympatyk PO. I odwrotnie, kandydat PO, PSL – ich zjednoczonego wspólnego „ruchu" nie usiądzie z naprawdę dobrym dziennikarzem „dobrej zmiany". Takim, który potrafi mówić nie tylko poddańczo, ale przekonywająco. A przecież daje się odróżnić tchórzliwych i koniunkturalnych schlebiaczy od rozumujących na czym polega dziennikarska praca w tym bardzo ciekawym, acz wymagającym zawodzie.

A mogło być ciekawie. Przecież jeśli kandydat jest dobry – mądry i rokujący – lepiej będzie dla niego, gdy wykaże się inteligencją i wiedzą. Gdy pytania będą łatwe tak się nie stanie. Szopka będzie sztuczna, „pojedynek" uzgodniony. To widać gołym okiem i czystym uchem. Indagowany „mądrala" wypada blado. Nie ma w takim wywiadzie ani wyczuwalnego napięcia, dramaturgii i po prostu prawdy.

Każda rozmowa jest ważna. O ile jest ciekawa. Aby taka była – musi być prawdziwa. Umiejętność rozmawiania to sztuka, której można się nauczyć. Oczywiście nie w szkolnej ani studenckiej ławce. Techniczne podstawy są ważne. Ale to tylko ABC. Trzeba postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Trzeba wierzyć w to, co się robi. Jeśli tak nie będzie – nikt nam nie uwierzy.

Za odmowę, walkę o własne zdanie płaci się czasem boleśnie. Utrata pracy, stanowiska w redakcji – to się zdarza. Ale gorsza jest utrata szacunku dla samego siebie. Tego nie przywróci wymiana ekipy rządzącej.

Pamiętam, jak w czasie naszego uczestnictwa w napadzie na Czechosłowację, w ramach akcji Układu Warszawskiego zachował się Karol Małcużyński. Główny program publiczny prowadziło dwóch – Małcużyński i Edmund Męclewski. Bardziej popularny był Pan Karol. Władzy zależało na nim bardzo. On jednak udał chorego i nie czytał komunikatów. Kolega – nie odmówił i odbierał potem profity. Małcużyński nadal jest wspominany dobrze, choć po latach podobne odważne decyzje dziennikarskie wydają się mało ważne.

Dziennikarz to pośrednik. To on (a nie jego szef, redaktor naczelny czy prezes) powinien dołożyć starań, by jego „klient" wypadł jak najlepiej. Ale dziennikarz to nie płatna, wynajmowana „papuga". Adwokat stara się wyciągnąć klienta z tarapatów. Używa wszelkich chwytów. Dziennikarz tak nie powinien robić. Adwokat stara się wyciągnąć klienta z kłopotów. Używa wiedzy wyuczonej i doświadczenia z praktyki. Podobnie dziennikarz. Tyle, że robi to wszystko z przekonaniem o winie lub niewinności. Krytykuje lub broni. I świadczy swoim nazwiskiem. I bezwzględnie odpowiada za to co wyemitował, wydrukował. Jeśli mu przemontowali, zmienili tekst, nie wolno mu zaniechać sprawy. Jest tysiące możliwości gdzie może opowiedzieć, opisać jakie były jego przemyślenia i konkluzje. Być może straci pracę. A nie twarz.

Pieślak skazany na umysłowe więzienie

ADAM J. SOCHA

Umorzenie na rok oraz kara grzywny – taki wyrok usłyszał dziennikarz obywatelski Andrzej Pieślak z Lidzbarka Warmińskiego oskarżony o zniesławienie wydawcy „Gazety Olsztyńskiej" z art. 212 k.k.

Wyrok ogłosiła sędzia Sądu Rejonowego w Olsztynie Joanna Sienicka. Nie jest on prawomocny. Sąd zdjął z procesu klauzulę tajności.

Postępowanie karne wobec oskarżonego Andrzeja Pieślaka sąd warunkowo umarza na okres próby jednego roku i orzeka wobec oskarżonego świadczenie pieniężne płatne na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym i Pomocy Postpenitencjarnej w kwocie 500 złotych. Sąd uznał, że postawa oskarżonego, jego właściwości osobiste i dotychczasowy sposób życia przemawiają za uznaniem, iż pomimo umorzenia postępowania będzie przestrzegał porządku prawnego – ogłosiła sędzia.

Andrzej Pieślak, redaktor obywatelskiego portalu naszlidzbark.pl, został oskarżony o zniesławienie wydawcy „Gazety Olsztyńskiej". W październiku 2018 roku, na forum dyskusyjnym swojego portalu zamieścił komentarze określające „Gazetę Olsztyńską" – „gadzinówką niemieckiej propagandy", a tygodnik „Gazeta Lidzbarska" – „szmatą lidzbarską".

Oskarżenie prywatne wniósł wydawca obu tytułów prasowych spółka Grupa WM, której głównym udziałowcem jest obywatel Niemiec Feliks Hirtreiter. Oskarżyciel wniósł o usunięcie z portalu tych słów, przeproszenie na portalu oraz w tytułach, do których się one odnosiły, a także wpłatę 2,5 tys. złotych na cel społeczny.

Prezes Grupy WM Jarosław Tokarczyk ocenił zamieszczone w komentarzach zwroty jako obelżywe, mające na celu obniżenie marki i wartości rynkowej spółki i wydawanych przez nią gazet. Prezes Tokarczyk określił mianem „manipulacji" określenie „gadzinówka niemieckiej propagandy". Argumentował, że pochodzenie kapitału spółki nie ma żadnego wpływu na linię gazet i zamieszczanych tam treści.

Andrzej Pieślak wyjaśnił, że nie kierował tych określeń imiennie do pracowników Grupy WM, a jedynie chciał nimi wyrazić swoją opinię na temat poziomu tych gazet i ich zawartości. Tłumacząc określenie „gadzinówka propagandy niemieckiej" wyjaśnił, że miał na myśli pochodzenie kapitału głównego udziałowca spółki i jego monopolistyczną pozycję na rynku województwa warmińsko-mazurskiego.

W uzasadnieniu ustnym sędzia podzieliła zdanie oskarżyciela prywatnego, iż Andrzej Pieślak użył określeń obraźliwych, które przekroczyły granicę dopuszczalnej krytyki.

Andrzej Pieślak zapowiedział apelację. „Wyrok może u mnie wywołać tzw. efekt mrożący – stwierdził. – Będę musiał ograniczyć wolność słowa, czyli nie będę mógł wyrażać tego co myślę, a to jest prosta droga do umysłowego więzienia. Przez rok muszę być grzeczny, ulizany i nie mogę nic krytykować. W ten sposób będę jak «Gazeta Lidzbarska»".

Andrzej Pieślak od 2011 roku redaguje niekomercyjny portal obywatelski, zajmujący się głównie sprawowaniem funkcji kontrolnej wobec władzy samorządowej Lidzbarka Warmińskiego. Z tego powodu miał już kilkanaście procesów wytoczonych przez burmistrza i starostę. Poza jednym wszystkie wygrał.

Relacja red. Adama J. Sochy, obserwatora procesu z ramienia CMWP SDP, z przebiegu rozprawy, która odbyła się 3 kwietnia br. przed Sądem Rejonowym w Olsztynie, zob. www.naszlidzbark.pl

Gazeta...

ANDRZEJ BALLO

Precyzyjnej definicji gazety nie ma. Jednakże są jakieś wzorce w postaci prasy, która zawiera oprócz aktualnych informacji pewne formy literackie takie jak: reportaż, esej, dysertacja, analiza, tekst krytyczny, recenzja. Takie artykuły świadczą o wysokim poziomie dziennikarstwa i zaangażowaniu w aktualne problemy (na obszarze działania owej gazety).

„Gazeta Lidzbarska" niestety takich artykułów jest pozbawiona, co sprowadza ją do poziomu biuletynu informacyjnego czy też gazetki szkolnej. Kiedyś takowe gazety (zwyczajowo i całkiem słusznie) nazywano szmatławcami lub brukowcami. Podobnie jak „Gazeta Lidzbarska" drukowane były na dość kiepskiej jakości, cienkim papierze, często z niewyraźnymi fotografiami, a nawet drukiem. Okazuje się, że teraz, w dobie wolności słowa podobne negatywne opinie o takich gazetach uznaje się za obraźliwe.

Prasa w Polsce jest w większości w „rękach" wydawców niemieckich. Z zasady więc, bardziej nastawiona jest na zysk niż na wysoką jakość intelektualną (oprócz kilku tygodników o ustalonej od lat renomie). Prasa taka zazwyczaj jest kolorową repliką prasy niemieckiej, o podobnych lub tożsamych tytułach. Zapewne to miał na myśli Andrzej Pieślak odwołując się w komentarzach do powyższych faktów.

Tak na marginesie, to dziwi mnie swoista i dość wybiórcza wrażliwość (a może i drażliwość) dziennikarzy czy decydentów „Gazety Lidzbarskiej" i „Gazety Olsztyńskiej", którzy zamiast skupić się na podniesieniu poziomu swoich pism, skupiają się na niepochlebnych komentarzach w odległych zakamarkach wirtualnego świata. Przecież opiniotwórczość takich komentarzy jest znikoma. Jestem pewien, że wydawcy „Corriere delle Serra" czy „Paris Matcha" tego by nie zrobili.

Nowości z księgarskiej półki

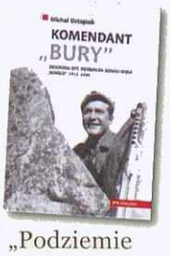

Pierwsza naukowa biografia kpt. Romualda Rajsa „Burego", którego postać w obecnym dyskursie historycznym budzi skrajnie rozbieżne opinie.

Michał Ostapiuk, dzięki szerokiej kwerendzie źródeł, prezentuje nowe fakty, które są niezwykle istotne m.in. dla odtworzenia przebiegu pacyfikacji pięciu wsi białoruskich, przeprowadzonej przez plutony 3. Wileńskiej Brygady NZW w Zaleszanach, Wólce Wygonowskiej, Szpakach, Zaniach i Końcowiźnie. Autor rekonstruuje rozkazodawstwo „Burego" dotyczące tych działań, analizuje zakres jego odpowiedzialności za ich przebieg; wiele miejsca poświęca powodom zamordowania 30. białoruskich furmanów pod Puchałami Starymi 31 stycznia 1946 roku. Autor książki nie ograniczył się do drobiazgowej analizy najbardziej „kontrowersyjnych" wątków biografii kpt. Rajsa, ale szczegółowo odtworzył całość życia „Burego", poczynając od młodzieńczych czasów aż po aresztowanie, proces i jego śmierć w celi białostockiego więzienia.

Publikacja ukazała się w ramach centralnego projektu badawczego IPN „Podziemie niepodległościowe w Polsce 1944-1956".

Michał Ostapiuk, *Komendant „Bury". Biografia kpt. Romualda Adama Rajsa „Burego" (1913-1949)*, Białystok – Olsztyn – Warszawa 2019, ss. 360 + 112 wkł. ilustr.

Tallinn Zjazd Europejskiej Federacji Dziennikarzy

W Tallinnie w dniach 9-10 maja br. odbył się Zjazd Europejskiej Federacji Dziennikarzy (EFJ), podczas którego delegaci wybrali nowy Zarząd organizacji na lata 2019-2022.

W Zjeździe uczestniczyło ponad 90 osób (delegatów i obserwatorów) z 49 organizacji dziennikarskich z 36 krajów. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, które reprezentował prezes Krzysztof Skowroński, było jedyną – obecną w Tallinnie – polską organizacją dziennikarską spośród trzech zrzeszonych w EFJ.

Na prezesa Europejskiej Federacji Dziennikarzy po raz trzeci wybrany został Mogens Blicher Bjerregård z Danii, który wygrał znaczącą przewagą głosów (61 proc.; 39 proc. głosów oddano na jego kontrkandydatkę – Annę del Freo z Włoch). Ponadto w skład nowego Zarządu weszli: Marta

FOT. © EFJ

Barcenilla (FSC-CCOO, Hiszpania) – wiceprezes, Marijana Camovic (TUMM, Czarnogóra), Anna del Freo (FNSI, Włochy), Yannis Kotsifos (ESIEMTH, Grecja), Mustafa Kuleli (TGS, Turcja), Joachim Kreibich (dju.in verdi, Niemcy), Martine Simonis (AJP, Belgia) – honorowy skarbnik i Sergiy Tomilenko (NUJU, Ukraina). Na liście rezerwowej figurują: Andrea Roth (DJV, Germany), Sofia Branco (SinJor, Portugalia), Juha Rekola (UJF, Finlandia) i John Barsby (NUJ, Wielka Brytania).

Zjazd przyjął również szereg uchwał, które są opublikowane na stronie internetowej European Federation of Journalists.

ISB, EFJ

Olsztyn Porozumienie SDP z UWM

27 marca zawarto porozumienie pomiędzy Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim a Warmińsko-Mazurskim Oddziałem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w sprawie współpracy z Instytutem Historii i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Humanistycznym UWM.

Porozumienie sygnowali prof. dr hab. Ryszard Górecki – rektor UWM i dr Ireneusz St. Bruski – prezes SDP w Olsztynie. „Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, dążąc do poznania i upowszechniania dziejów regionu warmińsko-mazurskiego oraz jego dziedzictwa kulturowego, a także jego ochrony i wykorzystania dla dobra publicznego, postanawiają nawiązać współpracę" – czytamy w podpisanym dokumencie.

W ramach zawartego porozumienia strony mogą podejmować wspólne przedsięwzięcia badawcze. Pierwsze wspólne działania dotyczą uruchomionego na Wydziale Humanistycznym nowego kierunku studiów: Animacji pamięci społecznej.

Porozumienie zawarte na czas nieokreślony, weszło w życie z dniem podpisania.

JK

„Majówka z książką"

FOT. © ANDRZEJ ADAMOWICZ

11 maja w Galerii Stary Ratusz WBP żurnaliści, również SDP, uczestniczyli w „Majówce z książką" czyli prezentacji publikacji pozaprasowych (literackich, biograficznych, monograficznych) dziennikarzy zrzeszonych w regionalnych organizacjach dziennikarskich i literackich.

Organizatorem „Majówki" były olsztyński oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. – W ten sposób nawiązujemy do dawnej, wartościowej tradycji, gdy właśnie w maju obchodzono Dni Oświaty, Książki i Prasy – podkreśla przewodniczący Marek Książek.

– Jednak w bieżącym roku SDRP zaprosiło do udziału wszystkie organizacje zrzeszające dziennikarzy i literatów Warmii i Mazur – dodaje Andrzej Cieślak, prezes olsztyńskiego oddziału Związku Literatów Polskich. – Celem imprezy była integracja rozproszonego środowiska piszących.

W „Majówce" uczestniczyli m.in. Władysław Katarzyński reprezentujący Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i ZLP, Andrzej Cieślak – Stowarzyszenie Dziennikarzy RP i Związek Literatów Polskich, z którego przybyli również Jerzy Górczyński i Jerzy Sałata oraz ubiegająca się o członkostwo ZLP – Helena Piotrowska. Spotkanie dokumentowali Andrzej Adamowicz „Echo Purdy" (SDRP) i Stanisław Olsztyn „Ku Prawdzie" (SDP). Tłumów nie było, ale rozmowy czytelników z obecnymi na „Majówce" autorami książek toczyły się wartko aż do zakończenia spotkania.

ISB, AC

SDP Wrocław Nowe władze Oddziału Dolnośląskiego

1 kwietnia Jan Poniatowski, z zawodu informatyk, z pasji dziennikarz, współpracownik „Niedzieli", Polskiego Radia Wrocław i Radia Wnet (do 2018 roku), został nowym prezesem Oddziału Dolnośląskiego SDP. Podczas Walnego Zebrania Oddziału podsumowano burzliwą, ostatnią kadencję i wybrano jego nowe władze.

Kadencja Oddziału Dolnośląskiego (2016-2019) była najbardziej niespokojna po 1989 roku. Na początku 2018 roku Walne Zebranie Oddziału, akceptując krytyczną ocenę Komisji Rewizyjnej, przyjęło rezygnację Moniki Karaźniewicz, wybranej na przewodniczącą Oddziału w 2016 roku. Nowym szefem został Robert Błaszak, który obiecywał uporządkowanie i ożywienie działalności oddziału. Z różnych powodów zamiarów tych nie zdołał zrealizować co wypunktowała w sprawozdaniu na poniedziałkowym spotkaniu Komisja Rewizyjna.

W tej sytuacji zebrani zdecydowali o generalnym odnowieniu władz Oddziału wybierając na przewodniczącego Jana Poniatowskiego (skarbnika zarządu w latach 2018-2019), którego działalność została pozytywnie oceniona na zebraniu. W skład Zarządu zostali ponadto wybrani Lidia Nestoruk, Maria Dunikowska i Zbigniew Makarewicz. W skład Komisji Rewizyjnej wybrano Juliana Golaka, Adama Maksymowicza i Rafała Bubnickiego, natomiast Komisji Członkowskiej – Roberta Błaszaka, Martę Midor-Burak i Marię Woś.

FOT. © SDP WROCŁAW

Nowy Zarząd zadeklarował uporządkowanie spraw formalno-prawnych związanych z działalnością Oddziału, podjęcie starań u władz Wrocławia o jego nową siedzibę (obecna znajduje się na piątym piętrze staromiejskiego budynku i jest trudno dostępna dla starszych członków oddziału) oraz zrealizowanie przedstawionego na zebraniu planu merytorycznej działalności.

RAFAŁ BUBNICKI

SDP Warszawa Wielkanocne spotkanie Oddziału Warszawskiego

Tradycyjnie już w Wielkim Tygodniu prezes Zbigniew Rytel zaprosił koleżanki i kolegów Oddziału Warszawskiego do podzielenia się jajkiem. Ten wyjątkowy czas oczekiwania na Zmartwychwstanie sprzyja refleksji o życiu. W wieczór, 16 kwietnia, trudno było również zapomnieć widoku palącej się katedry Notre Dame, z którą wielu z nas ma osobiste wspomnienia.

Tegoroczne spotkanie miało już świąteczny charakter. Wśród gości byli m.in. prezes SDP Krzysztof Skowroński i dyrektor Biura Zarządu Głównego Bożenna Dobrzyńska. Prezes Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP, red. Ireneusz St. Bruski, który profesję dziennikarza łączy z powołaniem kapłańskim, poświęcił potrawy i wspólnie się pomodliliśmy.

Ponadto nasz gość z Olsztyna zrobił zebranym niespodziankę, wręczając pamiątkowe odznaki dziennikarzom, którzy są związani z wychodzącym już od piętnastu lat miesięcznikiem społeczno-kulturalnym „Bez Wierszówki". Mieliśmy okazję zobaczyć pierwszy numer czasopisma z 2004 roku oraz „szczotki" najnowszego wydania. Jednak zanim zagłębiliśmy się w lekturze, red. Ireneusz Bruski podziękował red. Zbigniewowi Rytelowi za wspieranie pisma i pracę w jury organizowanego w Olsztynie konkursu dziennikarskiego, red. Hannie Budzisz za udział w tegorocznych Dniach Seweryna Pieniężnego, a red. Jackowi Wegnerowi i red. Elżbiecie Królikowskiej-Avis za artykuły publikowane w „Bez Wierszówki".

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Całej redakcji gratulowaliśmy i życzyliśmy powodzenia w uzyskaniu środków finansowych na wydawanie kolejnych numerów. Zwłaszcza, że pismo porusza tematy, które interesują całe środowisko dziennikarskie i ma rosnące grono odbiorców.

Przy przedświątecznych potrawach rozmawialiśmy oczywiście nie tylko o sprawach zawodowych. Wielu z nas trudno uciec od refleksji, że w Paryżu ogień zniszczył zabytek ważny nie tylko dla chrześcijan. Jak zwykle przy takich okazjach wspominaliśmy również domowe tradycje wielkanocne.

DOROTA BOGUCKA

Audycja Historyczna Roku

Instytut Pamięci Narodowej ogłasza VII edycję konkursu Audycja Historyczna Roku, którego celem jest wyróżnianie i promowanie dokumentalnej twórczości radiowej i filmowej, prezentującej najnowszą historię Polski.

Dokumentalne audycje radiowe i filmy będą oceniane w trzech kategoriach: (1) Wydarzenie – audycje i filmy poświęcone określonemu wydarzeniu lub procesowi historycznemu, (2) Losy – audycje i filmy poświęcone indywidualnym losom bohaterów, uczestników i świadków zdarzeń i procesów historycznych i (3) Historia regionalna – audycje i filmy poświęcone historii lokalnej, obejmującej zasięg działania poszczególnych oddziałów Instytutu. Ponadto Jury może przyznać wyróżnienia: za specjalne wartości poznawcze oraz dla produkcji o tematyce związanej z historią poszczególnych regionów kraju.

Do Konkursu można zgłaszać audycje i filmy, które powstały lub były emitowane w rozgłośniach radiowych lub w telewizji nie później niż dwa lata przed 1 stycznia 2019 roku.

Zgłoszenia należy przesyłać do 15 czerwca br. na adres: Oddział IPN w Białymstoku (15-637 Białystok, ul. Warsztatowa 1A) z dopiskiem: Konkurs Audycja Historyczna Roku. Ogłoszenie nominacji nastąpi do dnia 25 października br. na stronie www.ipn.gov.pl, a rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w Białymstoku 26 listopada podczas uroczystej gali, w rocznicę urodzin śp. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. **IPN**

Animacja pamięci społecznej

W nadchodzącym roku akademickim 2019/2020 Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie uruchamia nowe studia magisterskie realizujące unikalny program z zakresu *public history* – dziedziny kształtowania zainteresowań przeszłością w sferze publicznej z wykorzystaniem nowoczesnych narzędzi, w mediach, rekreacji, turystyce, biznesie i edukacji. Występującym w roli interesariusza partnerem kierunku jest Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie.

Animacja pamięci społecznej (APS) to interdyscyplinarny, stosowany kierunek studiów II stopnia trwający dwa lata i kończący się dyplomem magisterskim. Warunkiem rekrutacji jest posiadanie dyplomu ukończenia dowolnego kierunku studiów (co najmniej I stopnia). Dzięki systemowi indywidualnej organizacji studiów oferta kierowana jest nie tylko do młodzieży akademickiej, ale także do osób czynnych zawodowo.

Kierunek stanowi odpowiedź na intensywny rozwój zainteresowań przeszłością oraz wykorzystanie wiedzy historycznej w środowiskach pozaakademickich, w szeroko pojętej sferze publicznej, w mediach, biznesie, turystyce i rekreacji oraz edukacji. Doskonały kierunek uzupełniający dla dziennikarzy, historyków, specjalistów od turystyki i rekreacji, edukatorów społecznych, samorządowców, bibliotekarzy.

APS to nauka: profesjonalnego rozumienia istoty oraz mechanizmów kształtowania kulturowych form pamięci społecznej; nowoczesnej organizacji i zarządzania praktykami związanymi z popularyzacją wiedzy o przeszłości w przestrzeni publicznej; wykorzystania współczesnych technik komunikacji społecznej oraz narzędzi informatycznych do animacji aktywności medialnej, turystyczno-rekreacyjnej, kulturalnej i edukacyjnej związanej z popularyzacją wiedzy o przeszłości; organizacji i zarządzania instytucjami NGO działającymi w dziedzinie *public history*; realizacji prac aplikacyjnych w ramach rozbudowanych ćwiczeń projektowych i warsztatowych.

W programie zajęć m.in. kultura historyczna w NGO, e-historia – cyfrowa historia publiczna, publicystyka i edytorstwo historyczne, kreowanie i zarządzanie zasobami historii cyfrowej, warsztat historii mówionej, zarządzanie archiwami społecznymi i kolekcjami, współczesna turystyka historyczna, fundusze i granty – aplikowanie i zarządzanie.

Więcej o nowym kierunku: www.uwm.edu.pl/aps

Kontakt: Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UWM, 10-275 Olsztyn, ul. Kurta Obitza 1, tel. (+48) 89 524 64 40, (+48) 89 527 36 12, e-mail: historia.human@uwm.edu.pl **JK**

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą"

Obejmuje opieką ponad 35 000 chorych i niepełnosprawnych dzieci.

Refunduje koszty operacji, rehabilitacji, zakupu sprzętu medycznego i lekarstw.

Prowadzi 3 ośrodki rehabilitacji: AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS
oraz 5 hosteli dla Podopiecznych.

W jaki sposób możesz pomóc?

Wpłacając darowiznę na konto: **41 2490 0005 0000 4600 6116 6530**

Kupując wydawnictwa Fundacji na www.bremo.pl

Przekazując 1% podatku:

KRS 0000037904

www.dzieciom.pl

FUNDACJA DZIECIOM ®
WSPÓLNOTA „ZDĄŻYĆ Z POMOCĄ"
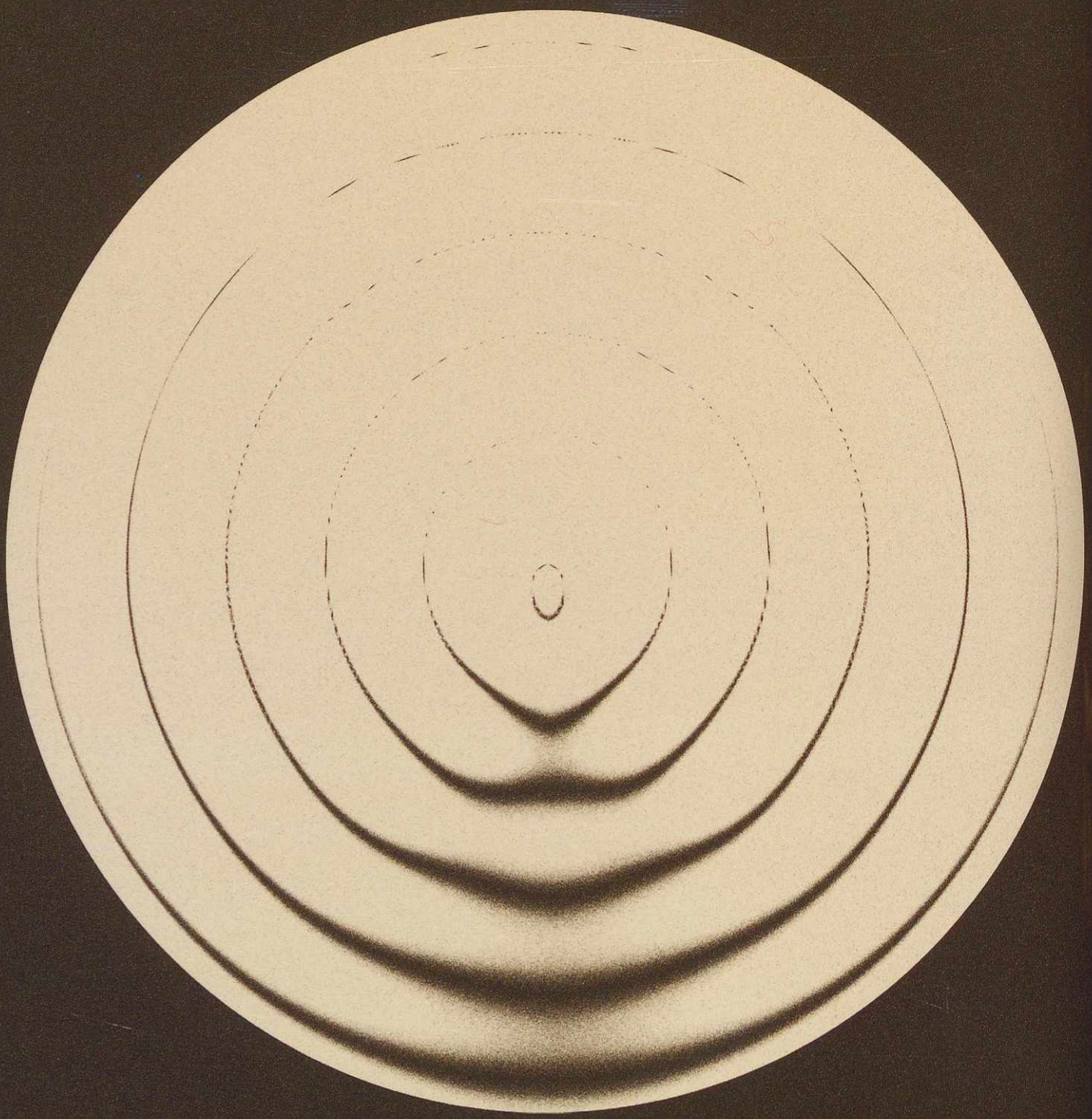
DZIĘKUJEMY ZA 1% PODATKU